



Prawo Śmierci

Jacek Dąbala

Wydawnictwo: Artha Inc Data
wydania: 1997-04-01

Spis treści

TYTUŁOWA
DEDYKACJA
LEGENDA
ROZDZIAŁ 1
ROZDZIAŁ 2
ROZDZIAŁ 3
ROZDZIAŁ 4
ROZDZIAŁ 5
ROZDZIAŁ 6
ROZDZIAŁ 7
ROZDZIAŁ 8
ROZDZIAŁ 9
ROZDZIAŁ 10
ROZDZIAŁ 11
ROZDZIAŁ 12
ROZDZIAŁ 13
ROZDZIAŁ 14
ROZDZIAŁ 15
ROZDZIAŁ 16
ROZDZIAŁ 17
ROZDZIAŁ 18
ROZDZIAŁ 19

Tym którzy nie lubią się nudzić

Legenda

Abott – okrutny władca barbarzyńców z Szybgadii

Bathy – córka Herlinga, jubilera

Blanko – mistrz miecza, który wyszkolił genialnie swojego wychowanka, olbrzyma Humana

Dart – posłaniec królewski, kolejne wcielenie wysłannika ze „świata równoległego”

Donahue – graf wysłany z misją zabicia cesarza mutantów

Gamok – kraina karłów szyjących wspaniałe ubrania

Gawdi – właściciel stajni w Grwaldzie, przyjaciel Herlinga i Bathy, były posłaniec króla Kreporu, ujeżdżacz koni

Ghata – miasteczko na pograniczu Kreporu i Pandabu

Ghi-sppi – pierwsze wcielenie wysłannika z „czasów równoległych”

Glass – ślepiec, włóczęga, wędrowny i niepokonany mistrz miecza

Góry Asta – nieprawdopodobnie wysokie góry, w których szaleją wichry i trąby powietrzne, pękają skały i spadają kamienne lawiny

Grwald – duża osada na pograniczu Kreporu i Pandabu

Herling – były łapacz, przyjaciel Idalga, jubiler

Human – olbrzym walczący szablą, mistrz miecza, syn z nieprawego łoża księcia Syriusa

Idalgo – łapacz bandytów za nagrodę, mistrz miecza

Jag – czytacz, zaufany księcia Syriusa, jasnowidz chodzący o lasce, starannie ukrywający swoje zbroczenia

Krepor – potężne królestwo
Lalola – dowódca książęcych oddziałów
Lasy Orchy – plemiona hodują tam chude, wytrwałe konie
Maqui – żołnierz księcia Syriusa, zwiadowca, zwany „Samotnikiem”
Migop – nieznanne państwo poza krainą karłów, Gamokiem
Mugaba – głowa rodziny chorego, kazirodczego, chłopskiego klanu odciętego od świata bagnami
Mutanty – lud powstały z eksperymentów, mieszkający w Oudze
Nariaga – dowódca potężnego oddziału mutantów
Ouga – państwo mutantów, kraina tajemnicza, niebezpieczna, na bezkresnym stepie
Pandab – jedna z krain
Pellegrisi – nieobliczalni, karłowaci, łączący się w sekty i bandy mordujące dla idei oczyszczenia świata ze zbyt wielu dusz
Pinto – dowódca oddziału księcia Syriusa
Raptus – przekupny i zdradziecki przemytnik z pogranicza
Ryjad – dziecko potrafiące przywracać zmarłym życie. Chłopiec z czerwonymi oczami. Życie może przywrócić tylko dwa razy
Sagdenia – kraj nigdy nie podbity
Syrius – jednooki książę
Szybgadia – potężna kraina prymitywnych ludów, barbarzyńców
Tantra – matka Ryjada
Waldo – handlarz niewolników
Wizydon i Lopmelia – krainy na zachód od Kreporu
Writ – pellegris, karzeł, cyrulik, wygnany od swoich z tajemniczego powodu
Yc – cesarz mutantów
Zdeb – dowódca straży królewskiej w Grwaldzie

ROZDZIAŁ 1

Wyrzucona z procy metalowa kula z cichym świstem przecięła powietrze i trafiła dokładnie między łopatki. Kobieta zachwiała się, próbowała przebiec jeszcze kilka kroków w stronę morza, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Upadła dokładnie pośrodku płaskiej, porośniętej suchą trawą wydmy. Jej niebieskie oczy pozostały otwarte, a z ust wypłynęła cienka strużka krwi. Miała subtelne, szlachetne rysy i zmysłowe, grube brwi. Dziecko ukryte w wielkim brzuchu drgnęło i chwilę potem spomiędzy nóg kobiety wypłynęła woda. Rozpoczął się poród.

Wiał wiatr, padał gęsty, ciężki deszcz i nadchodził wieczór. Spienione fale raz po raz uderzały o brzeg, zostawiając na piasku olbrzymie, kilkumetrowe meduzy. Waldo, zarośnięty jak mała handlarz niewolników, schował procę, zaśmiał się z satysfakcją i pobiegł z powrotem w kierunku swoich kompanów. Kończyli właśnie wiązanie sznurami grupki dzieci, kobiet i mężczyzn. Mimo deszczu chaty wysuszone od środka paliły się jasnym ogniem, a ze słomianych strzech wydobywał się gęsty dym. Od strony lasu rozległ się sygnał trąby. Handlarze w pośpiechu zagonili jeńców na cztery wozy i z miejsca zmusili konie do galopu. Oddalili się w stronę gór, których kontury w strugach wody zaledwie rysowały się na horyzoncie.

Ciało kobiety wykonywało krótkie, ale widoczne skurcze. Parło. W końcu dziecko wysunęło się na piasek i po kilku sekundach rozległ się głośny płacz. Zimne krople deszczu były pierwszym bolesnym doświadczeniem.

Od strony lasu zbliżał się oddział pięciu jeźdźców. Rozpuścili konie i pochylili się nad grzywami. Wszyscy nosili czarne skórzane kurtki i czapki z metalowymi ochraniaczami na uszy. Znali drogę i nie musieli pilnować każdego kroku. Ich pan, jednooki Syrius, kazał im zabrać ze spalonej wsi wszystko, co żywe. Na placu wśród płonących chat zatrzymali konie i stanęli w bezruchu. Nasłuchiwali. W rękach trzymali przygotowane do strzału kusze. Przypominali olbrzymie kruki ze zwieszonymi w dół dziobami. Kilka sekund później wiatr przyniósł w ich stronę płacz dziecka. Natychmiast poderwali konie w stronę plaży. Kiedy wjechali na mokry piasek i dostrzegli leżącą bez ruchu kobietę, Pinto, jeden z jeźdźców, zeskoczył z siodła i odnalazł pomiędzy jej nogami zmarznięte dziecko. Fachowo, jakby to robił przez całe życie przeciął i zawiązał pępowinę. Podał dziecko Maquiemu, najstarszemu z konnych, i raz jeszcze dotknął szyi kobiety. Pokiwał głową z rezygnacją. Była martwa.

– Strażnicy! – krzyknął nagle ochrypłym głosem Maqui.

Kilkadziesiąt metrów dalej, smagani przez deszcz i wiatr, pędzili w ich stronę królewscy strażnicy. W srebrnych napierśnikach i czerwonych płaszczach wyglądali jak olbrzymie, zmutowane przez magię potwory.

– Dziesięciu – warknął pod nosem Pinto i pokazał palcem na Maquiego.
– Zostaniesz tu i zabierzesz dziecko do pana Syriusa. Spróbujemy ich odciągnąć...

Maqui świsnął cicho przez zęby. Jego koń zastrzygł uszami i posłusznie położył się w pobliżu krzaków dzikiej róży na piasku przy wydmie. Żołnierz przytulił dziecko do piersi, osłonił starannie przed deszczem i kucnął przy końskim brzuchu. Przezornie nie wypuszczał z ręki kuszy. Obserwował Pinta i pozostałych trzech żołnierzy. W pośpiechu dosiadali koni i kierowali się wzdłuż plaży w stronę gór. Niskie, silnie zbudowane stepowe konie od razu poderwały się do galopu. Chwilę potem obok

kryjówki Maquiego przemknął rozpedzony oddział królewskich strażników. Jeden z nich zwolnił na moment przy martwym ciele kobiety, splunął z obrzydzeniem na piasek i popędził za pozostałymi. Maqui, modląc się w duszy, aby dziecko nie zapłakało, wyraźnie zobaczył czarny trójkąt na czerwonym płaszczu. Strażnicy należeli do elity królewskich wojsk. Byli najwierniejszymi z wiernych i najokrutniejszymi z okrutnych. Wychowywani od dzieciństwa w koszarach, przez pierwsze dwadzieścia lat życia nie widzieli kobiety. Dzień i noc doskonalili sztukę walki i zabijania. Osobiście wykonywali wyroki na skazańcach i torturowali jeńców. Kiedy szli do walki, mruzcili pod nosem ponurą, przejmującą melodię. Rozmawiali tylko wtedy, gdy otrzymywali rozkaz. Nieraz zdarzało się, że wycinając w pień żołnierzy przeciwnika, nie wydawali żadnego okrzyku. Słyszeć było tylko rżenie koni, jęki zarzynanych i szczęk broni. Maqui spojrział w niebo i westchnął bezgłośnie. Miał przeczucie, że widział swoich kolegów po raz ostatni.

Dziecko zapłakało cicho i otworzyło oczy. Stary żołnierz spojrział odruchowo na małą, zaczerwienioną główkę i zobaczył wbite w siebie niezwykle oczy. Były całkowicie czerwone. Jedynie pośrodku gałki tkwił mały, czarny punkcik źrenicy. Maqui poczuł, że musi wstać i podejść do ciała kobiety. Działo się z nim coś dziwnego. Kiedy pochylił się nad ciałem, zrozumiał, że w powietrzu zaczęła krążyć obca energia. Nie widział jej, ale instynktownie wyczuwał. Oczy dziecka utkwione były w twarzy matki. Maqui o mało nie krzyknął, kiedy kobieta drgnęła jakby pod wpływem gwałtownego szarpnięcia, poruszyła ustami, podniosła powieki i po chwili, krztusząc się kaszlem, wypluła z ust krew. Na Maquiego nawet nie spojrzała. Jej ręce wyciągnęły się w stronę dziecka, a blada twarz nabrała słabych rumieńców. Maqui oddał jej dziecko i z lękiem przywołał konia. Mimo że przeżył i widział w życiu wiele, teraz odczuwał paraliżujący

strach. Z przerażeniem patrzył na niemowlę, które prawie natychmiast przyssało się do matczynej piersi. Kobieta dopiero teraz podniosła na niego oczy. Ona również się bała.

– Kim jesteś, panie? – wyszeptała drżącymi wargami. – Dlaczego nas ratujesz?

– Jestem żołnierzem księcia Syriusa... pani – odpowiedział, z trudem dodając ostatnie słowo. – Muszę cię do niego zabrać. Taki mam rozkaz...

– A gdzie pozostali? – zapytała z wahaniem.

– Uprawdzili ich handlarze niewolników – odparł, wypatrując w oddali powracających kolegów. Nic jednak nie zapowiadało, że ktokolwiek się pojawi. Deszcz wzmógł się, a od strony morza zaczął wiać zimny, północny wiatr. Nadchodził sztorm. – Musimy jechać... pani. Wsiadaj na konia i trzymaj mocno dziecko. Poprowadzę was... Trzeba uważać. Królewscy strażnicy są w pobliżu... Jak was zwa... pani? Bo nie jesteście zwykłą chłopką, prawda?

– Jestem Tantra – odrzekła kobieta, gramoląc się z trudem na siodło. Maqui pomagał jej, starając się nie dotykać zbyt mocno. Kiedy usiadła wreszcie w siodle, na jej twarzy pojawił się grymas bólu. – Za wcześnie... Jeszcze nie wydobrzałam...

Stary żołnierz skrzywił się ze zrozumieniem, westchnął cicho i zręcznie wskoczył na konia. Bez słowa uniósł kobietę w górę i posadził sobie na rękę. Nie odezwała się, pokiwała tylko z wdzięcznością głową. Dziecko, częściowo schowane pod luźną sukienką, nadal ssało pierś. Maqui trącił konia piętami i powoli ruszył w stronę zamku księcia. Opuszczając plażę, spojrzął za siebie, wypatrując Pinta z trzema żołnierzami. Dużo by dał, aby znaleźć się teraz razem z nimi i wspólnie walczyć z królewskimi strażnikami. Rozkaz był jednak rozkazem.

Deszcz ugasił płonące chaty i sprawił, że najbliższa okolica pograżyła się w dymie. Śwąd spalonej słomy gryzł w nozdrza i w każdej chwili mógł przyciągnąć następnych żołnierzy lub bandę złodziei. Maqui jechał skrajem drogi, gotowy w każdej chwili odeprzeć atak lub ukryć się w rowie. Jedyne, co potrafił robić, to walczyć i podchodzić przeciwnika. Sam księżę nazywał go swoim najlepszym zwiadowcą. To Maquiemu wystarczało. Nie miał ani poczucia humoru, ani pieniędzy, ani skłonności ojcowskich. Żył jak mnich, unikając kobiet i zabawy w ich towarzystwie. Na pograniczu nazywano go Maqui Samotnik. Pamiętano go jako małomównego, podstarzałego mężczyznę ze stale otwartymi uszami i wytężonym wzrokiem. Doświadczeni żołnierze twierdzili, że wojsko prowadzone przez Maquiego nigdy nie wpadło w zasadzkę. Dobry zwiadowca przypominał artystę. Tylko niektórzy nimi bywali. Tak jak Maqui.

– Nie znaj da nas? – odezwała się nagle kobieta. Żołnierz czuł ciepło jej pleców i kosmyki włosów łaskoczące go w nos. Tantra pachniała ziołami i mlekiem.

– Pytasz... pani? – Głos zwiadowcy zabrzmiał beznamiętnie.

– O tych handlarzy... – odpowiedziała, próbując odkręcić głowę.

– W powietrzu wisi coś niedobrego – zaczął ostrożnie Maqui. – Ja jestem tylko pionkiem... pani. Niektórzy mówią, że przepowiednia się sprawdza i nadchodzi czas wojen... Mój pan, księżę Syrius, kazał nam sprowadzić całą waszą wieś do zamku... pani. Tak jakby kogoś szukał. Gadają, że nie tylko on jeden, że królewscy też szukają. Dlatego, psy jedne, przyjechali...

– Do zamku daleko... – stwierdziła cicho kobieta.

– Dzień drogi. Dla nas dwa, może... – Maqui nie dokończył, ponieważ jego uszy złowiły tętent koni. Zbliżyły się z tyłu. Zwiadowca skręcił w bok, przejechał przez rów z wodą i zanurzył się w kępę krzaków. Były

dostatecznie wysokie, aby ukryć człowieka siedzącego na koniu. Dziecko obudziło się i zaczęło cicho kwilić. Matka przytuliła je silniej. Teraz i ona usłyszała uderzenia końskich kopyt o drogę. Maqui zdjął z pleców kuszę, naciągnął ją i czekał.

ROZDZIAŁ 2

Osada pamiętała czasy kilku tysiącleci wstecz. Drewniane i kamienne domy wznoszono w niej bez żadnej dbałości o architekturę. Liczyła się tylko wygoda. Oprócz płaskich kamiennych budowli wyrastały przy ulicy olbrzymie piętrowe gospody, zajazdy i domy bogaczy. Pomędzy nimi stały drewniane chaty z oknami małymi jak otwór od beczki. Krajobraz osady uzupełniały walące się umocnienia i ruiny dawnych pomieszczeń. W czasie deszczu wąskie ulice na peryferiach były błotniste i śmierdzące, podczas suszy stawały się twarde i zasnute nigdy nie opadającym żółtym pyłem. Im bliżej centrum, tym były szersze i bardziej zadbane, wyłożone płaskimi kamieniami. Osada nazywała się Grwald i była typowa dla pogranicza. Tutaj właśnie znajdowali schronienie wszyscy początkujący kupcy i poszukiwani przez prawo bandyci. W takich miejscach kłębiły się namiętności i dojrzewały bunty, rosły fortuny, szerzyła się śmierć i choroby.

Przed budowlą dowódcy straży miejskiej zatrzymał się mężczyzna przypominający halabardę. Był niespotykane chudy i żyłasty, a jego wzrost zbliżał się prawie do dwóch metrów. Czarne włosy nosił ostrzyżone przy samej skórze, a jego twarz przywodziła na myśl zasuszony dziób orła. Brązowa skóra na zapadniętych policzkach popękała od słońca i nosiła jaśniejsze ślady blizn. Ubranie zdradzało, że jego właściciel przemierzał świat wzdłuż i wszerz. Kurtka z nigdy nie podbitego kraju Sagdenów uszyta została ze skóry górskiego wołu; utwardzona na piersiach i plecach, a zmiękczona pod pachami i szyją. Przystosowano ją jak tarczę do uderzeń

miecza i noża. Płócienne czarne spodnie uszyli krawcy z Gamoku, a buty z długimi cholewami i srebrnymi klamrami na kostkach były dziełem szewca z odległego Pandabu. Mężczyzna nosił również płócienny płaszcz w kolorze zachodzącego słońca. Broń, która spod niego wystawała, utwierdzała w przekonaniu, że obcy wiedział, co w razie potrzeby powinien z nią zrobić. Rękojeść miecza widocznego zza pleców mówiła sama za siebie. Przy pasie wisiał podobny, krótszy. Taki wyrób mógł powstać tylko w kuźniach niewidomych niewolników z rasy Lombardów. Ostrze lombardzkich mieczy nie tępiło się nigdy. Równo po stu latach po prostu pękało i rozsypywało się na proszek. Była to najściślej strzeżona tajemnica tamtejszych kowali. Oba miecze nie sprawiały wrażenia dekoracji. Pod płaszczem, starannie ukryte przed ludzkim wzrokiem, znajdowały się kieszenie, w których tkwiły tak samo ostre noże. Na skroni mężczyzny wytatuowany był orli pazur.

Koń, którego przybysz przywiązywał właśnie do pała, nosił na sobie płytkie siodło z kilkunastoma starannie wymyślonymi kieszeniami. W każdej z nich sterczał jakiś element uzbrojenia. W największej drewniana, coraz rzadziej już używana kusza, w dwóch nieco mniejszych dziesiątki nietypowych, cienkich strzał, w pozostałych metalowe kulki i kościana proca z krótką gumą. Koń z pewnością nie został wyhodowany w żadnej prywatnej stadninie. Był to dziki ogier schwytyany na bezkresnym stepie tajemniczego państwa mutantów. Wysoki, silnie zbudowany, z nienaturalnie małym łbem i wyłupiastymi oczami strzygł nerwowo uszami i uderzał kopytem o ziemię. Widać było, że mimo zmęczenia ani na moment nie tracił czujności.

Mężczyzna przywiązał do pała drugiego, ciężkiego konia królewskiej kawalerii i kopnął butem leżącego na ziemi człowieka. Tamten poruszył się i z trudem zaczął wstawać. Na kostkach i przegubach jego rąk znajdowały

się grube więzy. Był w mundurze kawalerzysty, a jego twarz wyrażała bezgraniczną nienawiść i lęk.

– Zszedłeś na psy, Idalgo. – Z boku rozległ się głos z górkim akcentem. Łapacz skrzywił się pod nosem, popchnął w stronę budowli kawalerzystę i rzucił od niechcienia za siebie:

– Taki zawód. Raz płacą za jednego, raz za dwóch, innym razem za całą bandę... Taki zawód, Herlingu...

– Ile za niego? – zapytał mężczyzna w złotym, modnym płaszczu. Był jubilerem, ale lubił powracać wspomnieniami do swojego pierwszego zawodu. Przed dwudziestu paru laty wziął ostatnie pieniądze za schwywanie przemytników broni i wycofał się. Założył zakład jubilerski, opłacił się gildii i stał się szanowanym obywatelem Grwaldu. Idalgo zawdzięczał mu życie, dlatego jubiler pozwalał sobie na znacznie więcej niż inny znajomy.

– Pięć królewskich monet – odpowiedział cierpko łapacz.

– Słyszałem, że kupiłeś dla siebie zamek – zaśmiał się jubiler. Idalgo szarpnął się jak po uderzeniu. Pokazał wzrokiem kawalerzystę. Tamten ze zdziwienia aż odwrócił głowę i zaśmiał się jadowicie:

– Za mnie starczy mu najwyżej na dobrą dziwkę... – Nie dokończył, ponieważ pięść łapacza jakby od niechcienia trafiła go w czoło. Zwalił się nieprzytomny.

– Przepraszam. – Jubiler spoważniał. – Człowiek głupieje w tym miejscu. Od rana tylko złoto, szlachetne kamienie, oprawa, kupno, sprzedaż i tak bez końca... Nudno, a z nudów chce się wyć. Przynajmniej na razie.

Idalgo podszedł do jubilera i spojrzał mu głęboko w oczy.

– Szukasz śmierci? – zapytał cicho.

– Szukam starych przyjaciół... – odparł poważnie Herling.

– Tak wielu ich miałeś? – W głosie łapacza można było wyczuć ledwie skrywane kpiące niedowierzanie.

– Czekalem na ciebie, Idalgo – zmienił nagle temat jubiler. – Są sprawy, o których powinienes wiedziec. Załatw dostawę, weź monety i odwiedź mnie. Aha, dowódca się zamienił. Przysłali kogoś, kto może ci się nie spodobać...

– Jestem przyzwyczajony. – Twarz łapacza nawet nie drgnęła. Odwrócił się, chwycił oszołomionego kawalerzystę za kołnierz i popchnął drzwi do budowli. Kiedy wszedł do środka, zaskoczyła go panująca wokoło czystość. Wszystko, włącznie z podłogą, pachniało woskiem. Zniknęły gdzieś sterty broni, zbroi i butelek. Na ścianach wisały nawet obrazy. Biurko z nogą podpartą garnkiem, należące do starego dowódcy, zniknęło. Pod ścianą na końcu pokoju stało nowe, inkrustowane srebrem i sztucznymi perłami. Zdeb, dowódca królewskich strażników w Grwaldzie, pochylony nad jakimis papierami, nawet na niego nie spojrzal. Odezwał się tylko z nienagannym dworskim akcentem:

– Wyjść i zapukać. To nie jest chlew.

Idalgo rzucił na podłogę dochodzącego do siebie kawalerzystę, po czym sięgnął do tyłu ręką i lekko zapukał. Pchnął drzwi, które z cichym trzaskiem zamknęły się.

– Mówilem, wyjść i zapukać – powtórzył z naciskiem dowódca. Jego palce były długie i kościste, nawet barwą przypominały zasuszonego w gorącym piasku trupa.

– Przygotujcie, panie, pięć królewskich monet – powiedział spokojnie łapacz i przyciągnął kawalerzystę w stronę kraty, za którą znajdowała się cela. Zajrzał do środka i bez słowa podszedł do biurka, na którym leżał klucz. Wziął go i ruszył do kraty. Uderzenie pejcza było silne i bolesne. Szarpnięcie odebrało mu na chwilę oddech i powaliło na podłogę.

– Nie ruszaj się, bo uduszę – syknął Zdeb, stawiając mu na brzuchu idealnie wyczyszczony but. – To, że jesteś łapaczem, nie oznacza, że

możesz się zachowywać jak bydlę. Zrozumiano?

Idalgo przytaknął. Nie próbował nawet wstać. Pejcz wciąż nieprzyjemnie ocierał mu szyję. Kawalerzysta również nie wstawał. Doszedł już do siebie, ale nie chciał psuć zabawy. Obserwował łapacza z wrednym uśmieszkiem.

– Powtórz, co masz zrobić – rozkazał dowódca, napinając pejcz. Na jego policzku, od kącika ust aż po ucho, rysowała się wyraźnie szeroka, stara blizna.

– Wyjść i zapukać – wykrztusił łapacz.

– Doskonale – potwierdził Zdeb. – I wchodzisz tylko wtedy, gdy usłyszysz słowo „proszę”. Jasne?

– Jasne – zgodził się łapacz. – I wytrę buty... Dokładnie, panie.

– Pojętny jesteś. – Pochwała zabrzmiała jak pożegnanie kata.

– A ty leż i ucz się. – Dowódca skierował uwagę na kawalerzystę.

– Dobre maniery przydadzą ci się w kamieniołomach...

Idalgo poczuł, że pejcz zwolnił ucisk. Wstał i masując sobie szyję, wyszedł z budynku. Zamknął starannie i cicho drzwi, po czym delikatnie zapukał. Cierpliwie czekał, aż usłyszy zaproszenie do wejścia. Zdeb przetrzymał go w niepewności dłuższą chwilę. W końcu ze środka doleciało głucho „proszę”. Łapacz otworzył drzwi, wytarł buty o wycieraczkę i bez słowa wszedł do wnętrza. Dowódca stał z kluczami od celi i pejczem pokazał mu drzwi. Łapacz posłusznie zamknął je za sobą.

– Teraz możesz mówić. – Pejcz trafił do bocznej kieszeni oficerskich spodni. – Stój tam, gdzie stoisz. W tym pomieszczeniu spaceruję tylko ja, zrozumiano?

– Zrozumiano, panie – zgodził się łapacz. – Przywiozłem ściganego. Kawalerzysta za pięć monet. Oto list gończy... – Idalgo wyciągnął z

kieszeni płaszcza pomięty papier. Dowódca skrzywił się, jakby zobaczył wymiotującego żołnierza.

– Pokaż to z daleka – rozkazał z niesmakiem.

Łapacz rozłożył papier i pokazał Zdebowi. Cisza trwała tylko chwilę. Pejcz znów przeciął powietrze i list gończy został podzielony na dwie części. Idalgo ze zdziwieniem przyglądał się skrawkowi we własnej dłoni.

– Też ich nie lubię, panie – szepnął, oblizując zaschnięte usta. – Zamknijcie go, pokwitujcie dostawę i wypłaćcie pięć monet...

– Podnieś ten papier, łapaczu – warknął dowódca i zbliżył się do Idalga na odległość wyciągniętej ręki. – To, o czym mówisz, jest niemożliwe... Złamałeś prawo. Nie przysługuje ci żadna zapłata...

– Mówcie jaśniej, panie. – Głos łapacza nadal był spokojny i jakby lekko zdziwiony.

– Prawo mówi, że jeniec nie może być prześladowany przez nikogo, kto go schwytał – wyjaśnił Zdeb, nie ukrywając tonu lekceważenia i wyższości. – Dostarczyłeś mi człowieka, któremu potrzeba cyrulika. Brudny, głodny, pobity i zastraszony... Zastanawiam się nawet, czy nie zabrać wam licencji łapacza. Myślę, że sędzia nie miałby nic przeciwko...

– Zbieraj się. – Idalgo pochylił się nad kawalerzystą i pomógł mu wstać. – Mamy coś do załatwienia w Ghacie...

Pejcz oplótł rękę łapacza i szarpnął go do tyłu. Dowódca pokazał palcem na celę i syknął:

– On tutaj zostaje. Ty możesz odejść, albo będziesz miał kłopoty.

Łapacz przełknął ślinę i potarł zaczerwienioną skórę na szyi. Piekła go i trochę krwawiła.

– Ścigałem go przez trzy miesiące – odezwał się zimno. – Wymordował trzy rodziny osadników, ukradł im monety i spalił domy... Osiemnastu ludzi... W tym dużo dzieci...

– Chcecie, żebym się rozplakał, łapaczu? – zadrwił poirytowany dowódca. – Nie mam dla was czasu. Złamaliście prawo o jeńcach i nie możecie dostać nagrody, jasne? A może mam was rzeczywiście pozbawić licencji i na dodatek zamknąć razem z nim, co?

Dowódca sięgnął po klucz do celi i podszedł do kraty. Ostrożnie zajrzał do środka. Widać było, że sprawę z łapaczem uważał za załatwioną. Otworzył kratę i pokazał kawalerzyście, że ma wejść. Przestępca potulnie wykonał rozkaz. Łypał przy tym z satysfakcją na łapacza. Ze środka celi rozległ się nagle potężny głos:

– Co to za ścierwo wrzucacie nam tutaj, panie dowódco? Żreć nie dajecie, szczać nie ma gdzie i w dodatku upychacie nas tutaj jak w garnku... Mówiłem wam, że nie wychędożyłem tej dziewczki i nie trza mi tutaj siedzieć...

– Jutro zostaniecie wykastrowani, Human, i sprawę zamkniemy – przerwał niecierpliwie Zdeb. Złapał kawalerzystę za nadgarstek i odszukał na kamiennej podłodze kajdany. – Zanim sędzia wyda wyrok, musicie posmakować mojego chleba...

Łapacz zajrzał do celi i w półmroku próbował odróżnić poszczególne twarze. W środku panował zaduch i smród. Wszyscy więźniowie siedzieli w kucki przykuci za nadgarstki do ściany. Niektórzy mieli na twarzach grube pręgi od uderzeń pejcza. Nie potrafiło tego skryć nawet wąskie okno z trudem przepuszczające cienkie smugi światła. Dowódca skończył zakuwanie kawalerzysty, wyprostował się i zadowolony z siebie, ruszył do wyjścia z celi. Dostrzegł stojącego na progu łapacza i automatycznie sięgnął po pejcz. Idalgo nie musiał nic robić. To mężczyzna siedzący najbliżej drzwi, potężnie zbudowany blondyn z twarzą dwudziestolatka, podciął dowódcę miejskich strażników i wolną ręką chwycił za gardło.

Uścisk musiał być straszny, ponieważ Zdeb szarpnął się tylko raz i zaczął bić rękami o posadzkę.

– Puść – wycharczał z trudem.

Pozostali więźniowie schwycili go za ubranie i przyciągnęli do siebie. Idalgo uśmiechnął się krzywo.

– Ktoś ty? – pokazał palcem na potężnego blondyna.

– Human – odparł młodzieniec. – Z cyrkiem jeździłem, ale mnie dopadł, plew jeden... Gada, że dziewczkę wychędożyłem bez jej woli i zatłukłem. Ale to, panie, nieprawda. Nie muszę ich siłą, panie. Same leżą...

– Zabiłeś ją? – rzucił krótko łapacz.

– Nigdy, panie, nikogo nie zabiłem – zaprzeczył gwałtownie chłopak. – Chociaż, trza przyznać, okazje były... I siły też nie brakuje... – pokazał napięty biceps. – Trzyma mnie tu od tygodnia. Sędzięgo nie woła, bo podobno chory... Ja mu nie wierzę, panie, on dworski. Inaczej szuja, panie...

– Sędzia u was ten sam? – zapytał z niepokojem w głosie Idalgo. – Znałem Morona. Dobry był i sprawiedliwy... Choruje?

– O, dawno nie byliście u nas, panie – zarechotał z kąta zarośnięty jak zwierzę więzień. – Sam mu wyprułem flaki na dziedzińcu... Córkę też miał zdrową. Mówię wam, panie, cyce miała twarde jak kapusta...

– Uwolnij mnie! – wrzasnął nagle dowódca królewskich strażników. Odzyskał oddech i próbował się wyrwać. – Dostaniesz swoje monety...

– Byłbym ją miał, gdyby nie taki jeden... – kontynuował z obleśną miną więzień w kacie. – Znajdę go i przypalę żelazem, jak żywot pozwoli. A ona jeszcze mi pisana, suka. Lubię takie bogate życie...

Łapacz nie reagował. Tylko w jego oczach pojawił się prawie niezauważalny cień. Podniósł z posadzki klucze i podszedł blisko dowódcy. Inny z więźniów, widząc klucz w jego ręce, rzucił się do przodu. Dłoń łapacza błyskawicznie zacisnęła się w pięść, cofnęła i trafiła napastnika

prosto w nos. Siła uderzenia musiała być ogromna, ponieważ więzień odbił się od ściany z pękniętą czaszką. Z jego nosa wypłynęła strużka krwi; w okamgnieniu znieruchomiał. Pozostali czterej natychmiast zrezygnowali z ataku, przytrzymując silniej dowódcę. Jeden z nich obwiązał mu szyję pejczem i zaczął powoli dusić. Drugi sięgnął do pochwy i wyciągnął długi, prosty nóż oficerski.

– Mówiłeś coś o kastrowaniu... – zaśmiał się ten z kąta. Spojrzał na łapacza i zmrużył oko. – Pohandlujemy? Wypuszczasz nas, a my jego tutaj... No co? Będzie na nas, a o tobie nikt nic nie usłyszy...

– Nie słuchaj ich, panie. To zdraдлиwe psy – wtrącił Human. – Gdyby nie to... – znów pokazał na swoje mięśnie. – Szkoda gadać, zakatrupiliby mnie już w pierwszą noc. Te wszy czekały tylko, aż zasnę... Na to nie ma mocnych, panie. Śmierć była mi tutaj pisana albo kastrowanie... Za nic, panie. Chcecie to wierzyć, nie chcecie to...

Łapacz skinął głową i rzucił blondynowi klucz na kolana. Odwrócił się do więźnia w kącie. Pejcz znalazł się w jego ręce i raz po raz zaciskał się na szyi dowódcy. Nóż krążył niebezpiecznie w okolicy brzucha. Idalgo wyprostował się, jakby chciał zrzucić z pleców ciężar. Jego oczy już przyzwyczały się do mroku celi i odróżniały twarze więźniów. Dwaj byli do niedawna poszukiwani listem gończym. Trzech pozostałych nie znał. Łapacz zauważył, że za jego plecami podnosi się z posadzki blondyn. Nie musiał zgadywać, że olbrzym wyraźnie go przerastał. Czuł jego oddech na czubku głowy.

– Macie wyroki? – rzucił krótkie pytanie.

Spojrzeli po sobie i wybuchnęli głośnym śmiechem.

– Ja mam – odpowiedział z dumą więzień z kąta. – Ukrzyżowanie. Co ty na to, łapaczu? Żdziebko niewygodne...

– Mnie mają rozerwać końmi – skrzywił się ten z nożem. – Tylko za to, że torturowałem żołnierzy króla w Pandabie. Rewolta była, dobrze płacili, to się nająłem. Pandabczycy za miękcy... Czy wy nie jesteście przypadkiem Idalgo? Macie na skroni tatuaż... Głowę daję, że tak mi o was gadali. Podobno nikomu nie przepuścicie. Prawda to? Nie chcecie gadać... Pał was diabli! Dla mnie tortury to zwyczajna robota, panie łapacz, zwyczajna robo...

– Zdradziłeś króla, chamie! – ryknął Zdeb i natychmiast zamilkł przyduszony pejczem.

– A ci trzej łupili na drodze. – Blondyn pokazał palcem na trzy poorane pręgami twarze. – Chwalili się, że nikomu nie darowali. Podobno wszystko przepijali z dziwkami... Nie ma czego żałować. Wojna idzie, a i przepowiednia jest podła. Nie słyszeliście, panie łapacz? Śmierć przed nami, to trza się nacieszyć życiem... Koniec świata, koniec wszystkiego...

Łapacz wykonał tylko trzy ruchy. Jego ręce wsunęły się nagle pod poły płaszcza i wyszarpnęły stamtąd dwa krótkie lombardzkie noże. Przecięły powietrze i utkwili w gardłach więźnia z pejczem i więźnia trzymającego nóż dowódcy. Zanim tamci osunęli się na ścianę, łapacz przyklęknął nad dowódcą, wyciągając zza pleców miecz. Ani blondyn, ani dowódca królewskich strażników nie zauważyli nawet cięcia. Czubek ostrza miecza trącił zaledwie gardła trzech pozostałych więźniów i było po wszystkim. Na posadzce leżało pięć martwych ciał.

– Panie, jesteście mistrzem! – wyrwało się młodzieńcowi.

Kawalerzysta nawet nie próbował się odezwać. Skulił się pod ścianą i z przerażeniem patrzył na Idalga. Dowódca straży podniósł się z trudem i rozmasowywał sobie gardło. Kręcił szyją i przyglądał się w milczeniu łapaczowi, który starannie wytarł ostrze miecza i wsunął je do pochwy na

plecach. Tak samo beznamiętnie wyjął noże z szyi martwych więźniów, oczyścił je i schował.

– Chciałbym dostać moje pięć monet – powiedział, zmierzając do wyjścia.

– Powinienem cię zamknąć, ale jestem ci coś winien – przytaknął niechętnie Zdeb i ruszył do wyjścia z celi. Blondyn podążył ich śladem.

– On też idzie. – Łapacz uprzedził sprzeciw dowódcy. – Jest niewinny, panie. Znam się na ludziach...

Ręce Zdeba drżały, gdy wyjmował z szuflady monety. Starannie wyliczył pięć, usiadł w fotelu za biurkiem i pokazał palcem drzwi.

– Nie chcę was tutaj widzieć – szepnął i zawisł nieruchomo nad biurkiem. – Macie noc na opuszczenie osady.

Idalgo odwrócił się, zamknął drzwi do celi i rzucił klucze na biurko dowódcy. Nie oglądając się, wyszedł z budynku. Potężny Human posuwał się dwa kroki za nim i drapał się w głowę. Na ulicy kłębił się tłum handlarzy, żołnierzy, miejscowej arystokracji, burdelowych naganiaczy, niewolników, mutantów, złodziei i zwyczajnych włóczęgów. Tylko od czasu do czasu w oddali mignął mundur miejskiego strażnika. Przeważnie kręcili się koło ukrzyżowanych zbrodniarzy lub zakutych w dyby złodziei. Pilnowali, aby im nikt nie pomógł.

Słońce rzucało wydłużony cień, co oznaczało, że niedługo zapadną ciemności. Z tego powodu na ulicy nie było żadnego dziecka. W miejscach, gdzie ludzie nie znali wieczorów, zbyt często zdarzały się porwania. Nawet młodzi nędzarze, żyjący w bandach i znający osadę jak własną kieszeń, chowali się głęboko w swoich kryjówkach i nie próbowali nawet wystawić nosa na zewnątrz. Kiedy kończył się dzień, zapadała natychmiast noc. I tak bez końca. Potem zapalały się świece, lampy naftowe i pochodnie. Nadchodził chłód i wszelkie zło szukało dla siebie ujścia. Od czasu śmierci

króla Kreporu, Zygryda, kiedy jego syn osiadł na tronie, pogranicze zeszło na dalszy plan. Było coraz gorzej pilnowane i coraz częściej szarpane przez rozmaitych miejscowych panów. Każdy z nich chciał urwać coś dla siebie. Podatki dzielono po cichu, a królowi wysyłano tylko drobną część należności. Większość trafiała do prywatnych skarbców. Królewska straż miejska haniebnie korumpowała się, z każdym dniem bardziej. Jeżeli znajdował się ktoś sprawiedliwy, wówczas nasyłano na niego zabójców i kończył przygnieciony skałami albo rozszarpany przez psy. Taka śmierć nigdy nie wzbudzała podejrzeń ani śledztwa. Przemijała wraz z miejscowym wiatrem i pyłem. Pogranicze stawało się wrzodem, który lada chwila mógł pęknąć i rozlać się po całym królestwie Kreporu.

– Muszę się umyć i przespać – westchnął Human, kiedy zatrzymali się przed gospodą. – Rano poszukam swoich... Psiekrwie nawet do mnie nie zajrzeli. Myślałem, że chociaż żarcie doniosą...

– Chcesz żyć? – zapytał cicho Idalgo. Zapalił fajkę i wypuścił kłąb dymu. Olbrzym spojrzał na łapacza z wyrazem nieufności w oczach.

– Dziwnie gadasz, panie... – burknął niezdecydowany.

– Nie jestem panem – poprawił go łapacz. – Jestem Idalgo. To wystarczy. Powiedziałaś, że dowódca straży to pies, dworak, a więc szuja... Czy tak?

– W samej rzeczy – potwierdził blondyn. – Gnida z niego parszywa...

– Z osady musisz wyjechać natychmiast – przerwał mu łapacz. – Inaczej nie przeżyjesz tej nocy...

– A ty? – Olbrzym nawet nie próbował ukryć nieufności.

– Ja też – odparł Idalgo. – Widzisz mojego konia przed tamtym domem? Ten drugi jest dla ciebie... Po tym kawalerzyście. Weźmiesz go i szybko odjedziesz. Po drodze wymień na takiego, który pod tobą nie padnie. Najlepszy byłby taki jak mój... Na razie postaraj się o...

– Ćmi mi się, panie... Tfu! Nie tak... Idalgo... Ćmi mi się, że podejrzewasz tego szczura o zdradę. Tylko co jemu po nas?

– Jest zakręcony i mściwy. – Fajka łapacza rozpałała się już na dobre. Zza kłębow dymu Human z trudem widział jego twarz. – To dawny oficer. Pojąłem, że zdegradowany...

– Jaki? – wtrącił ze zdziwieniem olbrzym. – Prosty jestem i nieuczony... Nie było kiedy i nie było gdzie... Rozumiecie, panie Idalgo...

– Wyrzucili go na zbity pysk z korpusu królewskich oficerów – wyjaśnił łapacz, nie przestając obserwować wejścia do budynku. – Znam ich gadanie... Wszyscy oni podobni. Zabije nas dla honoru. Ukrzyżuje i każe rozgłosić, żeśmy łotry. Nie wiem, dokąd chcesz jechać, chłopie, ale wbij sobie do łba, że dowódca straży w Grwaldzie rozpoczął na nas polowanie... Zakręcenie nigdy nie zapominają...

Human obejrzał się, potoczył wzrokiem po ulicy. Obaj wiedzieli, że są to ostatnie chwile światła. Z budynku wybiegło właśnie pięciu strażników, kierując się na rogatki osady. Pięciu innych zatrzymało się obok konia łapacza i żywo nad czymś rozprawiali. Widać było, że czekają na noc. Idalgo zgasił fajkę i cierpko skrzywił usta.

– Ckni im się do mojego konia – mruknął przez zęby. – Widzę, że pora na mnie... Kiedy się ściemni, powinienes być blisko koni. Jedź na zachód, tam prędzej ocalisz życie...

– Gdzie cię szukać, Idalgo? – zapytał olbrzym, rozpychając rękami tłum i omijając powozy z końmi.

– Właśnie tam – zaśmiał się gardłowo łapacz. – Nie lubię awantur. Pokojowy ze mnie człowiek... Najłatwiej znaleźć się na rozstajach zaraz po wschodzie...

W tym momencie na pogranicze spadła ciemność. Słońce przerzuciło swe promienie gdzie indziej. Zaraz potem we wszystkich oknach, przed

domami i na ulicy zapaliły się świece, lampy naftowe i pochodnie. W niektórych wyznaczonych miejscach zapłonęły na ulicy ogniska. Dopiero teraz Idalgo poczuł się bezpieczniej. Obaj byli zbyt wysocy, aby strażnicy nie mogli ich zobaczyć. Sterczeli ponad tłumem jak drogowskazy. W ciemnościach i drgających światłach wszystko się zamazywało. Kiedy jeden ze strażników zaczął odwiązywać konia, Idalgo wynurzył się nagle spoza zadu i chwycił tamtego za gardło. Przyciągnął do siebie, uderzył pięścią w skroń i spokojnie położył na drodze. Kątem oka dostrzegł, że Human pochylony ku ziemi odwiązał konia kawalerzysty i bez przeszkód wtopił się w tłum. Widział również, że trzech strażnicy ruszyli za nim. Jeden został i nerwowo rozglądał się za nieprzytomnym kolegą. Łapacz odczekał, aż tamci trzech oddalą się za olbrzymem, po czym wynurzył się nagle tuż przed strażnikiem i powtórzył dokładnie to, co poprzednio. Obu zostawił na drodze. Przy odrobinie szczęścia nikt nie powinien na nich najechać, pomyślał. Kiedy usiadł na koniu, stał się czujny i przygotowany na atak. Podążył śladem Humana, wypatrując w mroku kołyszącej się sylwetki blondyna.

Olbrzym zszedł z głównej ulicy i po chwili widać go było tylko w świetle księżyca. Sylwetki trzech strażników skrzyły za nim. Poza głównym traktem osady nie można było się ukryć. Między domami ziało czernią, ludzie prawie się nie pojawiali, a stukot końskich kopyt i butów niósł się jak w studni. Czasami tylko w podcieniach rozwalającej się rudery mignął cień miejscowego opryszka, czekającego na pijanego lub zabłąkanego wędrowca. Łapacz zastanawiał się, dlaczego olbrzym zboczył z głównej drogi i w ten sposób zdradził swoją obecność. Zdziwił się jeszcze bardziej, kiedy zobaczył, jak tamten przywiązuje konia do kółka w murze i wchodzi do podejrzanego zajazdu. Światło przed wejściem było przyćmione, a w środku, z oszczędności najpewniej, paliły się tylko

najtańsze, śmierdzące pochodnie. Kilka chwiejących się postaci próbowało złapać równowagę, wtapiając się w mrok uliczki. Ze środka zajazdu dochodziły wesołe dźwięki skrzypiec, fujarki i bębna. Kilka ochrypłych głosów śpiewało popularną na pograniczu pieśń handlarzy niewolników, zaczynającą się od słów: „Jeżeli oczy masz, jeżeli ręce masz, to się nadajesz. Twój pech!...”

Strażnicy zatrzymali się w cieniu. Czekali na Humana. Wyszedł po chwili. Przy jego pasie pojawiła się broń. Tkwiła w inkrustowanej drogimi kamieniami pochwie. Łapacz aż podniósł brwi ze zdziwienia. Dawno takiej broni nie widział. Wyszła z mody, starzy mistrzowie powymierali, a nowi woleli zwyczajne miecze lub rapiery. Przy boku Humana dyndała silnie zakrzywiona szabla. Dokładnie taka, jakiej przed ponad pięciuset laty używano w bitwie pod Ghata. Idalgo kochał broń i wiele by dał, aby móc w tej chwili dokładnie ją obejrzeć i wziąć do ręki. Stał jednak nieporuszony przy zjeździe w boczną uliczkę i cierpliwie czekał. Wcześniej musiał zsiąść z konia i wybrać miejsce jak najbliżej ściany. Księżyc świecił tej nocy wyjątkowo silnie. Z każdą chwilą na dworze robiło się zimniej. Wystarczyło, aby zrobił jeden fałszywy krok i strażnicy mogliby go zauważyć.

Human odwiązał konia i ruszył z powrotem w stronę głównej ulicy. Szedł wprost na strażników. Idalgo był prawie pewien, że ich nie widział. Stali zbyt głęboko w cieniu. On sam zaledwie domyślał się, gdzie mogli zniknąć. Bardziej wyczuwał ich położenie, niż widział. Dzielilo ich nie więcej jak pięćdziesiąt kroków. W normalnych warunkach nie było to nic wielkiego, teraz mogło decydować o życiu. Idalgo chciał krzyknąć, ale w tym momencie wyłonił się na głównym trakcie, kilka kroków od niego, ośmioosobowy konny oddział straży miejskiej. Kopyta koni zostały starannie zabezpieczone gumowymi nakładkami. Zamiast metalicznego

szczęku podków słychać było tylko głuchoe uderzenia. Oddział szybko zniknął w tłumie, a Human wkroczył na ciemną stronę uliczki. Dopiero teraz łapacz zobaczył strażników. Błysk mieczy i stukot ich butów zakłócił ciszę. Idalgo nie zdołał jednak dostrzec nic więcej. Kiedy znalazł się przy olbrzymie, ten właśnie chował szablę do pochwy. Strażnicy leżeli z rozplatanymi gardłami na ziemi.

– Widziałeś ich – stwierdził tylko łapacz.

– Dojrzałem, pan... Idalgo – poprawił się olbrzym. Nawet się nie zasapał. Oddychał tak, jakby przed chwilą spożył kolację. Głęboko i spokojnie.

– Pora na nas – rzucił za siebie łapacz i w pośpiechu ruszył do głównej ulicy. Teraz wystarczyłby świadek i los ich byłby przesądzony. Za zabicie strażnika królewskie prawo przewidywało publiczne rozdarcie końmi. I nikt nie sprawdzał, po czyjej stronie znajdowała się racja. Najlepsi sędziowie godzili się co najwyżej, aby w takiej chwili podać skazanemu dzban mocnej wódki. W ten sposób okazywali swoją łaskę.

Kiedy znaleźli się na rogatek osady, gdzie ludzi było zdecydowanie mniej, stali się widoczni. Dwaj strażnicy natychmiast wyłowili ich wzrokiem. Widać było, że zostali wcześniej poinstruowani, co mają robić. Jeden z nich stał za koniem i mierzył w ich stronę z kuszy. Drugi, z mieczem w ręku, czekał aż podjadą bliżej. Na innych konnych wjeżdżających i wyjeżdżających z Grwaldu przestali zwracać uwagę.

– Zawracamy – rzucił krótko łapacz i zrównał się z wjeżdżającym do osady powozem zaprzężonym w sześć koni. Nie ujechali jednak daleko. Z powozu wyłoniła się głowa jubilera Herlinga.

– Już myślałem, że cię usiekli – zażartował ponuro. – Dopóki tłum, nie znajdą was. Musicie jednak wyjechać z osady. Niebezpieczny z ciebie gość, Idalgo. Idą za tobą kłopoty...

– A leżą, leżą – potwierdził łapacz. – To mój kompan, Human – pokazał wzrokiem na jadącego obok olbrzyma. Tamten uśmiechnął się szeroko, patrząc na twarz jubilera.

– To i dziewczkę ładną, panie, wozicie ze sobą po nocy – odezwał się, patrząc w głąb powozu. – Jeśli żona, to chylę głowę przed smakiem...

Łapacz zajrzał do środka, ale niczego w ciemnościach nie wypatrzył. Zdziwiony spojrział na jubilera. Tamten uśmiechnął się kwaśno i przytaknął.

– Zabrałem ją, bo dziewczucha lubi mi towarzyszyć. Ot, córka wrodziła się we mnie... Włóczęga jej w głowie i ciekawość świata. Aż żal, że dziewczka i popsuć łatwo...

Z głębi powozu wyjrzała piękna twarz dziewczyny. Nosila chłopięcy strój, a spod jej futrzanej czapki wypływały długie, czarne włosy. Jej skóra nawet w świetle pochodni i świec wydawała się ciemniejsza od innych ludzi.

– Oryginał – łapacz odnalazł w głowie dawno nie używane słowo. Human tylko patrzył przed siebie i udawał, że nic nie słyszał.

Wjechali przez bramę do jednego z budynków. Wrota zamknęły się, a czterech pachołków błyskawicznie zaczęło wyprzęgać konie. Jeden z nich podbiegł do łapacza i pokazał palcem na siodło.

– Zsiadaj, Idalgo – powiedział z tajemniczym uśmiechem. – Wywiozę cię z Grwaldu po mojemu. Pojedziecie powozem, a wasze konie w zaprzęgu. W nocy nie powinni nic rozeznać.

Łapacz posłusznie wszedł do powozu i pozwolił Herlingowi działać. Tak samo postąpił Human. Kiedy stanął na schodku, powóz ugiął się, a sprężyny jęknęły. Na twarzy mężczyzny odmalował się wyraz niepewności.

– Jesteś, panie, bardzo potężny – odezwała się cicho dziewczyna. – Musisz być silny... Jestem Bathy.

Olbrzym nie odezwał się. Skinął głową i pochylił się ku podłodze. Idalgo obrzucił wzrokiem jubilera, jakby chciał mu coś powiedzieć. Nie zdążył jednak, ponieważ wrota bramy skrzypnęły i powóz ruszył. Znowu znaleźli się na ulicy. Zimna noc sprawiła, że tłum stopniowo malał. Gorąca para oddechów tworzyła pośród ulicznych światełek klimat tajemniczy i odświętny. Z głębi powozu łapacz obserwował ulicę i przypominał sobie dzieciństwo. Właściwie tylko jedną scenę. Święto Drogi. W księstwie Syriusa obchodzono je nadal, chociaż styl i oprawa z roku na rok stawały się coraz mniej nastrojowe. Idalgo zapamiętał tysiące przewodników i ich rodzin okrążających zamek księcia Syriusa V. Śpiewali, pili, jedli, tańczyli i palili pochodnie. Noc była tak samo chłodna, a para z ust podobnie rysowała w powietrzu malownicze, srebrne obłoczki. Pomyślał ze smutkiem, że wielu z tych, których kiedyś kochał i znał, leżało od dawna pod ziemią. Czas nie dzielił nikogo na lepszych i gorszych. Był jak pętla zaciskająca się nagle na szyi skazańca.

W ciszy zimnego wieczoru opuszczali Grwald. Kiedy wjechali w ciemności nocy, a światła osady nie były widoczne nawet z daleka, zatrzymali się. Human i woźnica zajęli się końmi. Bathy otulona szczelnie krótkim futerkiem przyglądała im się z zagadkowym uśmiechem. Olbrzym jakby wyczuwał jej spojrzenie i starał się nie zwracać na nią uwagi. W milczeniu, z pochyloną głową i zaciśniętymi szczękami siodłał konie. Co pewien czas rozglądał się ukradkiem po okolicy i głęboko wciągał nosem powietrze.

Herling i Idalgo oddalili się od powozu i w świetle księżyca wymienili spojrzenia. Jubiler zaczął pierwszy:

– Słyszałeś przepowiednię?

– Coś słyszałem... – odparł niepewnie łapacz. – Wszędzie mówią inaczej...

– Mogą gadać. – Głos Herlinga stał się dziwnie zapalczywy. – Czytacze z Pandabu twierdzą, że on już jest... Podobno posiada potężną moc. Nikt nie wie jaką...

– Znam legendy – wtrącił z lekką irytacją Idalgo. – Dzieciak ma być jakimś cholernym czarownikiem. Wierzysz w czary? Gadaj szczerze, Herling, wierzysz czy nie?

– Wierzę w stare księgi – przytaknął jubiler. – Wiele się sprawdza. Pamiętasz wyprawę króla Kreporu na stepy mutantów? Było powiedziane, że przegra i przegrał. Osiemdziesiąt tysięcy wojska zostało w piachu... Albo Sagdenia! Wszyscy sobie na niej zęby połamali. Do czasu... Czytacze od dawna ostrzegali, że nadejdzie kobieta, która opęta ich cesarza i przyprowadzi na dwór obcych. Nie minęło nawet dziesięć lat od chwili, gdy obcy zgotowali staremu cesarzowi i jego dworzanom rzeź. A dowódcy? Najpierw ich poparli, bo zostali przekupieni, a teraz nikt o nich nie słyszy. Sanowi...

– Czy chcesz mi powiedzieć, że wiesz coś więcej o przepowiedni? – przerwał łapacz. Był wyraźnie zaintrygowany.

– Jedziesz na zachód, prawda? – zaczął ostrożnie Herling. – Bądź czujny. To dziecko może być wszędzie. W zamku, pałacu, młynie lub zwyczajnej wsi... Wszędzie. Przepowiednia mówi, że księstwo Syriusa osiągnie niebywałą potęgę... Może to jakiś znak?

Łapacz przyglądał się zarysowi twarzy przyjaciela i próbował wczuć się w jego nastrój. Nie udawało się. Nigdy nie wierzył w magię, a tym bardziej w stare przepowiednie. Nawet wtedy, gdy sprawdzały się po latach. We wszystkich takich historiach zawsze podejrzewał proste zbiegi okoliczności. Teraz też tak było. Nie chciał jednak psuć jubilerowi wieczoru.

– I co dalej? – odezwał się, jakby naprawdę szukał odpowiedzi. – Jednooki Syrius zapanuje nad światem?

Herling pochylił się w jego stronę i szepnął poważnym głosem:

– Nie wiadomo. Ktoś wyrwał z księgi strony... Czytaczki szukają. Całe pogranicze aż dymi od szpiegów. Obiecuj mi, że będziesz czujny. Stoi?

– Stoi – zgodził się łapacz i szybko skierował się w stronę konia. Miał dość tej rozmowy i wydawało mu się, że Herlinga z każdą chwilą ogarnia coraz większe szaleństwo. Nigdy nie lubił kaznodziejów i mnichów. Nigdy w nic nie wierzył, poza sprawiedliwością. Siedząc na koniu, skinął rękawem stronę Bathy. Patrzyła tylko na Humana. Olbrzym zachowywał się jeszcze bardziej powściągliwie niż dotychczas. Podniósł dłoń na pożegnanie i szybko pokłusował w noc. Idalgo zrobił dokładnie to samo. Obaj woleli samotność z zupełnie innych powodów.

ROZDZIAŁ 3

Wozy ze spętanymi wieśniakami poruszały się powoli. Grzęzły w błocie i zsuwały się w rowy wymyte przez wodę. Deszcz przestał padać, ale chmury sunące nisko nad ziemią zapowiadały kolejną ulewę. Zerwał się bardzo przenikliwy, kłujący wiatr od gór.

Handlarze niewolników z całej siły uderzali konie po zadach. Śpieszyli się i coraz częściej oglądali do tyłu. Przed południem chcieli dotrzeć do rzeki. Tam czekały łodzie, które miały przewieźć niewolników na Wielkie Jeziora, a stamtąd na morze i dalej do potężnej, barbarzyńskiej Szybgadii. Zamówienie było wyraźne: „Dostarczyć samych białych. Całe rodziny najczystszej krwi. Wieś Penn spalić.” Tylko tę jedną wieś, nic poza tym.

Waldo, przywódca handlarzy, domyślał się, że takich wsi i podobnych oddziałów barbarzyńcy z Szybgadii wynajęli co najmniej kilkadziesiąt. Sam widział, jak jego koledzy po fachu w ukryciu opuszczali miasteczka nad Wielkimi Jeziorami i udawali się w stronę księstwa Syriusa. Waldo znał legendę, ale ani trochę w nią nie wierzył. Dla niego liczył się tylko handel i pomnażanie monet. Poza tym lubił swój fach i nie miał zamiaru z niego zrezygnować. Czasami porywał ludzi nawet bez zlecenia. Ot, tak dla rozrywki, dla zabicia nudy. Niektórych sprzedawał, innych torturował i słuchał, jak skamleli o litość. Teraz marzył tylko o tym, aby zrealizować zamówienie.

Barbarzyńcy postawili twarde warunki. Ich władca, Abott, ostrzegł, że osobiście będzie czekał na dostawę. A Abott był jedynym człowiekiem,

którego Waldo się bał. Handlarza przeraziło okrucieństwo, które zdawało się nie mieć granic. On sam czuł się przy Abotcie mały i śmieszny ze swoimi grzeszkami. Kiedy zobaczył, jak tamten zagryza narzeczoną swojego syna tylko za to, że dziewczyna nie przeżyła w żałobie roku, wtedy poczuł strach. Władca Szybgadii był jedynym, za którym większość królów, cesarzy i książąt wysłała listy gończe i wyznaczyła nagrodę. Sto tysięcy monet za żywego lub umarłego. Dokładnie tyle, za ile można było kupić małe księstwo. Taka była nagroda za głowę Abotta. Waldo kochał monety, ale nie do tego stopnia, żeby porwać się na władcę Szybgadii. Widział ciała łapaczy, którzy ośmielili się spróbować. Pozostały z nich tylko kości wokół zaostzonych pali.

Tylna straż handlarzy dmuchnęła w piszczałki. Waldo zatrzymał konia i spojrzał za siebie. Jego bystre oczy szybko rozróżniły sylwetki czterech jeźdźców. Poznał po sposobie jazdy, że byli to żołnierze księcia Syriusa. Widział ich pochylone ciała i zwisające luźno wzdłuż prawej nogi ręce. Upewnił się, że nie ma ich więcej, i skinął na swoich ludzi. Nie musiał nic mówić. Patrzyli i rozumieli każdy jego gest. Pięciu zajęło się schwytanymi wieśniakami, pomagając handlarzom na wozach okładać zmęczone konie skórzanymi batami. Pozostałych piętnastu utworzyło linię i przygotowało do strzału kusze. Wtedy właśnie żołnierze Syriusa zatrzymali się. Waldo wyszczerzył zepsute zęby. Trzymał ich w garści. Wiedzieli, że nie pozwoli im się zbliżyć. Dał znak i piętnaście strzał poleciało w kierunku czterech jeźdźców. Żadna nie doleciała. Silny wiatr oraz duża odległość unicestwiły zamiar handlarza. Splunął na ziemię w swój ulubiony sposób i warknął:

– Widać inna śmierć im pisana. Do roboty!

Handlarze jakby tylko na to czekali. Błyskawicznie schowali kusze i dobyli mieczy. Wtedy właśnie lunął deszcz. Gęsty i zimny. Ruszyli na oślep, starając się jak najszybciej dopaść przeciwnika. Konie ślizgały się,

rżały i charczały z wysiłku. Kiedy przed pierwszym z handlarzy wyłoniła się sylwetka żołnierza, zawył z radości i zamachnął się do uderzenia. Nie zdążył. W jego piersi utkwiała krótka metalowa strzała. Wystrzelona z bliska omal go nie przeszyla. Taki sam los spotkał trzech innych handlarzy. Pozostali rzucili się z wściekłością do przodu. Jedenastu zaprawionych w bojach awanturników przyparło do krzaków czterech żołnierzy Syriusa. Handlarze wyli z podniecenia i prześcigali się, próbując dosięgnąć mieczami i toporami przeciwników. Kiedy dwóch z nich spadło pod kopyta własnych koni z rozplatanymi gardłami, Waldo cofnął się, wyjął kuszę i zajechał żołnierzy z boku. Strzała wydała cichy syk i wbiła się w ramię Pinta. Sekundę później topór jednego z handlarzy roztrzaskał głowę następnemu żołnierzowi Syriusa. Pinto nie czekał, aż Waldo naciągnie kuszę po raz drugi. Z krwawiącym ramieniem rzucił się w stronę handlarza, tnąc mieczem między oczy innego odsłoniętego przez moment napastnika. Dwaj żołnierze dostrzegli manewr dowódcy i energicznie poderwali konie do biegu. Waldo wymierzył, ale nie zdołał wystrzelić. Rozpędzony koń Pinta poślizgnął się i uderzył łbem w pierś handlarza. Tamten zwałił się na ziemię, odsłaniając drogę ucieczki, Wydawało się, że walka pozostanie nie rozstrzygnięta, że żołnierze uciekną, a pozostali przy życiu handlarze wrócą do swoich niewolników. Raz jeszcze miecz ostatniego żołnierza rozorał pierś najbliższego z handlarzy, po czym wysunął się z odrąbanej dłoni w błoto. Chwilę potem okaleczony żołnierz zginął trafiony w plecy obuchem rzuconego topora.

Królewscy strażnicy pojawili się niespodziewanie. Zatrzymali zmęczone konie, naciągnęli kusze i wystrzelili. Strzała ominęła Pinta i wbiła się w pierś jadącego za nim żołnierza. Pozostałe dziewięć utkwilo w ciałach handlarzy. Waldo odzyskał przytomność i błyskawicznie zrozumiał, co zaszło. Wykorzystując zamieszanie, spadające z koni ciała i coraz gęstszą

ulewę, wczuł się w krzaki i zastygł w bezruchu. Zdołał tylko zauważyć, że ranny w ramię dowódca żołnierzy pochyła się w siodle i zmusza konia do natychmiastowego galopu. Rozległy się okrzyki strażników i po chwili trzech z nich ruszyli w pogoń za żołnierzem. Pozostali popędzili za niedobitkami handlarzy. Waldo zaciskał z wściekłości zęby i zmuszał się do pozostania w krzakach. Wiedział, że niewolnicy są straceni, a jego ludzie lada moment zostaną schwytani i odwiezieni do pałacu. Tam czekało ich rozdarcie końmi na arenie. W Kreporze była to zwyczajna kara dla porywaczy ludzi. Postanowił przeczekać. Czuł, że uderzenie konia połamało mu kilka żeber i będzie potrzebował odpoczynku. Kiedy omdlewał z bólu po raz drugi, najbardziej żałował tego, że nie znał twarzy i nazwisk tych, którzy zepsuli mu interes. Nie było na kim się mścić, a to bolało Walda najbardziej. Zapamiętał tylko czarny trójkąt na czerwonych płaszcach.

ROZDZIAŁ 4

Tej nocy jubiler Herling nie kładł się spać. Siedział skulony nad kupką diamentów i pracował nad koroną. Miała być duża i efektowna. Cena nie odgrywała roli. W grę wchodziło wyłącznie złoto najczystszej próby i najlepsze diamenty. Zleceniodawca zamówił usługę anonimowo. Zapłacił połowę sumy i postawił tylko jeden warunek. Korona musiała być wykonana osobiście przez mistrza Herlinga. W ścisłej tajemnicy. Wzór i kształt zależały tylko od jubilera.

Do końca terminu pozostało jeszcze pięć dni. Herling z zagadkowym uśmiechem kończył opracowanie ostatniego diamentu. Od wielu tygodni zastanawiał się, kto będzie nosić tak misternie wykonane dzieło. Domyślał się, że objętość głowy pasowała do mężczyzny. Nie potrafił jednak odgadnąć, kto ze znanych mu władców tak nagle zapragnął nowej korony. Kończył swoją pracę i podziwiał efekt w lustrze. Nie wiedział dlaczego, ale głównym motywem korony uczynił szpon orła. Dokładnie taki, jaki wytatuowany był na skroni jego przyjaciela, Idalga. Zdjął szkło powiększające, włożył gotową koronę na głowę i spojrzał w lustro. Wtedy usłyszał łomot wyłamywanych drzwi.

Dom jubilera zaatakowano od piwnicy. Tam znajdowały się najslabsze drzwi. Zamki były obluźwane i przeznaczone w najbliższym czasie do wymiany. Dlatego tak łatwo puściły, kiedy uderzyła w nie belka niesiona przez ośmiu rozpędzonych strażników. Wszyscy nosili miejskie barwy.

Herling wbiegł do sypialni córki, schował koronę do skórzanej torby i krzyknął do budzącej się dziewczyny:

– Napad! Musisz uciekać... – Herling zachowywał się tak, jakby od lat na coś takiego czekał. Błyskawicznie wrzucał do torby pasy z zaszytymi monetami. Słyszał wrzask zabijanej służby i trzask łamanych mebli. Odruchowo zabarykadował sztabą drzwi do sypialni i otworzył tajne przejście. Korytarz biegł wzdłuż strychów kilku domów i kończył się rzekomo zamurowanym wejściem do stajni. Wystarczyło jednak mocniej pociągnąć, a cegły odsuwały się i otwierały drogę na zachodni trakt.

Dziewczyna ubrała się w męski strój, przypasała do pasa krótki miecz, przytroczyła do boku sakwę z miniaturową kuszą wykonaną dla niej przez ojca i ofiarowaną przed rokiem na urodziny. W sakwie znajdowało się kilkadziesiąt metalowych strzał. Każda miała diamentowy czubek i z łatwością przebijała zbroję. Na drzwi od sypialni spadły pierwsze uderzenia topora.

– Otwieraj, zdradziecki kundlu! – wołał z wściekłością dowódca miejskich strażników. – Otwieraj, albo cię żywcem spalimy...

Bathy przylgnęła do ojca. Podał jej torbę z koroną i monetami zaszytymi w pasach.

– Uciekaj – szepnął, całując ją w czoło. – Pasy ukryj w siodle... Znajdź Idalga i o wszystkim opowiedz...

– Uciekaj ze mną... – wtrąciła ze strachem.

– Ktoś musi zostać – przerwał jej, patrząc nerwowo na drzwi. Po ostatnim uderzeniu ostrze jednego z toporów przebiło okute drewno. – Inaczej znajdą wyjście... Idź już... Konie są tam, gdzie zwykle...

Wepchnął córkę pod okap komina i kiedy zniknęła w czarnej czeluści, ponownie zasłonił przejście. Wierzył, że da sobie radę.

Zasuwa puściła i drzwi z łomotem zwały się do środka. Miejscy strażnicy natychmiast rzucili się w jego stronę. Herling stał przy ścianie i trzymał w rękach swój nie używany od wielu lat miecz. Broń pamiętała czasy, gdy był łapaczem. Przyjął postawę do walki i czekał na pierwszy cios. Zza pleców wchodzącego właśnie do sypialni dowódcy straży zobaczył twarz jednego ze swoich ludzi. Był to jeden z tych, którzy pomagali mu wywieźć z osady Idalga i Humana.

– Ile ci obiecał, zdrajco! – krzyknął w stronę drzwi.

– Więcej niż dałbyś mi zarobić przez rok, krwiopijco! – odpowiedział butnie woźnica.

Zdeb potarł wierzchem dłoni bliznę i powstrzymał atakujących gestem ręki. Rozejrzał się po pokoju i warknął:

– Możesz się wykupić, Herling. To będzie cię kosztowało dom i wszystko, co tu masz...

– A jak nie? – syknął jubiler, poprawiając miecz w dłoniach.

– To twoje jaja przybijemy na trakcie – odpowiedział mu z nienawiścią dowódca. – Gdzie masz monety i złoto?

– Niech powie, gdzie ma córkę – zawołał z tyłu woźnica. – To zdrowa rzepa, panie...

– Gadaj, gdzie dziewczyna – rozkazał z ożywieniem Zdeb. – Jak nie, to i tak ją znajdziemy... Wtedy wszystko wygadasz, a z nią po mojemu poigram...

Jubiler zaatakował nagle. Wyszedł z wprawy, ale niczego nie zapomniał. Cięcie wyrwało stojącemu najbliższemu strażnikowi połowę brzucha. Zwałił się, przytrzymując rękami wylewające się wnętrzności. Z drugim nie poszło już tak łatwo. Uchylił się i odbił uderzenie. Pozostali zaczęli okręzać ofiarę ze wszystkich stron. Dowódca stał na wyrąbanych drzwiach i sapał z nienawiścią.

– Chcę go żywego – odezwał się, widząc, jak jego ludzie przymierzają się do ataku.

– Panie, on nie z tych... – próbował oponować jeden ze strażników.

– Żywcem albo na pal pójdziecie! – wrzasnął histerycznie dowódca. Kiedy widział krew, musiał krzyczeć, aby nie zemdleć. To właśnie była jego tajemnica. Dlatego został wysłany na pogranicze i wykreślony z królewskiego korpusu oficerskiego.

Herling przebił ramię atakującemu strażnikowi, odbił kilkadziesiąt uderzeń i poczuł, że słabnie. Ręce odwykłe od miecza bolały, a serce biło tak, jakby miało za chwilę pęknąć. Jubiler spocił się i z trudem odbijał coraz mocniejsze cięcia. Strażnicy połapali się, że mogą go zmęczyć, i atakowali na zmianę. Nogi Herlinga przestały poruszać się lekko i z wyczuciem. Teraz sunęły za nim, chwiały się i drżały z wysiłku. Zbliżał się koniec. Umysł jubilera skupił się tylko na jednym. Wyczekał chwilę, po czym wykonał unik i miękko obszedł atakującego go strażnika. Zanim pozostali zdolali go schwytać i przytrzymać, wyrwał tamtemu nóż, przyłożył sobie do serca i całym ciałem zwałił się na podłogę. Ostrze przeszło go całą długością. Zaczął dławić się krwią. Strażnicy natychmiast odwrócili go na plecy, wyjęli z piersi nóż i próbowali ratować. Zdeb pochylił się nad jubilerem i szepnął jadownicie:

– Dziewczyna nam tak łatwo nie ujdzie, teściu...

Strażnicy zarechotali wesoło, a twarz jubilera po raz ostatni nabiegła krwią. Jego głowa powoli opadła na bok. Oczy zgasły, a oddech zamarł. Herling nie tak wyobrażał sobie własną śmierć. Marzył o wnukach, o spokoju i łagodnym śnie. Budował mur ze złotych monet i wierzył w jego siłę. Niepotrzebnie. Napad miejskich strażników nie dał mu nawet czasu na rozczarowanie.

Dowódca rozejrzył się po sypialni i jego wzrok spoczął na mieczu Herlinga. Wyjął go z dłoni trupa i wykonał kilka cięć w powietrzu. Miecz był doskonale zakonserwowany. Strażnicy z podziwem obserwowali starannie wykonaną rękojeść i prawie nie zużyte ostrze.

– Wart będzie sporo monet, panie – odezwał się z uznaniem najstarszy ze strażników.

– Dziewczyna! – Zdeb odwrócił gwałtownie twarz w jego stronę i zbladł. – Macie ją znaleźć i przyprowadzić. Żywą i nie zepsuta, zrozumiano? A dom przeszukać do ostatniego mysiego gówna...

Bathy wy dostała się z korytarza i stanęła przed grubym murem. Ostrożnie przekręciła koło zawieszone na metalowym bolcu. Ojciec zadbał o każdy szczegół. Regularnie naprawiał mechanizm i przez całe lata zabezpieczał przejście. Kiedy koło wykonało obrót, fragment muru drgnął i lekko się przesunął, odsłaniającienne światło. Na zewnątrz znajdował się plac, który przypominał wysypisko odpadów. Stały tam stare powozy, leżały połamane wrota, drzwi i okna, walały się porozbijane garnki i pogięte pługi. Gdzieś rdzewiały fragmenty mieczy, kusz i dzid. Pomiędzy dwoma powozami bez kół znalazła miejsce nawet rozbita gilotyna i machina do rozciągania torturowanych więźniów. Były też rozbite lustra, strzaskane zbroje, gnijące siodła i porwane strzemiona. W błocie rozpadały się butwiejące strzępy chorągwi i poszarzałe szmaty. Na tym wszystkim kisiły się odpadki z pobliskich zajazdów i domów – rybie łby, cielęce kości, zgniłe jabłka, oślizłe obierki i cuchnące zgniłe jaja. Herling uznał, że taki właśnie widok dodatkowo zabezpieczał potajemne wyjście z korytarza.

Dziewczyna zeskoczyła na dach starego powozu i obejrzała się za siebie. Fragment muru cicho się za nią zamknął. Przez dziurę w dachu zsunęła się do wnętrza powozu i sięgnęła do torby po pasy z monetami.

Sześć pasów niełatwo było upilnować, a torba niesiona przez samotną dziewczynę szybko wpadała w oczy. Zrzuciła z siebie skórzaną kurtkę i pospiesznie założyła po trzy pasy na każde ramię. Skrzyżowane na plecach i brzuchu, dawały dodatkową osłonę przed cięciem miecza lub noża. Dopiero teraz Bathy nałożyła kurtkę i starannie ją zapięła. Pozostała korona, z którą nie wiedziała, co zrobić. W końcu wpadła na pomysł, żeby ją ukryć w głowie lalki. W powozie znalazła dwie. Były duże, nasiąknięte wodą, wypłowiałe i trochę podarte. Poza tym świetnie nadawały się do kamuflażu. Palce dziewczyny zręcznie rozpruły tył głowy większej z lalek i wydłubały ze środka połowę trocin. Kiedy korona znalazła się w głowie lalki, trociny wróciły na swoje miejsce i pokryły nierówności. Dopiero teraz dziewczyna wrzuciła obie lalki do torby, którą zarzuciła na plecy, i ostrożnie wyszła z powozu. Po kilku krokach poczuła, że monety ważą naprawdę dużo.

Spod jednej ze starych desek wyłonił się nagle stary żebrak z pokierszowaną, krzywą twarzą i kurczawkami na rękach. Chwycił ją za róg kurtki i mocno pociągnął. Przewróciła się, lecz szybko podniosła. Żebrak gwizdnął dwa razy i z rozmaitych dziur, spod blach i odpadów zaczęli wynurzać się inni żebracy. Przeraziła się i spróbowała biec w stronę traktu. Odcięli jej drogę i zaczęli spychać w kąt placu. Wyglądali jak stado wygłodniałych zwierząt. Większość z nich miała wrzody na szyi, brodawki na palcach i kołtuny na głowach. Każdy miał nie pasujące do reszty ciała długie, szpiczaste wąsy i wystające górne zęby. Kiedy oparła się o mur i wydobyła kuszę, zatrzymali się i nerwowo poruszali nosami. Wąchali powietrze i szybko mrugali. Była dla nich łakomym kąskiem. Najstarszy podszedł najbliżej i wyseplenił z trudem:

– Nie tyś pierwsza i nie ostatnia... Dasz po dobroci, to może cię puścimy. No co? Puścimy ją?

Pozostali żebracy zaśmiali się Jakby piszczeni na piszczałkach.

– Ogacona silnie... – zmartwił się Murray, młody, przypominający kościotrupa żebrak. Drapał się silnie w krocze i dreptał w miejscu.

– Nie widać decorum – jęknął inny, ubrany w jasnozielony płaszcz ze śladami starej krwi na brzuchu.

– Widzę, żeście uczeni. – Dziewczyna nawet nie usiłowała ukryć zdziwienia. – Co tu robicie z tymi...

– Uciekam, pani, przed sprawiedliwością – odparł z ironicznym uśmiechem żebrak. Był z nich najgroźniejszy.

– I mowę też macie gładką – stwierdziła dziewczyna, obserwując kątem oka skradającego się w jej kierunku karłowatego mieszkańca placu.

– Za to pytę ma twardą, dziewko – zaśmiał się głośno stary żebrak, a pozostali mu zawtórowali. – Niejedna go dopuściła i nie pożałowała...

Karzeł skoczył, ale zanim dosięgnął dziewczynę, trafiła go w oko miniaturowa strzała z kuszy. Zapiszczał przeraźliwie, skurczył się w locie i w konwulsjach spadł na stos gnijących obierek. Dziewczyna błyskawicznie sięgnęła po kolejną strzałę, ale żebracy byli szybsi. Dopadli ją, schwytali za ręce i nogi, po czym rozciągnęli na butwiejących drzwiach z wystającymi okuciami. Wykształcony żebrak zbliżył się do niej i zrobił zmartwioną minę.

– Brzuch ci zrobimy, pani, ale nie zdążysz się nim nacieszyć – powiedział, rozpinając płaszcz. Jego wąsy poruszały się dwa razy szybciej niż pozostałych. Bathy zobaczyła paznokcie żebraka i zrobiło jej się niedobrze. Przypominały szczurze pazury. Były ostre i brudne.

– Puśćcie mnie! – wrzasnęła przerażona. – Jestem bogata! Zapłacę!

– Ile? – zainteresował się stary żebrak. Powstrzymał ręką przygotowującego się do zdjęcia spodni kompana.

– Ile? – Dziewczyna trzęsa się ze strachu i z trudem składała myśli. – Pięć złotych monet... Dziesięć! Tylko mnie zostawcie...

Trzymający ją żebracy wyczekująco spoglądali na starego. Dziesięć złotych monet było dla nich sumą niewyobrażalną. W jednej chwili wszyscy poczuli się bogaci. Uczony żebrak niechętnie cofnął się do tyłu. Był zły i wcale nie myślał o monetach.

– Może ją chociaż obejrzymy... – mruknął z nadzieją w głosie. – Nic jej nie zaszkodzi, a my oko nacieszymy.

Stary żebrak zawahał się. Widział wzrok pozostałych i umiał z niego czytać.

– Pogapić się trza – zdecydował, wysysając ślinę spomiędzy zębów i plując za siebie. – Ale niech mi który do dziewczki przyskoczy, to mu gardło przegryzę. Nasza ona i wykup daje... Jasne? Zakarbujcie sobie w tych głupich łbach, że dziesięć monet warta... Albo i więcej – dokończył z cwany błyskiem w oczach.

Znów ją pochwycili i przycisnęli do drzwi. Uczony poprawił skołtunione włosy, wyjął nóż i zbliżył się do dziewczyny. Jeden z trzymających aż się zaślinił.

– Bez noża – westchnął błagalnie. – Czysta ona, a ubranie drogie...

Żebrak schował nóż i zaczął odpinać skórzaną kurtkę dziewczyny. Ona sama była tak przerażona, że nawet nie próbowała się bronić. Syczała tylko przez zaciśnięte zęby:

– Dziesięć złotych monet... Dziesięć monet...

Kurtka rozsunała się i ukazały się pasy z monetami. Żebracy przestali nagle interesować się dziewczyną i pochylili się nad nimi. Stary zbliżył się i dotknął pasów. Powoli przesunął po nich brudnym palcem. Podniósł wzrok na pozostałych i nerwowo zacharczał:

– Dziewka ma więcej, niż gadała. Będzie tego ze cztery zamki, albo i z pięć...

– No, to teraz możemy se już pochędożyć! – wykrzyknął najmłodszy z żebraków. Na twarzy miał ropiejące krosty, a jedno z jego uszu było rozciągnięte jak półmisek i smętnie zwisało nad ramieniem.

Nagle wszyscy znieruchomieli. Wydawało się, że zostali zamrożeni. Stali w bezruchu, a ich oczy zasnuwały się mgłą. Tylko jeden z nich, akurat zasłonięty i stojący z tyłu Murray, zsunął się niepostrzeżenie w otwór leżącej beczki i przyczał. Dziewczyna odepchnęła od siebie sztywne ręce żebraków i zerwała się na nogi. Błyskawicznie zapięła kurtkę i naciągnęła kuszę. Ona również czuła, że w powietrzu działo się coś dziwnego. Rozglądała się nerwowo, ale nic nie potrafiła dostrzec. Widziała tylko twarze i oczy żebraków. Na ich skórze pojawiły się bąble i krople potu. Wężykami sunęły po skroniach w dół. Oczy zrobiły się białe, a włosy zaczęły gwałtownie kurczyć się i spalać. Bathy poczuła swąd, chociaż nie zauważyła dymu. Żaden z żebraków nawet nie krzyknął. Po kilku minutach napięcie minęło i wszystko wróciło do normy. Martwi żebracy miękko osunęli się na ziemię.

– Jesteś nieostrożna – odezwał się człowiek, który spokojnie wyszedł spoza fragmentów rozbitego, pandabskiego pieca. Przypominał mnicha. Był gruby, niski i nosił brązowy habit. Jego twarz była wesółą, a zęby białe i zdrowe. Sprawiał wrażenie kogoś, kto lubił się śmiać i nigdy w życiu nie miał żadnych kłopotów. Dziewczyna odsunęła się nieufnie do tyłu i przygotowała do ucieczki.

– Kim jesteś? – odezwała się ostrożnie. – I co im zrobiłeś?

Grubasek rozejrzał się po ciałach leżących żebraków i uśmiechnął się szeroko.

– Nie uwierzysz. – Poruszył wesoło brwiami. – Wy tutaj jesteście dość naiwni... Zachowujecie się tak, jakby wszystko zostało z góry ustalone. Wiesz, o czym mówię?

– Nie wiem – odparła bez zająknięcia. Jej dłoń bawiła się odruchowo cynglem od kuszy.

– Jak ci to powiedzieć... – zastanawiał się głośno grubasek. – Wyobraź sobie, że w miejscu, gdzie stoisz, może się w tej chwili znajdować ściana domu, fragment kosmicznego kamienia, maszt łodzi albo czyjś... grób...

– Co ty gadasz? – przerwała mu z odcieniem lekceważenia. – Jesteś pokręcony, prawda?

– Czy możesz sobie to wyobrazić? – kontynuował niespieszony nieznamy. – Nie możesz... Trudno. Powiem ci inaczej... Mózgi tych ludzi zostały po prostu ugotowane. Dlatego umarli. Teraz rozumiesz?

Dziewczyna zrobiła krok do tyłu i sprężyła się do ucieczki. Grubasek nie należał do tych, z którymi chętnie podzieliłaby się własnymi myślami. Poza tym, kiedy pomyślała o ugotowanych mózgach, zrobiło jej się niedobrze. Wyciągnęła pojednawczo rękę i szepnęła:

– Pójdę już... Dziękuję ci za pomoc, mnichu...

– Nie jestem mnichem – zaprzeczył żywo grubasek. – Nazywam się Ghi-sppi i przybywam z... – Nieznajomy zawahał się na moment i dokończył: – Przybywam z bardzo daleka...

– Na pewno nie z Szybgradii – przerwała mu z młodzieńczą niecierpliwością. – Domyślam się, że możesz pochodzić z krainy mutantów... – Dziewczyna przestraszyła się własnych słów i zamilkła.

Zbyt wiele słyszała o mutantach, aby pokonać strach. Byli zbyt tajemniczy i zbyt silni, aby mówić o nich spokojnie. Ojciec opowiadał jej, jak przed wieloma laty zapuścił się w pościgu za jednym ze złodziei sreber księcia Syriusa aż na tereny mutantów. Na własne oczy widział, że spod

porośniętego trawą stepu wyłoniły się nagle koszmarne łapy i wciągnęły ściganego razem z koniem. To po tym zdarzeniu Herling postanowił wycofać się z branży. Inni twierdzili, że mutanty porywały ludzi, a ich dzieci krzyżowały ze wszystkim, co żywe. Poza tym nikt jeszcze nigdy nie spotkał dobrego mutanta. Wspomnienia, pieśni i opowieści głosiły, że były bezlitosne, zdradzieckie, wyrachowane, zimne i samolubne. Ludzi traktowały jak olbrzymią hodowlę zwierząt. Bathy dobrze o tym pamiętała.

– Tak naprawdę to mnie tutaj nie ma... – zaczął powoli Ghi-sppi. – To wszystko, co jest waszym prawem, co rozumiecie lub zwyczajnie akceptujecie...

– Nie ma co, jesteś pokręcony... – przerwała mu zaciekawiona dziewczyna.

– Spróbuj pomyśleć, dobrze? – cierpliwie ciągnął przybysz. – Nie jestem stąd i nigdy przedtem nie miałem nóg ani rąk... Wspólna dla nas jest tylko temperatura. My także czujemy zimno i gorąco... No, może trochę inaczej, ale...

Mina Bathy zrobiła się podejrzliwa i lekko znużona. Była zbyt młoda, aby tracić czas na wysłuchiwanie wariatów. Odwróciła się i zaczęła oddalać. Ostrożnie, krok za krokiem, czując w palcach kształt miniaturowej kuszy, zeskoczyła ze sterty obierek i ruszyła w stronę głównego traktu. Nie oglądała się. Plac ze śmieciami chciała jak najszybciej pozostawić za sobą. Ghi-sppi odprowadził ją zatroskanym wzrokiem i z zadumą podrapał się w głowę. Sprawiał wrażenie zdziwionego dziecka, które przez pomyłkę znalazło się w świecie dorosłych.

Przed wejściem na trakt Bathy założyła biret noszony przez czytaczy i starannie ukryła pod nim włosy. Postawiła kołnierz i wsunęła kuszę do torby z lalkami. Rozejrzała się po zatłoczonym trakcie i skierowała do stajni, w której Herling trzymał część swoich koni. Spod oka obserwowała

przesuwające się od czasu do czasu sylwetki strażników. Szukali jej. Domyśliła się, kiedy zobaczyła, w jaki sposób patrzą na każdą napotkaną dziewczynę. Niektóre nawet zatrzymywali i nie zważając na krzyki, dokładnie oglądali.

Bathy przyjrzała się ludziom w pobliżu stajni i z pochyloną głową weszła do środka. Zaraz potem z tłumu wyłonił się Ghi-sppi. Uśmiechał się, gryzł jabłko i patrzył bystro w głąb stajni.

Dziewczyna szukała wzrokiem starego Gawdiego, ujeżdżacza koni i byłego posłańca w służbie króla Kreporu. W Grwaldzie mówiono, że nie było przed laty lepszego jeźdźca od Gawdiego. Przewoził królewskie informacje z niespotykaną szybkością. Wiele z jego rekordów nadal nie zostało pobitych. Młodzi posłańcy traktowali go jak legendę. W ich ustach imię Gawdiego brzmiało lepiej niż królewskie. Działo się tak wyłącznie z jednego powodu: przeciętnie życie królewskiego posłańca nie trwało w służbie dłużej niż dwa lata. Większość ginęła na szlaku lub po prostu rezygnowała. A Gawdi, jakby go ktoś zaczarował, służył prawie trzydzieści lat. Stary posłaniec przyjaźnił się z Herlingiem i znał Bathy od najmłodszych lat. W wolnych chwilach, kiedy nie dokuczała mu połamana przed laty noga, uczył ją jeździć i tresować konie. To dzięki niemu dosiadała najsilniejszych wierzchowców i mogła rywalizować z najlepszymi jeźdźcami. Na pograniczach wszystkich pobliskich krain, w Pandabie, Sagdenii, na stepach mutantów i w barbarzyńskiej Szybgadii, w Lasach Orchy i za Górami Asta jedynymi, którzy dorównywali w siodle królewskim posłańcom, byli żołnierze księcia Syriusa. I ona, córka zabitego jubilera, Herlinga.

– Hej, parobku, jest tu gdzieś stary Gawdi? – zawołała donośnie Bathy. Chłopak z twarzą zniekształconą od uderzenia kopytem popatrzył na nią zdrowym okiem i pokazał palcem najszerszą z przegród. Dziewczyna

zbliżyła się i ze zdziwienia aż podniosła brwi. Jej koń był osiodłany, a Gawdi kończył właśnie skracać strzemiona. Kiedy oparła mu dłoń na ramieniu, odwrócił się i zobaczyła w jego oczach łzy. Stary posłaniec płakał.

– Zabili go – odezwał się, przytulając dziewczynę. – Twój ojciec został zdradzony i dlatego zginął... Musisz uciekać, dziecko. Te psy nie dadzą ci spokoju...

– Ale skąd o tym wiesz? – Dziewczyna zagryzła wargi i nie chciała mu uwierzyć.

– Stary Gawdi ma swoje sposoby – odpowiedział, otarł rękawem łzy i pokazał jej konia. – Pod siodło położyłem barwę królewskich posłańców. Teraz trzeba ci się przebrać. Wyjedziesz z osady i zaczekasz na rozstajach. Chłopak jeszcze śpi. Osesek, ale coś tam o mnie słyszał... Znajdzie cię, zamienicie konie, ubrania i ruszysz bezpiecznie swoją drogą... I nie wracaj tutaj, dziecko, nie mścij się, bo cię przydybią... Parszywy to czas, dziecko, a przyjaciół coraz mniej. Tłuszcza chce rządzić, a to źle wróży...

– Prawo mówi, że fałszywy posłaniec darty jest ze skóry... – wyszeptala z lękiem dziewczyna. – A ten, który mu pomagał, tak samo... Tyle, że solą go nadziewają, zanim ducha wyzionie...

– Ja pomogę. – Głos Ghi-sppi zabrzmiał niemalże wesoło. Gawdi spojrzał na przybysza spod krzaczastych brwi i położył rękę na rękojęści noża zatkniętego za grubym, barwionym rysunkami pasem. Bathy uspokoiła go gestem dłoni i powoli odwróciła głowę.

– Czemu nie idziecie swoją drogą, panie? – zapytała, wpatrując się z obawą w wejście do stajni. – Życie wam niemiłe? Jam ścigana przez strażę, a kto ze mną, ten śmierć może zwąchać...

Grubasek rozłożył szeroko ręce i powiedział z jeszcze szerszym uśmiechem:

– Nie boję się śmierci. Jest zła, a zła nie trzeba się lękać... Wszystko, co żyje, ma swój strach. Tak samo śmierć. Dlatego jest żywa... i szkoda na nią strachu.

– Cóż to za dziwak? – odezwał się stary Gawdi, krzywiąc się i pokazując przy tym długie włosy sterczące z nosa.

– Uratował mi życie – odparła bez zastanowienia dziewczyna. – Chyba jakiś pomerdany, ale sztuki zna...

– Czas na ciebie – Gawdi przerwał jej, podał ubranie królewskiego posłańca i popchnął w stronę siana w rogu stajni. – Zakładaj to i ruszaj. A on... Pomerdany czy nie, ale zawsze swój. Weź go, dziecko. Pomocny jest, to i dobrze... Konia mu osiodłam.

Gawdi sięgnął po siodło wiszące na kołku i krytycznie przyjrzał się grubaskowi. Tamten odpowiedział mu głupim uśmiechem. Stary tylko pokręcił głową i pokuśtykał do przegrody, w której stał siwy, niewielki konik. Kiedy położył na nim siodło, siwek zarżał radośnie i uderzył kopytem w ziemię.

– To najmądrzejszy koń, jakiego mam – powiedział na wpuł do siebie stary posłaniec. – Daję ci go, ale pilnuj dziewczki jak własnego gardła... Pojmujesz? – Przybysz odpowiedział mu tylko kiwnięciem głowy i wyszczerzonymi w uśmiechu zębami. – Jeździć umiesz?

– Nauczę się – Ghi-sppi poklepał konika po zadzie i głęboko wciągnął powietrze. – Przyjemnie tu u was śmierdzi, panie... A o jazdę nie martwcie się. Nogi rozłożę i pojedę...

Gawdi nie zdążył nawet zakrztusić się z wrażenia, ponieważ dziewczyna energicznie pocałowała go w policzek i pociągnęła za sobą wierzchowca.

– Na rozstajach... – rzuciła za siebie ni to do Gawdiego, ni to do grubaska, i wyszła ze stajni.

ROZDZIAŁ 5

Słońce pojawiło się nagle. Wydawało się, że jakiś nienaturalnie duży miecz przeciął powłokę deszczowych chmur i pozwolił promieniom dosięgnąć ziemi. Złote światło rozlało się po błotnistej drodze i spoczęło na pobliskich krzakach. Maqui dopiero teraz dostrzegł pochylonego w siodle Pinta. Jego dowódca najwyraźniej starał się nie spaść z rozciągniętego w pełnym galopie konia. Po chwili żołnierz zauważył strzałę tkwiącą w ramieniu jeźdźca. Z półcienia oddalających się chmur wyłonili się trzech królewscy strażnicy. W rękach trzymali miecze i za wszelką cenę próbowali doścignąć uciekającego. Maqui nie potrzebował zbyt długo myśleć, aby przewidzieć koniec tego pościgu. Pinto, jeden z najlepszych jeźdźców księcia Syriusa, osuwał się coraz bardziej na końską grzywę i słabł po utracie krwi. Tamci nawet nie wyciągnęli kusz. Chcieli dopaść uciekiniera i najwyraźniej trochę się z nim zabawić.

Maqui wymierzył starannie i wystrzelił. Strzała trafiła królewskiego strażnika dokładnie w gardło. Zachwiał się w siodle, chwycił za szyję i plując krwią, spadł z konia. Noga, która uwięzła w strzemieniu, ciągnęła go jeszcze kilkadziesiąt metrów po błotnistym trakcie. Pozostali strażnicy zareagowali prawie natychmiast. Obaj zjechali z drogi i skierowali się w stronę krzaków, z których padł strzał. Maqui wyjechał z ukrycia, dobywając miecza. Wiedział, że nie ma szans, ale za wszelką cenę chciał uratować matkę i dziecko. Wyjechał na drogę i zatrzymał konia. Za plecami słyszał narastający tętent kopyt. Wierzył, że Pinto miał jeszcze resztki sił i

zawrócił, aby pomóc swojemu żołnierzowi. Maqui stał z przygotowanym do cięcia mieczem i czekał, aż obaj strażnicy wjadą ponownie na trakt. Wtedy właśnie zobaczył za ich plecami zbliżający się oddział. Przez moment miał nadzieję, że zauważy charakterystyczne sylwetki żołnierzy księcia Syriusa. Tym razem los mu nie sprzyjał. Za plecami atakujących go strażników pędziła ubrana w czerwone płaszcze królewska jazda. Maqui westchnął ciężko i przygotował się na śmierć. Kiedy pierwszy ze strażników zadał mu cios mieczem, odchylił się i sparował uderzenie. Atak drugiego był o wiele groźniejszy. Miecz zawirował w powietrzu i trafił Maquiego pod pachą. Żołnierz poczuł ostrze i w ostatniej chwili odbił barkiem nadlatującą pięść tamtego. Zanim zdążył przygotować się do następnego starcia, świeży oddział królewskich strażników zaatakował go, ustawiając się jeden za drugim, jak na pokazie.

Jako pierwszy uderzył niski, szeroki w barach strażnik z głęboką blizną na policzku. Wyprostował się w siodle, przełożył miecz nad lewe ramię i ciął ze straszliwą siłą. Maqui zareagował odruchowo. Ściągnął wodze i koń stanął dęba. Potężne cięcie miecza spadło zamiast na niego, na głowę zwierzęcia. Maqui wy dostał się ze strzemion i odskoczył na bok. Koń z odciętym łbem zwałił się tuż przed kopytami wierzchowca następnego strażnika. Żołnierz zauważył tylko, że dwaj pierwsi strażnicy galopują na koniec oddziału i zajmują swoją kolejkę do ataku. Zabawa zaczęła się na dobre. Wtedy właśnie z krzaków rozległ się płacz dziecka. Atakujący strażnik skręcił konia w bok i ze zdziwienia ściągnął do tyłu. Kopyta zaryły się w błocie, a pozostali jeźdźcy ruszyli do miejsca, skąd doleciał płacz. Maqui wykorzystał zdziwienie strażnika i z całej siły ciął go mieczem po nodze. Tamten ryknął z bólu i zwałił się ciężko na drogę. W jego udzie ziała ogromna, buchająca krwią rana. Maqui resztkami sił wspiał się na stojącego konia i pognał za strażnikami w stronę krzaków.

– Nie ruszaj się! – krzyczał z przerażeniem w głosie. – Stój spokojnie... pani!

Kobieta jednak nie usłyszała go. W jej uszach brzmiał ponury i monotony pomruk królewskich strażników. Kiedy znaleźli się kilka metrów od jej kryjówki, przeraziła się i postanowiła uciekać. Uderzyła konia piętami, przytuliła dziecko do piersi i wyjechała z krzaków. Maqui ciał przez plecy najbliższego strażnika, ale w chwilę potem sam runął na ziemię z rozplatanym ramieniem. Wtedy zobaczył coś, o czym później całe pogranicze śpiewało pieśni. Zza krzaków wyłonili się w cwale dwaj jeźdźcy, zasłonili sobą kobietę z dzieckiem i uderzyli na królewskich strażników. Dwunastu doborowych, specjalnie szkolonych ludzi króla Kreporu starło się z łapaczem i jego towarzyszem.

Maqui widział ruch rąk Idalga i dwa ciała strażników, spadające w błoto z nożami w piersiach. Dostrzegł także błysk przedziwnej, zakrzywionej szabli Humana, usłyszał krzyk dwóch następnych strażników i zobaczył dwie odrąbane głowy. Potem zaczął się sądny dzień. Łapacz i olbrzym odbijali uderzenia i co chwila rzucali kogoś na ziemię. Maqui leżał w bezruchu i prosił bogów, aby nie zemdlec. Idalgo walczył dwoma krótkimi mieczami, od czasu do czasu ukrywając jeden z nich pod ramieniem i wyrzucając wolną ręką nóż. Wobec jego mistrzostwa strażnicy byli bezsilni. Ich wysiłki kończyły się tragicznie: śmiercią lub głębokimi ranami. Żołnierz spojrzał z lękiem w stronę, gdzie uciekła kobieta z dzieckiem. Stała nie opodal i spokojnie przyglądała się walce. Wydawało się, że dziecko, które trzymała w rękach, obudziło w niej jakąś niezwykłą siłę. Zza jej pleców wyłonił się koń Pinta. Dowódca chwiał się w siodle i zalany krwią trzymał w ręce napiętą kuszę. Gotów był zastrzelić każdego, kto ruszy w stronę kobiety i dziecka.

Koń Humana poślizgnął się, zarżał żałośnie i przysiadł na zadzie. Miecz jednego ze strażników wysunął się do przodu i niczym żądło ugodził olbrzyma w pierś. Kiedy Human runął wraz z wierzchowcem na ziemię, Idalgo zeskoczył ze swojego konia, a jego krótkie miecze zaczęły wykonywać niemalże niezauważalne dla oczu obroty. Czterej pozostali przy życiu strażnicy również zeskoczyli z siodeł i rzucili się na przygnięcionego koniem olbrzyma.

Na nic jednak zdały się ich sztuczki i wyćwiczone latami pchnięcia. Trafili na mistrza, który potrafił wyprzedzać ich myśli i poruszał się o wiele szybciej. Łapacz schodził z linii uderzenia, blokował mieczami sztychy i rąbał nieomylnie w najbardziej odsłonięte miejsca. Pierwszego ze strażników przeciął na pół od głowy do pasa razem z czerwonym płaszczem, którego dwie części smętnie opadły w błoto. Drugiego nadział na jeden z mieczy, po czym zasłonił się jego ciałem przed atakiem trzeciego, niskiego i barczystego strażnika z blizną. Tamten nie spodziewał się takiej sztuczki i z półobrotu ugodził własnego towarzysza w plecy. Zanim zdążył wyciągnąć miecz, jego ręka przestała cokolwiek czuć. Zawisała na rękojeści miecza odcięta do łokcia. Strażnik skrzywił we wściekłym grymasie brzydką twarz i wyciągnął lewą ręką nóż. Sprawiał wrażenie całkowicie nieczułego na ból. Czwarty, ostatni z królewskiego oddziału, przedarł się bokiem do leżącego Humana, by zadać śmiertelne pchnięcie. Trochę się jednak spóźnił. Jego ramiona zastygły uniesione z mieczem do góry, ponieważ szabla olbrzyma obcięła mu nogi powyżej kostek. Ciało stało się nieposłuszne, a ręce utraciły dawną siłę. Padł tuż obok rannego Humana i próbował na leżąco dobić przeciwnika. Mimo bólu i przegranej walczył do końca. Nie zdążył wydobyć noża, ponieważ potężne kopnięcie łapacza odrzuciło go kilka metrów do tyłu. Ostatnie cięcia Idalga były szermierczym popisem. Miecze przecięły pierś strażnika

z blizną idealnie obok siebie, po czym wykonały koło i po kolei, tnąc raz z jednej, raz z drugiej strony, wryły na jego ciele krzyż. Na szyi oparły się na jedną krótką chwilę. Tylko po to, żeby cięciami otworzyć tętnice. Walka była skończona.

Idalgo wbił miecze w ziemię i podbiegł go Humana, przygniecionego przez rannego konia. Olbrzym umierał. Łapacz odsłonił mu pierś i zobaczył wąski otwór po pchnięciu miecza. Ostrożnie, starając się oszczędzić towarzyszowi bólu, wyciągnął go spod konia. Wydawało się, że nie dostrzega czołgającego się w ich stronę Maquiego i kobiety z dzieckiem na ręku.

– Tak źle? – W głosie łapacza czaiła się ledwie uchwytna nutka żalu. – Chyba nie będziesz tutaj umierał?

– Szkoda... – wykrztusił z trudem olbrzym. – Szkoda... Nie zdążyłem ci podziękować, łapaczu...

– Panie – odezwała się cicho kobieta. – Dzięki za wybawienie. Tamtego opatrzyłam. Przeżyje, ale krew z niego wyszła...

Idalgo nawet nie odwrócił głowy. Przyglądał się młodej twarzy Humana i chwycił nozdrzami powiew śmierci. Szła powoli, ale nieomylnie. Łapacz pochylił się do ucha olbrzyma i szepnął:

– Jesteś dobrym... mutantem, Human. Bardzo dobrym...

Oczy olbrzyma rozszerzyły się w ostatnim zdziwieniu. Idalgo uśmiechnął się i pozwolił mu widzieć swoją twarz.

– Tylko koty widzą tak dobrze w nocy... – wyjaśnił cicho.

Ręka olbrzyma podniosła się i oparła na ramieniu łapacza. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale śmierć była szybsza. Jego ciałem wstrząsnął silny dreszcz, po czym nagle zeszywniał. Głowa opadła na bok, a otwarte oczy straciły swój blask. Nie żył.

– Panie. – Kobieta była blisko. Uklękła przy łapaczu i dotknęła jego ręki. Jej oczy były załzawione. – On nie musiał umierać... On...

– Dziecko... – Z boku rozległ się słaby głos Maquiego. – Połóżcie na nim dziecko...

Łapacz spojrział ze zdziwieniem na żołnierza. Kobieta również otworzyła oczy i mocniej, jakby z lękiem, przycisnęła dziecko do siebie. Maqui był bliski omdlenia. Jego rany nie były groźne, ale wpływ krwi wyraźnie go wyczerpał. Z uporem, ciężko chwytając powietrze, powtarzał:

– Połóżcie na nim dziecko... Będzie żył... Tylko połóżcie na nim...

Zemdlał. Kobieta podała dziecko łapaczowi i ostrożnie pochyliła się nad żołnierzem. Wprawnie odszukała jego ranę, po czym oddarła część swojej mokrej sukienki. Powoli, z zaciśniętymi zębami, zaczęła opatrywać Humana. Idalgo wpatrywał się niepewnie w twarz dziecka i coraz bardziej przekonywał się, że uczestniczy w jakiejś tajemnicy. Czerwone, niezwykle oczy dziecka spoglądały na niego ciekawie, a twarz wcale nie przypominała twarzy niemowlęcia. Kiedy łapacz położył dziecko na piersi nieżyjącego Humana, oczy te zrobiły się jeszcze bardziej czerwone, a całe ciało znieruchomiało. Idalgo miał wrażenie, że przenika go nieogarnione zimno. Po raz pierwszy przeszył go lęk. Dziki, nieokreślony i silny. Taki, przed którym nie można się obronić. Przychodził znikąd i odchodził nie wiadomo kiedy. Miał wrażenie, że przez chwilę dotykał śmierci. Instynkt, jak przez zasłonę, podpowiadał mu, że sam jest częścią tajemniczego misterium.

Palce Humana drgnęły. Łapacz o mało nie krzyknął. Setki razy zadawał śmierć, nigdy jednak nie widział, aby umarli ożywali. Tym razem działo się coś niezrozumiałego, coś, o czym legenda opowiadała tylko w tajemniczych zarysach. Dziecko posiadało siłę, o której ludzie od tysięcy lat mogli wyłącznie marzyć. Tantra, matka chłopca, była tak samo zdziwiona. Podniosła dziecko i przytuliła do piersi. Odeszła kilka kroków i zaczęła je

karmić. Jej oczy błędziły jednak gdzieś daleko, tak jakby próbowała uspokoić myśli i o wszystkim zapomnieć. Od czasu do czasu przesuwała skrycie wzrok w stronę Idalga i wówczas malował się na jej twarzy wyraz niepewności i skupienia. Żyłasty łapacz ze szponem orła wytatuowanym na skroni w dziwny sposób wydawał jej się bliski.

Human otworzył oczy i z wysiłkiem usiadł. Dotknął rany, która przypominała teraz świeżą bliznę.

– Co się stało? – szepnął niewyraźnie.

– Nie wiem – odpowiedział Idalgo. Wzrok kobiety zaniepokoił go jeszcze bardziej. – Ona też nie wie... Nikt nie wie. Może tylko...

– Dziecko, panie. – Maqui odzyskał przytomność i powoli wracał do sił. – To dziecko jest... inne.

– Nie żyłeś. Usiekli cię... – wyjaśnił najlepiej, jak potrafił, Idalgo. – Nie pamiętasz? – Łapacz ściszył głos. Przez moment wydawało mu się, że ktoś ich słucha. – Koń poślizgnął się i dostałeś sztych w piersi... mutancie...

Human drgnął. Podejrzliwie popatrzył na łapacza. Niczego nie rozumiał. Skąd tamten wiedział o jego tajemnicy i w jaki sposób udało mu się ocalić życie? Spojrzeniem odnalazł swoją szablę i powoli sięgnął po nią ręką.

– Powiedziałeś... mutancie? – zapytał bardzo cicho. Mimo to łapacz doskonale go usłyszał. Maqui ciężko oddychał i patrzył w niebo. Nadal świeciło słońce, a chmury wędrowały bokiem. Kobieta nie oglądała się. Karmiła dziecko, nucąc pod nosem jakąś kołysankę.

– Powiedziałem ci już, że tylko koty tak dobrze widzą w nocy – odparł szeptem Idalgo. – Cudów nie ma...

– Chyba są – przerwał mu olbrzym. – Mówiłeś, że było po mnie... – Zmienił temat.

– Dzieciak cię uratował – przytaknął łapacz. – Wystarczyło, że poleżał na tobie... Słyszałeś o legendzie? Ma przyjść czas wielkiej wojny. Czytacze

gadali, że urodzi się ktoś całkiem inny, ktoś mocny jak samo życie...

– Jak to możliwe? – Human wstał i pokręcił z podziwem głową. Dotykał swojej rany, napinał mięśnie i patrzył w stronę dziecka. – A więc nie żyłem, tak? – Dopytywał się z niewyraźnym wyrazem twarzy.

– To pewne. Na tym się znam – potwierdził łapacz, drapiąc się w szpon orła na skroni. – Ducha wyzionąłeś i tyle. Gdybym sam tego nie widział, śmierdziałoby mi czarami na odległość. A ja w żadne czary nie wierzę. Śmierć jest śmierć i powrotu nie ma. A ty... wróciłeś...

Łapacz odwrócił się i ruszył obejrzeć ciała pozabijanych i rannych strażników. Po drodze schylał się i wyciągał z nich swoje noże. Ci, którzy przeżyli, patrzyli na niego zimno i mruzcili swoją bojową pieśń. Dowódca żołnierzy księcia Syriusa zbliżał się z wysiłkiem w ich stronę. Był blady i ledwie trzymał się na nogach. Idalgo schował ostatni nóż do pochwy i popatrzył na żołnierza nieufnym wzrokiem.

– Dzięki wam, panie, za pomoc – wykrztusił Pinto. – Widać grób nie był nam dzisiaj pisany. Wyście chyba nie stąd. Za dobrze bronią robicie... A strażnicy w czerwonych płaszczach z czarnymi znakami to nie byle ochłap. Jestem Pinto. Dowódca od księcia Syriusa. Jeśli wam po drodze, to zapraszamy. W zamku miejsce się znajdzie i gościna...

Łapacz pokiwał głową i obejrzał się na Humana. Olbrzym wybierał sobie właśnie konia. Sprawdzał nogi i zaglądał do pysków. Nawet siodło opukał i zajrzał do kieszeni. W końcu zadowolony wspiał się na jednego z wierzchowców i po raz pierwszy się uśmiechnął.

– Róbcie, co trzeba – zgodził się Idalgo. – Pojedziemy za wami. Marniście obaj... – Spojrzał na podnoszącego się Maquiego. – Dzieciaka trza przypilnować. Chociaż on mocny, to byle kto mógłby mu łeb jeszcze ukręcić. To pewne.

Tantra od dłuższej chwili nie spuszczała z łapacza oczu. Dziecko zasnęło, a ona poczuła się zmarznięta i samotna. Nigdy o legendzie nie słyszała, a tajemnicza moc dziecka przerażała ją. Czuła, że jej los także wymaga wielu wyjaśnień. Nie знаła nawet ojca dziecka. Poczęła je w ciemnościach, w upale nocy i stygnącym piasku plaży. Najpierw poczuła zapach kadzidła, a potem otworzyła się na przeznaczenie. Kiedy brzuch zaczął jej rosnać, zrozumiała, że stała się kobietą. Każda inna byłaby wyklęta i wygoniona ze wsi. Ona została. Była obca i innej krwi. Chłopi znaleźli ją przed laty w koszyku i przygarnęli. Zawsze jednak wołali, że nie jest z nich. Rosła jak jemioła, piękna i tajemnicza,

Może dlatego spojrzenie łapacza nie przerażało jej, a szpon wytatuowany na jego skroni wydawał się bliski. Uśmiechnęła się.

Human był jakiś inny. Obojętnie podchodził do rannych strażników i bez słowa dobijał ich cięciem swojej szabli. Pinto i Maqui odwrócili wzrok i w zamyśleniu żuli zimny, gotowany bób. Tantra zaledwie prześlizgnęła się spojrzeniem po zabijanych strażnikach, a uśmiech na jej twarzy nie zmienił się. Łapacz przyglądał się w milczeniu olbrzymowi i spokojnie palił fajkę. Nie reagował. Kiedy zbliżył się do Maquiego i Pinta, usłyszał niepewne pytanie:

– Panie... czy tak uchodzi?

Nie musiał odpowiadać. Human osobiście pojawił się przy nich i chowając szablę, wyjaśnił:

– Śmierć mi teraz zwyczajna. Ani dobra, ani zła. Dla jednych straszna, dla drugich warta byle pierdnięcia. Sprawa jest ważna. Trza chronić dziecko i nie oglądać się za siebie...

– Dorznęliście ich jak barany... – Z gardła Pinta wydobyło się oskarżenie. – Trochę człekowi dziwnie, kiedy tak żołnierza patroszą...

– W naszych rękach nie byle co... – przerwał Human. – Dziecko życia, panie dowódco... Widać bogowie na nas zesłali łaskę. Parszywie się dzieje, że strażnicy w czerwonych płaszczach włóczą się po trakcie całymi bandami. Oj, kroi się coś niedobrego, panie dowódco, oj, kroi. Niezwyczajny to czas...

Idalgo pokiwał głową, jakby chciał wszystko potwierdzić. Zgasił fajkę i pokazał wzrokiem krzaki.

– Dla matki i dziecka trza zrobić nosze – powiedział zdecydowanie. – Dwa długie badyle muszą wystarczyć. W Sagdenii nazywają to travois. Przywiązuje się koniowi dwa badyle na karku, a z tyłu robi leże... Odsapnijcie trochę i ruszamy. Noc idzie, a droga do księcia daleka...

– Co z trupami, łapaczu? – odezwał się z niepokojem Maqui. – A i konie znaczne...

Nie musiał czekać na odpowiedź. Human zaczął właśnie ściągać ciała zabitych strażników w krzaki. Chwytał ich za nogi po dwóch i włókł w największą gęstwinę. Kiedy lunął deszcz, wszyscy znajdowali się pod grubą warstwą gałęzi.

– Konie weźmiemy tak, jak stoją – zawołał olbrzym. – Nas mało, a ich dużo... Powiemy, że znalezione. – Zaśmiał się, wiążąc wierzchowce w długi szereg. Na niebie pojawiła się długa błyskawica i kilka sekund później rozległ się grzmot. Ulewa zrobiła się jeszcze gęściejsza, a pioruny raz po raz uderzały w pobliskie drzewa. Kilka z nich zapaliło się, rozkwitło płomieniem i szybko zgasło w strugach wody. Poruszali się wolno i ostrożnie. Kobieta z dzieckiem, osłaniając się przed deszczem aż trzema czerwonymi płaszczami zabitych strażników, jechała na noszach ciągniętych przez niskiego siwka. Dwaj ranni żołnierze księcia Syriusa posuwali się powoli na końcu grupy, zatrzymując się co pewien czas i uważnie nasłuchując. Wierzchowce królewskich strażników ciągnęły się

posłusznie za koniem Pinta. Z przodu jechał Human. Olbrzym wpatrywał się w noc, pilnował tempa i doglądał noszy. Mimo że deszcz zelżał, nie zapalili pochodni i poruszali się w ciemnościach. Chmury zasłaniały księżyc, więc droga była niewidoczna i musieli zdać się na instynkt. Kilkadziesiąt kroków w przodzie jechał Idalgo. W razie napadu dawał im czas na ukrycie kobiety i dziecka. Nieraz czekał na nich, zamieniał kilka zdań z wycieńczonymi strażnikami i ponownie mszał do przodu. Po przejechaniu połowy drogi, kiedy do świtu pozostały jeszcze zaledwie dwie godziny jazdy, kobieta wyjrzała spod przemokniętych płaszczy i zawołała do jadącego najbliższej Maquiego:

– Musimy się ogrzać, panie. Dziecko ma dreszcze, a i ze mną nie jest najlepiej. Przemokliśmy. Zdałoby się stanąć w jakim zajeździe...

Żołnierz, który sam ledwie trzymał się w siodle, skinął głową i przyspieszył jazdę. Pinto nawet się nie odezwał. On również znajdował się na granicy wycieńczenia i gorączkowego letargu. W nocy temperatura obniżyła się, a padający deszcz stał się zimny i przenikający do kości. Mimo to obaj żołnierze trzymali się w siodle tak, jak ich nauczono. Byli wyprostowani, a jedna ręka zwisała luźno wzdłuż boku. W przypadku Pinta była to zdrowa lewa ręka. Konia prowadził nogami.

– Kobieta i dziecko muszą odpocząć. – Maqui zrównał się z Humanem i spojrzał w jego stronę. Olbrzym popatrzył na niego przenikliwie i mruknął, że zrozumiał. Uderzył konia piętami i z miejsca ruszył galopem. Tylko on mógł sobie na to pozwolić. W nocy widział nie gorzej niż w dzień. Kiedy zbliżył się do łapacza, tamten miał już gotową odpowiedź.

– Widzi mi się, że trza im wytchnienia – powiedział na powitanie.

– Gdzieś tutaj był zajazd. Księstwo zaczyna się od rozdroża, a zajazd jeszcze po stronie Kreporu...

– Cni mi się, że jako dzieciak byłem tu z cyrkiem... – wtrącił niepewnie Human. – Będzie z dziesięć lat, albo i więcej...

– Podła to była buda, a gospodarz drab i złodziej – stwierdził na wpół do siebie łapacz. – Chybaśmy się nie polubili...

– Granica blisko, czas inny, może nie pozna? – myślał głośno olbrzym. – A i księżęcych możemy tam spotkać...

– Na pewno – zgodził się Idalgo. – Tak samo jak królewskich – dodał kwaśno. – Albo co gorszego...

Brwi Humana podniosły się ze zdziwieniem do góry. Zatrzymał konia i powiedział wyczekująco:

– Dziwnie gadasz...

– Słyszałeś o pellegrisach? – Pytanie łapacza zabrzmiało sucho.

– Różnie nasi gadali – odpowiedział bez przekonania olbrzym. – Podobno mordują w szale...

– Pellegrisi wierzą, że ich bogom jest za ciasno, i zabijają na ilość – wyjaśnił Idalgo. Za plecami słyszeli zbliżające się konie Maquiego i Pinta. – Wpadają nagle w szal i wyrzynają wszystkich, dopóki sami nie zostaną zabici. Szkolą się w walce w tłumie... Widziałeś kiedyś ich broń? Nie... Podobna do twojej. Tylko trochę krótsza i trzy razy szersza. Dobra do rąbania mięsa w jatce... Mają też długie kije...

– Boisz się, że ich spotkamy? – Teraz głos Humana brzmiał niemalże oficjalnie.

– Zły to czas i trza się pilnować – zakończył łapacz. – Szalonych nie brak, a w zajeździe tłoczno.

Kiedy zatrzymali się przed bramą zajazdu, do świtu pozostało tylko kilka chwil. Wrota były uchylone, a światło pochodni rozchodziło się po dziedzińcu. Stało tam kilkanaście koni i trzy powozy. Nad wejściem do zajazdu paliła się lampa naftowa, a przez małe okna wydostawały się na

zewnątrz smugi żółtego światła. Z wnętrza dolatywały pijackie okrzyki i śpiewy. Wokoło unosił się zapach pieczonego mięsa i dymu z komina.

Idalgo podszedł do koni i sprawdził je. Niektóre należały do królewskich strażników. Rozpoznawał siodła i rasy Pandabu, Sagdenii, Ougi i królestwa Kreporu. Były nawet dwa wierzchowce wyhodowane w Lasach Orchy, na rozległych polanach pośród tysiącletnich drzew. Miały wychudłe boki i nerwowo strzygły uszami. Powozy należały do przewoźników. Mocne, wielokrotnie reperowane, ze śladami strzał z tyłu i po bokach, na gumowych obręczach, ze zdobionymi drzwiami i wysoko zawieszonym siedzeniem dla woźnicy, przypominały zimne i surowe z wyglądu chaty samotnych myśliwych. Human przywiązał konie na dziedzińcu i pomógł kobiecie wstać. Maqui i Pinto na sztywnych nogach podążyli za nimi do drzwi zajazdu. W chwili gdy otwierali drzwi, noc zgasła i ukazało się światło dnia. Deszcz przestał padać.

ROZDZIAŁ 6

Waldo był zmarznięty i obolały. Po uderzeniu końskim łbem jego pierś pokryła się krwawymi naciekami. W środku wszystko go paliło, a w ślinie pojawiła się krew. Domyślał się, że złamane żebra musiały coś poważnie uszkodzić. Handlarz zagryzał zęby z bezsilnej wściekłości i zataczając się, kierował się w stronę rzeki. Tam miał nadzieję spotkać podobnych do siebie i uciec do Szybgadii.

Deszcz nie padał, słońce zaczęło ostro przypiekać, a on coraz bardziej odczuwał zimno. W końcu wstrząsnęły nim dreszcze. Kilkakrotnie próbował zapolować na zwierzynę, ale za każdym razem uciekała spłoszona. Idąc lasem wzdłuż traktu, obserwował drogę i wypatrywał kogoś, kogo mógłby zabić i odebrać konia. Niestety, mało kto jeździł samotnie po traktach, a on był zbyt słaby, aby rzucić się w pojedynkę nawet na przejeżdżających chłopów. Zanim zdołałby naciągnąć kuszę, dopadliby go i zarżnęli.

Kiedy zaczynał już tracić nadzieję, a jego nogi stanowczo odmawiały posłuszeństwa, zobaczył zbliżającego się jeźdźca. Jechał powoli i był całkowicie samotny. Twarz handlarza wykrzywiła się z radości w jadowitym grymasie. Drżącymi rękami naciągnął kuszę i czekał. Jeździec był niskiego wzrostu i drobnej kości. Poruszał się tak, jakby w ogóle nie spodziewał się niebezpieczeństwa. Waldo dopiero teraz dostrzegł barwy królewskich posłańców. Zdziwił się. Nigdy wcześniej nie słyszał, aby królewski posłaniec poruszał się tak wolno. Ilekroć ich widział, zawsze

pędzili cwałem, a ich sylwetki zlewały się prawie z końskim grzbietem. Tylko wyjątkowy desperat mógł pokusić się o dogonienie posłańca. Byli najszybsi i mieli najlepsze konie.

Dlatego Waldo ociągał się ze strzałem. Wietrzył zasadzkę albo coś gorszego. W końcu jego sprytny umysł uznał, że czas niepokoju na pograniczu rozluźnił dyscyplinę nawet wśród królewskich ludzi. Najlepsi wykruszali się, a nowi nie zdążyli nauczyć.

Handlarz przyłożył kuszę do ramienia i wycelował. Oceniał, że odległość była dobra i lepiej dłużej nie zwlekać. Poza tym chciał mieć czas na poprawkę, gdyby coś nie wyszło. Ręce mu drżały, a na szyi pojawiły się nabrzmiałe żyły. Słyszał, jak rzezi mu w piersiach. Strzała trafiła dokładnie w pierś jeźdźca. Utkwiła po prawej stronie. Handlarz nie czekał w ukryciu, lecz natychmiast puścił się biegiem w stronę konia. Zacisnął zęby i udawał, że nic go nie boli. Chciał tylko dopaść wierzchowca, wspiąć się na siodło i szybko odjechać. Nie obchodziło go ciało posłańca, który ze strzałą w piersi upadł na skraj drogi. Handlarz był zbyt zmęczony, aby obszukać kieszenie zabitego i zabrać co cenniejsze rzeczy. Poza tym posłaniec wydał mu się mikry i niewymiarowy. Jego buty pasowałyby co najwyżej na dziecko.

Kiedy Waldo wspiął się na siodło, z jego ust wypłynęła wąska strużka krwi, a płuca przeszył straszliwy ból. Odruchowo uderzył konia piętami i ruszył galopem w stronę rzeki. Nie zdążył skrócić z traktu, gdy jego oczy napotkały niecodzienny obrazek. Na niewielkim, ale masywnym koniku jechał w jego stronę pulchny grubasek i odbijał się w siodle, jakby go szarpała z kilku stron naraz wataha wilków. Handlarz zapomniał na moment o ucieczce, zwolnił i z niedowierzaniem patrzył na jadącego Ghi-sppi. Widok był nieprawdopodobny. Jazda na koniu była umiejętnością tak podstawową, jak jedzenie i picie. Niektórzy jeździli, zanim nauczyli się chodzić.

– Nie widzieliście, panie, posłańca na trakcie? – zagadnął nagle nieznajomy. Waldo przyjrzał mu się z niedowierzaniem. Nigdy wcześniej nie widział tak głupiego i radosnego uśmiechu bez powodu. Słaniając się w siodle, ściągnął wodze i plując krwią, zacharczał:

– Czego chcecie... panie?

– Szukam królewskiego posłańca – odparł Ghi-sppi, zatrzymując konia. Zakołysał się przy tym tak, jakby miał spaść. – Taki mały był, chudy i...

– A wy skądżeście się przypaętali? – przerwał mu niecierpliwie Waldo. – I konia chcecie zachetać... – dodał z pogardą.

– Koń przyuczony – zaśmiał się wesoło grubasek. – Nie takich jak ja nosił... Jakowoż wy, panie, chorzy jesteście, widzę...

– Baczcie na swoją słabiznę – warknął handlarz i krztusząc się od kaszlu, ruszył dalej.

– A widzieliście, panie, posłańca? – zawołał za nim Ghi-sppi.

– Czeka na twojego posłańca... wieprzu... – mruknął Waldo i z lekceważeniem pokiwał głową. Położył się na końskim karku, wtulił twarz w grzywę i skręcił z traktu.

Grubasek cmoknął i konik ruszył. Jeździec próbował trzymać się na przemian wodzy, łęku siodła i końskiej grzywy. Czuł, że siedzenie zaczyna go szczypać od ciągłego tarcia, a wnętrzności wpadają w nieprzyjemne drżenie. Lecz wciąż uśmiechał się i usiłował nawet gwizdać melodię zasłyszaną na ulicy w Grwaldzie.

Mimo słońca zerwał się nagle wiatr. Uderzył zniecka, zawirował nad drogą, poderwał w górę warstwę piachu i zasnuł horyzont. Drzewa przy trakcie ugięły się ciężko, rozłożyły gałęzie i z trzaskiem wyprostowały. Wiatr przycichł na moment, po czym uderzył z całą siłą. Nie wiadomo było, skąd się wziął. Na niebie nie zatrzymała się nawet jedna chmura, a ciepły dzień nie zapowiadał huraganu. Ghi-sppi zakołysał się w siodle i zasłonił

twarz rękawem. Jego oczy z trudem odróżniały kontury najbliższych drzew. Kurz i piasek zdawały się wciskać we wszystkie zakamarki ubrania. Grubasek zsunął się z konia i niemalże po omacku ruszył do lasu. Kiedy schodził z traktu, jego uwagę przykuł ciemny kształt leżący na ziemi. Kaszląc i plując, zbliżył się i z ciekawością nachylił. Z niedowierzaniem przyglądał się bladej twarzy dziewczyny i strzale tkwiącej w jej piersi. Przestał się nawet uśmiechać. Teraz jego spojrzenie wyrażało olbrzymie zdziwienie. Wyglądał jak ktoś, kto nigdy nie zetknął się ze śmiercią. Powoli, jakby nie ufając własnej dłoni, chwycił strzałę i pociągnął do góry. Wyszła lekko. Wtedy do jego uszu doleciało ciche westchnienie. Ghi-sppi przyklęknął, puścił wodze i zasłonił dziewczynę przed wiatrem. Otworzyła oczy i długo uważnie na niego patrzyła. Nie odzywała się. On również milczał i patrzył. Znow zaczął się uśmiechać.

– Co to było? – Bathy zadała pytanie ostrożnie, prawie nie poruszając ustami. – W głowie mi huczy, jakby mnie giez ukąsił...

– Strzałę z was, pani, wydobyłem – odparł grubasek, mrużąc oczy przed wiatrem. – Dziwne tu macie zwyczaje. Śmierć jeno chcecie zadawać, mimo że strach przed nią nosicie. Wielka to głupota tak czynić... O, strzała długa jak noga...

– Tylko krwi brakuje – wtrąciła z niedowierzaniem Bathy. Podniosła się powoli i usiadła. W podmuchach wiatru zmieszanego z piachem próbowała odnaleźć dziurę po strzale. Jej palce zanurzyły się w otwór i poczuły twardość monet. Opuszki z łatwością wyczuły wyraźne wgłębienie na jednej z nich. Dziewczyna nie odezwała się. Wstała, zasłoniła się przed wiatrem i poszukała wzrokiem konia.

– Gdzie mój koń? – zapytała, kierując się w stronę wielkiego pnia.

– Nie ma – odparł głupkowato grubasek. – Nie widziałem... Chyba że ten człowiek go zabrał... Tak, on mógł go zabrać. Brudny był, zarośnięty i

ledwie dychał. Śmierć mu z oczu patrzyła. To już u was na gębach widać...

Zatrzymali się za pniem drzewa i przywiązali wodze do sęka. Konik zachowywał się potulnie i wcale nie sprawiał wrażenia wystraszonego. Wsadził łeb w otwór pnia i stał w bezruchu. Huragan nadal tarł gałęzie i nie miał zamiaru osłabnąć. Dziewczyna usiadła na ziemi i przycisnęła plecy do drzewa. Ghi-sppi zrobił dokładnie to samo.

– Bez konia daleko nie zajedziemy. – Głos Bathy lekko się załamał. – Pewnie mnie już szukają... Szkoda go, tresowany był i dobrze chodził. Posłaniec pewnie już blisko. Oni nie zważają na pogodę. Jadą od stajni do stajni... Głodna jestem, a jedzenie przy siodle wiozłam. Żeby mu tak ogon sparszywia! Może znasz jakieś czary na jedzenie?

– Krótko u was jestem... – odpowiedział Ghi-sppi. – Trudno się przyzwyczaić...

– Mówiłeś, że jesteś obcy. – Głos dziewczyny zdradzał ironię. Pogodziła się z myślą, że jej towarzysz nie zawsze zachowuje się normalnie. Do pewnego stopnia bawiło ją to. – A u was tam nic nie jecie? Żadnych pieczeni, chleba, wina?

– Nie potrzeba – odpowiedział poważnie grubasek. – My nie wyglądamy, my po prostu jesteśmy. To tak, jak z... wiatrem. Jest, ale go nie widzisz. Najwyżej czujesz podmuch... – Grubasek spoważniał. Głupi uśmiech na jego wargach zniknął. – Nie mamy ciał, nie mamy strachu, nie czujemy bólu, nie jemy...

– To musi być straszna siermięga... – przerwała Bathy. Jej ironia gdzieś zniknęła. Zaciekawiał ją dziwny świat Ghi-sppi. Zapominała o głodzie, o uderzeniu strzały w jej pierś i samotności, której świadomość dopiero teraz tak naprawdę zaczynała do niej docierać.

– Siermięga? – zdziwił się grubasek. – Co to za dziwne słowo? Nie mam go w głowie...

– Siermięga to znaczy nuda, dziadostwo, smród, ciemnota – wyrzuciła z siebie dziewczyna. – Kiedy przywlecze się siermięga, wtedy wszystko uchodzi... Rozumiesz? Nie ma podglądania, ludzie są osowiali i ślepi, a tu w środku... – pokazała na własną pierś – tu wala się tylko ściervo. Zwyczajnie, nie żyjesz.

Ghi-sppi przysunął się plecami do Bathy i pokręcił głową.

– Siermięga jest tylko tutaj – kontynuował poważnie. – Wasz świat tak został ułożony. Śmierdzicie, nudzicie się, szukacie uciech, chędożenia, monet i wywyższenia... Kiedy wejrzę do mózgu tego człeka, którego ciało noszę, widzę ból... A i strach tam bruździ niemało... U nas zawsze czujemy wszystko. Naraz... W moim świecie jest dobrze i nie ma... siermięgi.

– To po co pchaliście się tutaj, panie? – Odwróciła głowę i zajrzała mu w twarz.

Grubasek uśmiechnął się szeroko i zmienił nagle temat.

– Trzeba nam zapolować – powiedział, rozglądając się po lesie.

Wtedy zobaczyli wyłaniające się na trakcie wozy i strażników. Posuwali się powoli, od czasu do czasu licząc ludzi. Na wozach kuliły się kobiety i dzieci, mężczyźni szli obok pieszo, a jeźdźcy bez przerwy krążyli wokół nich. Bathy rozpoznała barwy królewskich strażników. Była to jedna z pierwszych rzeczy, jakich nauczyła się od ojca. Lubił powtarzać, że od takiego drobiazgu często zależy życie.

Huragan wzmógł się. Uderzenia wiatru stały się krótkie i silne. Konie szarpane przez podmuchy z trudem stawiały kopyta. Wozy trzeszczały, a skupieni na nich ludzie z całych sił trzymali się wystających skobli. Część dzieci płakała, inne, starsze, kuliły się pod ramionami matek. Strażnicy nie krzyczeli, nie przeklinali i zdawali się nie zwracać uwagi na wozy. Obserwowali tylko bacznie idących blisko wozów mężczyzn. Kiedy

huragan zelżał nagle i wydawało się, że nie wróci, wtedy powietrze zawirowało, skurczyło się i rozległ się narastający świst. Trąba powietrzna uformowała się tuż obok Bathy i Ghi-sppi. Z ziemi poderwało się tysiące szyszek, gałęzi i grudek piachu. Wąski stożek tańczył przez chwilę w jednym miejscu, po czym gwałtownie drgnął i przeskoczył w bok. Konik Ghi-sppi nie zdążył uciec i został wessany. Lej powietrzny poderwał go do góry, zakręcił i uniósł jeszcze wyżej. Szum wiatru był tak głośny, że nie słychać było przeraźliwego rżenia. Zwierzę dusiło się i umierało ze strachu. Kilka sekund później trąba rozděła się i przeraźliwie zawodząc, uderzyła w ścianę drzew. Dopiero teraz słońce zgasło, zrobiło się szaro, a trzask wyrywanych korzeni i pękających pni zagłuszył krzyk ludzi. Trąba zakręciła i spadła wprost na wozy. Bez wysiłku, jak we śnie, zagarnęła wszystko pod siebie i wystrzeliła w górę. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, oddaliła się, ścinając po drodze każdą przeszkodę.

W miejscu, gdzie jechały wozy, został tylko lej i oderwane koło. Z gromady ocalonych z rąk handlarzy niewolników mieszkańców wsi ocalało jedynie dwoje kilkuletnich dzieci, które niósł na rękach jeden z chłopów. W chwili ataku trąby mężczyzna zatrzymał się, żeby poprawić młodszej z dziewczynek chustkę na twarzy. To ich ocaliło. Z królewskich strażników zostało zaledwie pięciu. Stali teraz zdezorientowani, rozglądali się wokoło i nie mogli uwierzyć, że już po wszystkim. Na chłopca z dwiema dziewczynkami przestali zwracać uwagę. Dostrzegli Bathy i grubaska. Zawrócili w miejscu konie i podjechali pod pień. Dziewczyna wydostawała się właśnie z dziury pod korzeniami.

– Jesteś posłańcem? – zapytał najstarszy ze strażników. Był rudy jak marchew, a jego twarz obsypana była dziesiątkami jasnobrażowych piegów.

– Nie – odpowiedziała dziewczyna, otrzepując spodnie. Dopiero wtedy zorientowała się, że popełniła błąd.

– Nosisz strój i barwę posłańców... – ciągnął z coraz większą podejrzliwością rudy. – Znasz prawo. Kto podszywa się pod królewską służbę, ma być powieszony przed tłumem...

– Nie podszywam się – przerwała mu Bathy. – Posłaniec dał mi strój i czekać na rozstajach przykazał. Przywyknąć łatwiej i do barwy, i do służby...

Strażnicy po raz pierwszy wyszczerzyli zęby w krzywym uśmiechu. Z ich gardeł wydobyło się głuche bulgotanie, coś, co miało oznaczać radość. Chudy i nie ogolony strażnik podrapał się w brodę, ogryzł złamany paznokieć i łypnął spod oka na prostującego się właśnie za plecami dziewczyny grubaska.

– A tyś kto? – warknął jadowicie.

– Jestem, panie, przyjacielem wszystkich dobrych ludzi – odparł prostolinijnie i wesoło Ghi-sppi. – W towarzystwie tej panny jadę tam właśnie... – pokazał palcem na zachód.

Rudy dał znak dwóm pozostałym. Zeskoczyli z koni, doskoczyli do dziewczyny i grubaska, powalili na ziemię i sprawnie związali im z tyłu ręce. Szarpnęli ich w górę i postawili z powrotem na nogi.

– Staniecie przed królewskim sądem – rzucił krótko rudy. – I obyś, dziewczko, gardła nie dała... Ruszajcie!

Dziewczyna bez słowa skierowała się na drogę. Grubasek spojrział na nią zdziwiony, ale zrobił posłusznie to samo. Potykając się o kamienie i połamane gałęzie, ruszyli na zachód. Słońce znów wyjrzało i zrobiło się cieplej. Strażnicy ustawili się w szeregu i powoli jechali za plecami dwójki więźniów.

– Prawdę mówiłam, panie – krzyknęła za siebie Bathy. – Konia mi skradli i mało życia nie zabrali... – Odwróciła się i pokazała dziurę po strzale. – A on niewinny – kiwnęła głową w stronę grubaska. – Węszy za

mną jak pies za suką, ale to zwyczajne u takiego... Powsinoga z niego i pokręcony. Puśćcie go, panie. Z niego jeno wilki zrobią użytek albo cyrk jaki...

Rudy nawet na nią nie spojrział. Wsunął w usta garść tytoniu i obojętnie zaczął żuć. Pozostali zrobili to samo. Tak zostali nauczeni.

– Głodni jesteśmy, panie – odezwał się Ghi-sppi. – Źle się idzie... Dajcie choć skórę od chleba...

– Milcz, psie! – zawołał z wściekłością brodaty. – Żarcie będzie na postoj. A po drodze sadło ci spadnie. Dobrze gadam?

– Dużo i dobrze – potwierdził strażnik ze zrosniętymi brwiami i odciętym uchem. – Prawo mówi, że strawa jest dla żywych, a tacy jak wy mogą sobie korę zlizywać... A i drzew szkoda, bo jęzory możecie mieć sparszałe...

– Prawo mówi, że nie trzeba wędrowca chwytać i pod sąd prowadzić jeśli spokojny jest i sprawę wyjaśnia – wtrąciła ze złością Bathy. Była zmęczona, posiniaczona i głodna. Marzyła o ciepłym łóżku i bezpiecznym miejscu. Miała nadzieję, że Ghi-sppi zrobi coś, co pozwoli im wydostać się z rąk strażników. Grubasek jednak szedł spokojnie u jej boku i z niezmaconym głupkowatym uśmiechem patrzył przed siebie. Odwróciła ostrożnie głowę i niby przez przypadek trąciła go ramieniem. Zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, szepnęła cicho:

– Zrób coś, bo nas powieszają.

– Nie mogę – odpowiedział tak samo cicho. – Muszę się ułożyć...

– Zabij ich – naciskała coraz bardziej niecierpliwie. – Tak jak tamtych...

– Po co? Oni i tak nasi... – zaśmiał się z błyskiem dziecięcej przekory w oczach.

– Zawrzyj gębę, grubasie! – ryknął nagle brodaty. – Prawo mówi, że...

– W dupie mam wasze prawo, panowie – odparł ze śmiechem grubasek.
– O, tutaj. – Nachylił się i związanymi rękami pokazał na siedzenie. – Prawo to łeb na karku, a nie wasze charczenie...

Nie dokończył, ponieważ na jego plecy spadł pejcz. Grubasek zatoczył się do przodu, potknął i upadł na twarz. Bathy odwróciła się z wściekłością w stronę strażników, ale ten sam pejcz oplótł jej nogi, szarpnął i rzucił o ziemię. Na drodze rozległ się ponury rechot. Nie trwał długo, ponieważ z rowu wyłoniło się nagle kilkanaście karłowatych postaci z długimi kijami. Zaatakowali z piskiem i furją.

– Pellegrisi! – zawołał rudy i błyskawicznie wyciągnął miecz.

Dziewczyna słyszała już wcześniej o pellegrisach. Kiedy zobaczyła wyłaniające się obok niej karły, rzuciła się do ucieczki, ciągnąc za sobą grubaska. Strażnicy w milczeniu starli się z karłami. Kilku pierwszych stratowali kopytami. Napastnicy jednak nie ustępowali. Kije wetknięte pomiędzy końskie nogi, chwytane z obu stron i gwałtownie przeciągane pod brzuchem, raniły pęciny i zmuszały do upadku. Wierzchowce przewracały się lub stawały dęba, a strażnicy zmuszeni do walki pieszo przestali pilnować więźniów.

Kije były twarde i ostre. Tylko wyjątkowo wprawne uderzenia mieczy mogły je przeciąć. W ciągu krótkiego czasu strażnicy rozsiekli ponad dwudziestu karłów. Uparcie, cięcie po cięciu, odbijali kije i zadawali śmiertelne uderzenia. Czas płynął, a liczba atakujących pellegrisów wcale się nie zmniejszała. Strażnicy mieli poprzebijane ramiona, poranione nogi i coraz bardziej omdlałe ze zmęczenia ręce. Nieuchronnie zbliżało się zmęczenie. Karły rzucały się na oślep, nie bacząc na miecze i bliskość śmierci. Wydawało się, że są obojętne na ból i strach. Piszczwały i szły do przodu. Ginęły i natychmiast były zastępowane przez inne. Ich strategia przypominała ślepe uderzenie olbrzymich os.

Bathy nie oglądała się, biegła przed siebie, słysząc z tyłu ciężki oddech Ghi-sppi. Kiedy odgłosy walki stały się mniej wyraźne, skręciła w bok i wbiegła do lasu. Tam upadła na trawę i z trudem łąpała powietrze. Grubasek doczołgał się do niej dopiero po chwili. Czerwony na twarzy, ze strumykami potu wokół szyi, przypominał starą lalkę.

– Co to za dziwadła? – wyszeptał.

– Chyba wiem... – odparła, wpatrując się uważnie w odległe sylwetki walczących. – Ten rudy wołał, że to pellegrisi... Tak zwą karły. Chyba ich dobijają... – dodała, widząc konie bez jeźdźców. – Zajadle bestie. Byle dopaść konia i...

Wstała i pochyłona podbiegła do drogi. Jeden z koni zbliżał się właśnie do ich kryjówki. Dziewczyna wyczekała, aż wierzchowiec znajdzie się obok niej, i błyskawicznie chwyciła za ciągnące się po ziemi wodze. Ściągnęła je i jednym skokiem znalazła się w siodle. Obejrzała się, oceniła odległość ruszających w jej stronę karłów.

– Wskakuj za mną! – zawołała w stronę Ghi-sppi.

Grubasek podbiegł niezdarnie do konia i próbował wskoczyć na jego grzbiet. Kiedy za trzecim razem zwałił się na ziemię, a karły znalazły się zaledwie kilkanaście metrów od nich, Bathy zsunęła się z siodła, podstawiała dłonie i niemalże siłą wepchnęła Ghi-sppi na grzbiet konia. Zanim grubasek zdołał się usadowić, dziewczyna podciągnęła się do góry, zajęła miejsce z tyłu i dźgnęła konia piętami po bokach. W chwili gdy zwierzę przechodziło do galopu, jeden z kijów wyrzuconych przez pellegrisów trafił ją w ramię. Krzyknęła tylko głośno i nie reagując na ból, docisnęła tułów grubaska do końskiej grzywy. Pellegrisi biegli za nimi jeszcze kilkaset metrów, po czym zrezygnowani zawrócili.

Pisk urwał się. Było po walce. Na trakcie leżało przeszło trzydziestu martwych karłów i pięciu królewskich strażników. Karły w skupieniu

zaczęły ściągać ciała z drogi. Niektórzy gwizdali pod nosem hymn mieszkańców Lasów Orchy. Wesoły, melodyjny i łatwy do zapamiętania. Kiedy pellegrisi zabierali się do kopania dołu, na trakcie pojawił się samotny jeździec. Pochylony nad końskim karkiem, z nogami w wysoko umocowanych strzemionach i wpatrzony przed siebie, łatwy był do rozpoznania. W ten sposób jeździli tylko królewscy posłańcy. Jego koń rozciągnięty w pełnym cwale przeskoczył przez potrzaskane kijami ciała strażników i po chwili na drodze snuł się tylko kurz.

Bathy pierwsza usłyszała posłańca. Obejrzała się i po raz pierwszy od dłuższego czasu się uśmiechnęła. Poznała go. On także musiał ją zauważyć, bo kiedy się zrównali, ściągnął lekko wodze i rzucił w jej stronę:

– Zdejmij barwę! Słyszysz? Barwa! Inaczej śmierć...

Jego wierzchowiec przyspieszył, jakby go ktoś z całą siłą popchnął. Ghispi, wierząc się i bez przerwy pojękując, zawołał:

– Na jednej szkapie daleko nie pociągniemy!

– Trzymaj się – odpowiedziała, skręcając konia w boczną dróżkę do lasu. – Musimy znaleźć zajazd i nocleg. Bez jadła to nawet gęby nie chce mi się otworzyć...

Las, którym jechali, stopniowo zmieniał oblicze. Z rzadkiego i iglastego, stawał się gęsty i liściasty. Pnie drzew przypominały teraz olbrzymie filary zamku księcia Syriusa, a przerośnięta kora wiła się jak monstrualne pijawki. Mrok panujący pod rozłożystymi koronami drzew sprzyjał wyrastaniu paproci i gniciu poszycia. Okolica stawała się coraz bardziej dzika. Dróżka zwężała się i gdzieś tam zamieniała w bagnistą kałużę. Bathy z niepokojem myślała o nocy. Instynktownie wyczuwała, że dzień chylił się ku końcowi i lada chwila spadnie na nich ciemność. Bała się. Swojego towarzysza nie traktowała poważnie. Mimo swoich zdolności był po dziecinnemu naiwny i wymagał opieki. Wspólne przeżycia zbliżyły ich.

Bathy zdała sobie sprawę, że po śmierci ojca Ghi-sppi stał się dla niej najbliższą osobą.

Krakanie wron przesuwających się nisko nad drzewami brzmiało jak przepowiednia. Zanim zdążyli pomyśleć, zapadły ciemności. Dziewczyna ściągnęła wodze i zatrzymała konia. Przez dłuższą chwilę stali w milczeniu i nasłuchiwali. Ich oczy stopniowo zaczęły rozróżniać kontury drzew i gałęzi. W górze prześwitywały setki gwiazd i księżyc.

Las zaczął wydawać niepokojące dźwięki, które sprawiły, że Bathy mocniej przytuliła się do pleców towarzysza. Grubasek poklepał ją po ręce i zaśmiał się krótko.

– Chyba się nie boisz? – powiedział, celowo przeciągając słowa. – Czasu szkoda... Jedźmy. Mam tu sporo do zrobienia.

– Ty? – Bathy była naprawdę zaintrygowana. – Pewnie dostałeś kiedyś w czerep i zwidy cię nędzą. Na tym świecie jeno własny tyłek jest w cenie. Bacz, byś gardła nie położył i kompanię pod bokiem miał. Reszta to nic... Na pograniczu gadali, że wojna idzie i długo nie będzie litości. Kiedy nas ogarnie, mieczem trza będzie robić... Cuda mogą nie pomóc, mogą zaszkodzić...

– W twoim świecie pewnie to i wagę ma – odparł Ghi-sppi. – W moim czekają... Świat sobie zażartował, poswawolił żonami, a i was za śmiecie ma. Głupiście wszyscy i zaplątani w czas...

– Pleć sobie, pleć... – zamruczała Bathy i usnęła.

Ghi-sppi również pochylił się do przodu i po chwili w lesie rozniosło się jego głośnie chrapanie.

Koń człapał powoli, omijając instynktownie doły, bagienne jeziora i kłębowiska splątanych krzaków. Zachowywał się spokojnie i widać było, że w niejednym miejscu musiał swojego poprzedniego pana nosić. Czasami tylko strzygł uszami, kiedy odgłosy z ciemności rozlegały się zbyt blisko.

W ciągu kilku godzin przebyli bagna i wjechali w dolinę otoczoną niewielkimi wzgórzami. W świetle księżyca widać było tylko wysoką trawę i charakterystyczne korony drzew owocowych. Nad trawami snuł się ledwie widoczny obłok dymu.

Bathy, która obudziła się pierwsza, potarła zmarznięte ramiona i wciągnęła nosem powietrze. Zapach dymu zdradzał obecność ludzi. Potrząsnęła chrapiącym Ghi-sppi i pokazała palcem przed siebie. W ciemnościach dostrzegli oboje kontury chat. Księżyc wyraźnie oświetlał kominy i wydostające się z nich smużki dymu.

– Wieś – stwierdziła z nadzieją w głosie. – Nareszcie coś zjemy...

Kiedy wjechali pomiędzy drewniane, chłopskie chaty, ciemność rozplynęła się i weszło słońce. Dopiero teraz mogli ocenić miejsce, w którym się znaleźli. Wzgórza wokół doliny w rzeczywistości były większe. Niektóre miały nawet szczyty pokryte śniegiem. Pola przy wsi porośnięte były zbożem, a na drzewach jabłoni dojrzewały kwiaty. Wieś sprawiała wrażenie starannie utrzymanej i zadbanej. Dziewczyna w żaden sposób nie mogła jej porównać z zaniedbanymi i brudnymi wioskami na pograniczu. W dolinie panował porządek i każdy kąt był zagospodarowany. Ściany chat lśniły w słońcu od białka, okiennice dokładnie zakrywały okna, a nawóz leżał w jednym wyznaczonym miejscu. Grubasek rozejrzał się po pustym placu i westchnął z uśmiechem:

– Wasz żywot jest paskudny... Głód, nędza, brud, ból, strach... Licho wie, co jeszcze. W kościach mnie łamie, nie wiem, gdzie jestem, kto mnie zaraz napadnie. W dodatku grubas ze mnie i prawie karzeł. Nie ma co, ładnie mnie wysłali... Kto będzie się liczył ze słabizną, jaka dziewczka oko zatrzyma? Zapomnieli, że ja tu u was też do zabawy chętnie się wezmę. A oni nie dali mi nawet szansy, psiekrwie!

– Dziwnie tu... Pusto – odezwała się dziewczyna.

– U was wszędzie dziwnie – zaśmiał się grubasek.

W tym momencie w jednej z chat rozległ się płacz dziecka. Bathy i Ghisppi obejrżeli się i utkwili spojrzenie w drzwiach. Uchyliły się powoli i ostrożnie. Ze środka wyjrzała głowa starca z długimi, siwymi włosami. Jego twarz wyglądała jak zalana woskiem. Ubrany był w długą chlamidę przewiązaną w pasie grubym sznurem. Wyszedł z chaty i sztywno skierował się w ich stronę. Patrzył przy tym przenikliwie i świdrująco. Wydawało się, że ocenia przydatność konia do jazdy. Dziewczyna poczuła chłodny wzrok starca i nerwowo poprawiła się w siodle. Grubasek przyjmował to obojętnie. On również patrzył zimno i czujnie. Starzec zatrzymał się blisko dziewczyny i uklonił się.

– Jestem Mugaba – powiedział cichym, gardłowym głosem. – Czy przyjeżdżacie w pokoju?

– Trzeba nam odpoczynku i jedzenia – odpowiedziała wymijająco Bathy. – Gdzie jesteście?

– W Sinie. Mieszka tu rodzina Mugaba – wyjaśnił beznamietnie starzec. – Zostawcie konia i wejdźcie do chaty. Nasza rodzina go nakarmi i napoi...

Dziewczyna z uczuciem ulgi zeskoczyła na ziemię i pomogła zsiąść grubaskowi. Kiedy skierowali się za starcem do chaty, drzwi innych chat otworzyły się i zaczęli z nich wychodzić ludzie. Mężczyźni ubrani byli podobnie do starca, kobiety nosiły krótkie spódniczki i rozpuszczone włosy. Byli ładni i bardzo do siebie podobni. Dzieci, które wybiegły na dziedziniec, stanowiły wierną kopię dorosłych. Wszyscy poruszali się tak samo sztywno jak Mugaba.

Bathy przekroczyła próg chaty i odnalazła wzrokiem stół i krzesła. Wewnątrz panował półmrok i przyjemny chłód. Obok rozpalonej kuchni stała siwa kobieta z nienaturalnie dużą głową, z której wyglądało tylko

jedno zniekształcone oko. Dziewczyna dopiero po chwili dostrzegła, że dłonie staruszki są małe jak u dziecka.

– Bywajcie. – Głos kobiety z trudem i niewyraźnie wydobywał się z gardła.

– Bywajcie – odpowiedziała Bathy i usiadła przy stole. Ghi-sppi milczał. Przestał się uśmiechać i spoglądał w róg kuchni, gdzie stało łóżko. Dziewczyna przechwyciła jego wzrok i z ciekawością tam spojrzała. Prawie natychmiast zbladła i odechciało jej się jeść. Spod kołdry patrzyły na nich oczy potworka. Z torsu dorosłego mężczyzny wyrastały małe, chude rączki, a w miejscu głowy i szyi skupiał się gąszcz kilkunastu oczu.

– Co to jest, gospodarzu? – zapytał Ghi-sppi, siadając jak najbliżej okna.

– Kaleka – odparł chłop, sięgnął po drzazgę i zapalił sobie fajkę.

– Chchch...ro...my... – zacharczała, jękając się, staruszka. Postawiła na stole wielką miskę z kartoflami polanymi skwarkami i wprawnym ruchem wbiła w nie dwie drewniane łyżki. Mugaba wypuszczał dym i przyglądał się przez okno, jak ludzie otwierają okiennice, pokazując palcami jego chatę.

Bathy i Ghi-sppi jedli w milczeniu, starając się nie patrzeć w stronę łóżka. Podziękowali skinieniem głowy za zsiadłe mleko w glinianych garnkach, wypili je duszkiem i prawie w tym samym momencie wstali od stołu.

– Dzięki wam, gospodarzu. – Grubasek próbował się uśmiechnąć i zapomnieć o potworku w rogu kuchni. – Konia nam trzeba. Dobrze zapłacimy...

– Monety u nas nie w cenie... – odezwał się chłop, wytrząsając z fajki resztki tytoniu. – Nie mają ducha i śmierć w nich zapisana. Byle kto je nosi, byle kto płaci i byle kto ściboli... Inne my mamy ceny za gościnę...

– Dziwne rzeczy gadacie, gospodarzu – wtrącił zaskoczony grubasek. – Monet nie chcecie, gardzicie bogactwem... Ale konia nam... dacie?

Starzec pokiwał tylko głową i skinął na nich, aby szli za nim. Opuścili chałupę i znów znaleźli się na dziedzińcu wsi. Teraz kwitło tam życie. Bathy z przerażeniem zauważyła, że wśród posągowo wyglądających kobiet i mężczyzn poruszają się zdeformowane potworki. Niektóre miały po cztery ręce, dwie głowy lub trzy nogi. Były małe, duże i zachowywały się tak, jakby to nie ich dotyczyło kalectwo. Dziewczyna po raz pierwszy z lękiem popatrzyła na Ghi-sppi. W powietrzu unosiły się nawoływania i niezrozumiałe krzyki. Kiedy zbliżyli się do studni, przy której stał rozsiedlany koń Bathy, Mugaba stanął i wydał z siebie przejmujący, cienki spazm. Wieśniacy natychmiast zamilkli i zaczęli gromadzić się wokół starca. Bathy i Ghi-sppi stanęli za jego plecami i z niepokojem obserwowali zachowanie chłopów.

– Modliliśmy się długo o radość i wreszcie do nas przyszła – zaczął mówić podekscytowanym głosem Mugaba. – Od wielu lat nasza rodzina nie opuszcza tego miejsca i nigdy nie opuści... Tutaj żyli nasi dziadowie, tutaj umierali i tutaj płodzili dzieci. Byli bardzo szczęśliwi i nie potrzebowali obcych. Całe zło gniło daleko za bagnami i do nas nie miało dostępu. Nasze żony były żonami nas wszystkich, a mężowie służyli wszystkim kobietom... Także nasze córki oddawały swoje ciała w rodzinie. I nagle świat na nas plunął! Odebrał nam zdrowe dzieci i zasypywał kalekami. Przyszła śmierć i smutek...

– I wstręt! I wstręt! – odezwały się okrzyki wśród chłopów.

– I wstręt – potwierdził Mugaba. – Nasze kobiety przestały nam się podobać i straciły chuć... Nasi młodzieńcy zapadli na choroby i obojętność. Zła krew, zbyt dużo złej krwi płynie teraz w naszych żyłach. Dzieci rodzą się coraz rzadziej, a chuć umiera...

Bathy ze strachem spojrzała na Ghi-sppi. Odpowiedział jej uśmiechem, w którym nie było nic wesołego. Oboje nie rozumieli nic z tego, co się działo. Widzieli tylko szaleństwo i dziesiątki kalek. Czuli na swoich twarzach ciekawskie, świdrujące oczy i ciepło bijące od wielu ciał. Mugaba odwrócił się do nich i pokazał palcem na grubaska.

– Jest naszą modlitwą – kontynuował z uduchowioną miną. – Jest obcy, ale ma dobrą krew...

Na dziedzińcu zrobiło się nagle bardzo cicho. Chłopi rozdziawili usta i zeszywnieli. Teraz patrzyli już tylko na grubaska. Bathy również posłała mu zdziwione spojrzenie.

– Damy im gościńę, damy im konia i wszystko, co zechcą – zawołał donośnie Mugaba. – Odjadą, kiedy dadzą nam swoją krew!

Wśród zgromadzonych rozległ się przeraźliwy krzyk. Chłopi stali nieporuszeni, podnosząc twarze ku słońcu i dobywając z gardeł wszystkie możliwe dźwięki. Dziewczyna przytuliła się ramieniem do Ghi-sppi i przygotowała do obrony. Starzec uśmiechnął się do nich i rozłożył ramiona.

– Witamy was w naszej rodzinie – powiedział z uczuciem. – Od ciebie, dziewczko, chcemy tylko jednego dziecka. Mojego dziecka!

Bathy cofnęła się i oparła plecami o studnię. Zrozumiała.

– Od ciebie, panie, chcemy nasienia. – Do Ghi-sppi Mugaba zwracał się z wyraźnym szacunkiem. – Dasz życie naszym kobietom i dziewczętom, będziesz to robił często i bez sromoty... Zła krew zginie!

– Nie, to nie może być prawda – mruknął grubasek i rozejrzał się po dziedzińcu. Wszystkie kobiety patrzyły na niego z nadzieją w oczach. Bathy sięgnęła pod kurtkę po kuszę. Patrzyła z nienawiścią na siwego starca i czekała na jego pierwszy ruch. On jednak odwrócił się i spokojnym, dostojnym krokiem udał się w stronę chaty.

– Zrób coś – jęknęła Bathy, widząc ruszających do niej mężczyzn.

– Nie mogę – szepnął grubasek, wycierając spocone dłonie o koszulę na brzuchu. – To nie jest zagrożenie życia... Oni nas potrzebują, a my możemy im pomóc...

– Ale ja nie chcę! – wyrwało jej się zbyt głośno. – Słyszysz? – ściszyła głos. – Pluję na ich krew i chuć tego starego dziada, słyszysz? A tyś też nie byk rozplodowy...

– Śmierć mogę ponieść, kiedy życie umiera – odpowiedział z uśmiechem grubasek. – Ciało to nic, to tylko kłopot... Życie ma wagę i nie trza nam się sprzeciwiać...

Chłopi przyglądali się ich sprzeczce i z wysiłkiem próbowali łowić jakiś sens. Ich twarze nie wyrażały jednak zrozumienia. Po prostu coś się działo. Czekali, aż obcy skończą i oddadzą im swoje ciała.

– Pozabijam ich – syknęła z wściekłością dziewczyna. – Co wtedy zrobisz?

– Nie wiem – odparł z rozbijającą szczerością Ghi-sppi. – Może będę musiał cię uśmiercić?

ROZDZIAŁ 7

Na widok wchodzących karczmarz odwrócił się tyłem i zaczął udawać, że czyści drewniany kufel. W świetle dogasających pochodni i żaru na kuchni widać było jego owłosiony kark i potężną, łysą głowę. Pocierał kufel brudną szmatą i co chwila zerkał w wiszącą na ścianie metalową tarczę. Była to jedyna czysta rzecz w zajeździe. Dzięki temu karczmarz mógł widzieć odbicie siedzących przy stołach gości. Teraz z podejrzliwością obserwował wysoką postać Idalga, oceniał zmęczenie towarzyszących mu ludzi i zastanawiał się, ile monet gotowi są zostawić.

W zajeździe panował hałas, a w powietrzu gęstym od dymu unosił się zapach pieczonego mięsa z przyprawami. Przy stołach siedzieli ludzie, o których większość mieszkańców pogranicza wolą słyszeć tylko w opowieściach. Awanturnicy, złodzieje, przemytnicy, żołnierze, dezerterzy, najemnicy, drobni handlarze, sprzedajne dziewczki, królewscy strażnicy, właściciele powozów, przypadkowi podróżni, zabłąkani arystokraci, wędrowni mnisi i zubożali chłopcy popijali wino, z mlaskaniem zagryzając mięsem i chlebem. Kiedy drzwi się otwierały, obrzucali wchodzących ponurymi spojrzeniami i po chwili o nich zapominali. Niektórzy śpiewali sprośne pieśni, inni siłowali się na ręce, pozostali wlewali w siebie zawartość kilkilitrowych butelek i z trudem łapali równowagę. Byli i tacy, którzy obłapiali zajazdowe dziewczki, niewiele przejmując się otoczeniem. W kącie próbował przygrywać na skrzypcach artysta o wyglądzie suchotnika.

Idalgo zatrzymał się za karczmarzem i odezwał się:

- Witaj, karczmarzu... Poznajesz mnie, prawda?
- Poznaje – potwierdził zimno tamten, nie odwracając głowy.
- To i dobrze – zaśmiał się krótko łapacz. – Między znajomkami łatwiej o ugodę...

Karczmarz odwrócił się nagle i zamachnął kuflem, który trzymał w dłoni.

- Psie jeden... – warknął z wściekłością, chcąc trafić łapacza między oczy.

Idalgo odskoczył, chwycił karczmarza za rękę i lekko odepchnął.

- Życie ci obrzydło? – zapytał z niechęcią w głosie. – Noclegu nam trza, a nie bijatyki... Matkę po połogu wiezieni i oseska. Dawaj izbę i gadaj, ile ci zapłacić. Co między nami, to między nami... Teraz nie pora. Zaprowadź matkę i dziecko do izby, my się zdrzemniemy tutaj...

Karczmarz oddychał ciężko i z trudem panował nad sobą. W miejscu, gdzie powinien mieć oko, znajdowała się olbrzymia, źle zrosnięta dziura. Jego krzywa spocona czaszka i bezzębne dziąsła sprawiały, że wzbudzał strach samym swoim widokiem. Ramiona miał szerokie, kark krótki, a w pasie przypominał beczkę. Niejeden po jego uścisku osunął się na ziemię bez życia i niejeden wolał omijać zajazd z daleka. W zdrowym oku kołatało się szaleństwo i zachłanność. Łapacz cierpliwie czekał, co weźmie górę. W końcu karczmarz przesunął spojrzenie za plecy Idalga i przyjrzał się kobiecie, trzymającej przy piersi dziecko. Humana wolał długo nie oglądać. Ominął go spojrzeniem i pokiwał głową. Widok Maquiego i Pinta uspokoił go. Poznał barwy księcia Syriusa.

- Na górę... idźcie – powiedział, akcentując ostatnie słowo. – Tam jeleń na drzwiach wymalowany.

– Wody jej nagrzej, jedzenia przygotuj i każ napalić w kominie...

– Tam ciepło i przesuszyć się można – przerwał łapaczowi karczmarz. – A dziewczkę jaką wyślę z jadłem...

Idalgo skinął na Humana, który pierwszy wszedł na schody. Tantra z dzieckiem ruszyła za nim. Ledwie trzymała się na nogach. Dziecko cicho płakało. Mimo że schody nie były strome, każdy krok bolał ją jak uderzenie batem. Maqui opadł na ławę przy stojącym na środku zajazdu stole, zachwiał się, po czym wyciągnął się jak do snu. Pinto przeszedł na drugą stronę i zrobił dokładnie to samo. Ich zakrwawione i pocięte ubrania wzbudziły zainteresowanie siedzącego okrakiem na zydlu przemytnika.

– Tylko nam tu nie zdychajcie, bo z trupami jadło nie idzie... – zawołał, przechylając się chwiejnie do przodu. Jego trzech towarzysze wybuchnęli rżącym śmiechem i z trzaskiem trącili się kuflami.

Maqui nawet nie podniósł głowy. Pinto zaczął po prostu chrapać. Przemytnik skrzywił się i podniósł przekrwione oczy na łapacza. Idalgo rozglądał się właśnie po zajeździe, jakby kogoś szukał.

– Ścierwa nam tu nawiozłeś, drągalu – warknął przemytnik. – Do stajni ich zanieś, do koni... Może ich nie zادةpczą... – znów wybuchnął głośnym śmiechem.

Idalgo nachylił się do twarzy przemytnika i popukał w skroń. Był spokojny i skoncentrowany. Karczmarz nadal stał obok niego i ze złośliwym uśmiechem czekał na rozwój sytuacji. Przemytnik zamilkł nagle i nerwowo zaczął wpatrywać się w tatuaż na skroni łapacza.

– Jesteś... Jesteś... – zająknął się ze strachem. – Orli pazur... Idalgo...

– Jestem – potwierdził. – Czy trza ci jeszcze czegoś?

– Wybaczcie, panie – powiedział pojednawczo przemytnik. – Jestem Raptus, fach mam znany tutaj...

– Na zdrowie – przerwał mu łapacz. – A wy, karczmarzu, dajcie nam mięsa i wina... Cyrulika tu nie macie?

– Znachor może by się znalazł – odparł ponuro karczmarz. – Śpi, bo od pięciu dni chlał...

– Wołaj go. – Łapacz klepnął karczmarza w ramię i usiadł na ławie tuż przy głowie chrapiącego Pinta.

– Pewnie jeszcze pijany – rzucił jadowicie karczmarz. – Truciznę jaką może podać...

– Trza ich obejrzyć – Idalgo pokazał skinieniem śpiących żołnierzy. – Syriusowi to ludzie, nie moi...

Karczmarz westchnął i powłókł się po schodach na górę. Łapacz odprowadził go wzrokiem. Od chwili gdy znaleźli się w zajęzdie, wyczuwał narastające w nim napięcie. Sięgnął po dzbanek z winem i wlał sobie do gardła duży łyk. Było słabe i cierpkie. Rozejrzał się po zaciemnionym wnętrzu, oceniając zagrożenie. Pozornie wszystko wyglądało normalnie. Śpiewy, krzyki, pijackie bredzenie, stuknięcia kufli i głośne siorbanie żuru z kielbasą. Smród potu i szczęk broni pod stołami. Idalgo oparł się o ścianę i zmrużył oczy. Udawał, że drzemie. Widział przemytnika pochylonego w stronę swoich kompanów i opowiadającego półgłosem historie o wyczynach łapacza. Kiwali skołtunionymi łbami i zerkali ciekawie na Idalga. Przesunął wzrok na obmacujących dziewczki strażników. Byli zbyt zajęci własną chucią, żeby cokolwiek knuć. Dopiero teraz łapacz poczuł spojrzenie mnicha siedzącego w kącie zajazdu. Nie był sam, towarzyszyło mu trzech tak samo zakapturzonych mnichów. Idalgo uświadomił sobie, że tylko oni zachowywali się podejrzanie cicho i spokojnie. Pochyleni nad stołem raz po raz podnosili kufle do ust i popijali swoje wino. Czasami ręka któregoś z nich wyciągała się i chwytiała jeden z placków leżących na głębokim półmisku.

Łapacz nie lubił ludzi ukrywających twarze. W czasie walki nie można było śledzić ich oczu. Przypominało to poruszanie się w ciemnościach. Sam

nie zauważył, kiedy zapadł w lekką drzemkę. Nie słyszał przekleństw cyrulika i jęków obu opatrywanych żołnierzy. Z jego gardła wydobyło się głośnie chrapanie.

Obudził go krzyk dziewczyny. Otworzył oczy i zobaczył zbiegającą po schodach dziewczkę służącą w zajeździe. Była wystraszona i blada. Rozdygotana przylgnęła całym ciałem do karczmarza.

– Czary! – krzyczała piskliwym głosem. – Czary! Dzieciak ma czerwone oczy! Jak jakiś mutant... Leży tam i zamiast spać, gapi się w sufit. Kto to słyszał, żeby dzieciak po kąpieli nie spał i nie płakał? Wyrzuć ich, panie karczmarzu, wyrzuć, bo licha jakiego naniosą...

– Stul gębę, durna! – odsunął ją od siebie karczmarz i łypnął podejrzliwie na łapacza. – Znasz prawo... W Kreporze mutanty karane są śmiercią przez ścięcie. Tak samo ci, którzy to robactwo przywlekli...

W zajeździe zrobiło się cicho. Strażnicy przestali obmacywać dziewczki i poprawili broń. Idalgo spojrział na opatrzonych żołnierzy Syriusa i plecy cyrulika zataczającego się do drzwi. Nie drgnął nawet i nie otworzył szerzej oczu.

– Kto gadał, że dziecko to mutant? – wycedził przez zęby. – Mutanty i dla mnie ścierwem podszyte. A dziecko dopiero z brzucha wylazło i prawa swoje ma... Zapytaj dziewczek, które rodziły. Osesek czasami straszny jak po stosie... Skóra czerwona, łeb wyłysiały, a gęba nie ma czym chleba ugryźć. Zaciągnij lepiej swoją dziewczkę za kuchnię i wychędoż. Jak zajdzie, to i przywyknie...

Atmosfera w zajeździe lekko opadła. Znów rozległy się śmiechy i postukiwanie kuflami. Strażnicy machnęli rękami i jeszcze mocniej zaczęli ugniatać piersi i pośladki dziewczek. Karczmarz pokazał dziewczynie, że ma się wynosić. Z płaczem złapała grubą kożuch, narzuciła na siebie i wybiegła z zajazdu. Jeden z mnichów podniósł się również i cicho

wymknął na zewnątrz. Idalgo zdążył jednak dostrzec, że na jego stopach nie było sandałów, lecz twarde żołnierskie buty. Rozpoznał także zarys miecza pod luźnym habitem. Wtedy poczuł blisko swojej twarzy mdły oddech przemytnika.

– Legenda mówi, że dziecko będzie miało czerwone oczy... – Głos przemytnika był przytłumiony i ostrożny.

– Czy i ciebie mam wyswatać, żebyś czarów w powietrzu nie niuchał? – warknął pod nosem łapacz. – Znam legendę... Gadają o niej od Pandabu po Sagdenię. Ile to już lat? Sto, a może i więcej... Idź, obacz sam, to kwasy wygonisz...

Przemytnik odsunął się do tyłu, spojrzał na swoich pijanych kompanów i osunął się ciężko na blat stołu. Wypite wino wzięło go w swoje posiadanie. Łapacz podniósł się i skierował do wyjścia. Karczmarz, który mieszał właśnie żur, podniósł na niego spojrzenie. Zauważył jednak, że obserwuje go Maqui, i speszony, szybko zaczął coś mówić do obsługującej stoły dziewczki. Idalgo rzucił półgłosem do Maquiego:

– Zdatniście do walki?

– Rany płytkie... – odpowiedział Maqui. – Krwią tylko podeszły. Walczyć możemy, panie...

– Widzi mi się, że sznur nam tu kręca na szyję – syknął łapacz. – Rozejrzę się, a wy miejcie oko...

Nie zdążył dać kroku, ponieważ drzwi zajazdu otworzyły się z hukiem i do środka wbiegło kilkunastu mnichów w kapturach. Ci, którzy siedzieli w kącie, poderwali się na nogi i w ciągu kilku sekund wycięli biesiadników siedzących przy najbliższych stołach. Dopiero teraz goście zajazdu rzucili się do obrony. Szybkość, z jaką zamienili jedzenie żuru i popijanie wina na walkę, świadczyła o ich doświadczeniu. Walka, zdrada i napady były dla nich codziennością. Teraz też potraktowali atak jak kolejny rozdział swego

życia. Napastnicy w kapturach napotkali godnych przeciwników. Zanim się zorientowali, trzy odcięte głowy potoczyły się na podłogę. Jedna z nich wyturlała się z kaptura i znieruchomiła pod nogami Idalga. Wystarczył jeden rzut oka, aby stwierdzić, że nie była to głowa człowieka. Poza owalem i rozmiarem wszystko w niej było inne. Przypominała wydłużony pysk olbrzymiego szczura.

– Mutant! – ryknął z całej siły łapacz, wyciągnął miecz i jak szalony rzucił się w wir walczących. – To te parszywe mutanty!

Niektórzy z walczących zorientowali się, że biją się z przeciwnikiem szybkim i podstępny. Kiedy ludzie i mutanty zbliżali się w walce i głowa uderzała o głowę, wówczas następowało błyskawiczne kłapięcie szczurzymi zębami i tryskała krew z rozdartej tętnicy. Niekiedy miecze zderzały się w powietrzu, zamierały na moment, szukając sposobności do dźgnięcia, gdy nagle spod spodu pojawiała się szybka jak mrugnięcie oka ręka z ostrymi pazurami i rozszarpywała skórę na piersi aż do kości. Mutanty dopiero po chwili zorientowały się, że źle wybrały cel ataku. Właściwie był to wybór najgorszy z możliwych. Towarzystwo awanturników, złodziei, dezertarów i dziwek nie szanowało życia i łatwo wpadało w szal. Tak było i tym razem. Do tego dochodzili nieliczni w zajeździe arystokracji. Honor nie pozwalał im poddawać się ani uciekać. Walczyli do końca. Zajadłość, z jaką zaatakowani uderzyli na napastników, przypominała furię bawoła. Sapali, kwiczeli, przeklinali i robili wszystko to, czym od wieków straszono dzieci.

Mutantki skierowały swój atak na schody. Kaptury pozsuwały im się na szyje i dopiero teraz widać było ostre jak czubek noża zęby. Idalga usłyszał odgłosy walki na górze. Zobaczył, że drzwi od pokoju Tantry otwierają się i kobieta z dzieckiem na ręku wybiega na korytarz. Tuż za nią wycofywał się Human. Jego szabla znów stała się niemal niewidoczna. Mutantki, które

wdarły się przez okno, najwyraźniej spodziewały się łatwiejszej zdobyczy. Popiskiwały tylko niczym normalne szczury i rzucały się po kilka naraz na Humana. Idalgo zwijał się w tłumie, torując sobie drogę na schody. Tuż zanim przedzierali się Pinto i Maqui. Ledwie zasklepione rany znów się otworzyły, a ich ubrania zabarwiły się od krwi. Mimo to ani na krok nie zostawali w tyle. Łapacz oszczędzał ich, jak tylko mógł. Tam, gdzie zwykle wykonywał jedno cięcie, teraz uderzał aż trzy razy. Wyrąbywał przed sobą miejsce dla siebie i żołnierzy księcia Syriusa.

Wtedy po raz pierwszy poczuł niepokój. Miał wrażenie, że jakaś niewidzialna siła koncentruje na nim swoją uwagę, że dotyka go i przypomina obrazy, o których dawno zapomniał. Nie przeszkadzała mu w walce, nie odwracała uwagi, po prostu była. Łapacz nie chciał o nic pytać. Nie był nawet ciekawy. Ktoś przesunął się zaledwie przez jego pamięć, nie zostawił śladów i strachu. Niepokój Idalga dotyczył świata, o którym nie można było nic powiedzieć. Co najwyżej śpiewano o tym pieśni. To coś nie miało kolorów, nie miało smaku ani wyglądu, a jednak zdradzało swoją obecność. Przypominało spojrzenie nauczyciela. Bardzo uważne, krótkie i przenikliwe. Niemalże wszechwiedzące. Uczeń, który je zrozumiał, mógł spokojnie odejść. Niepokój zniknął i łapacz zapomniał.

Mutant z siwymi wibrysami i pianą na pysku skoczył mu z boku na plecy, nie wcelował w szyję i z całej siły wbił zęby w ramię. Pinto przeorał mu bark, czując pękające pod ostrzem miecza żebra. Idalgo zatrzymał się przy wejściu na schody i przyjął na siebie uderzenie mutantów. Pod nogami miał kilkanaście zarąbanych wcześniej ciał, a przed oczami wbiegających do zajazdu kolejnych fałszywych mnichów w kapturach. Maqui i Pinto chwiali się ze zmęczenia. Walczyli, trzymając miecze w obu coraz bardziej omdlewających rękach. Tyłem wycofywali się na górę, gdzie bronił się olbrzym. Czterej goście z innych pokoi na górze dołączyli do niego i

powoli zaczęli spychać mutanty z powrotem za drzwi. Dwaj z nich skoczyli do przodu z długimi pikami zdjętymi ze ściany i nabili na nie po dwóch napastników. Zapłacili za to życiem, ponieważ nie zdążyli wyrwać drzewca i zostali zarąbani toporami. Przerzedzili jednak znacznie atakujących i umożliwili Humanowi cięcie z boku i zatrzaśnięcie się w środku. Chwilę potem obie zakrwawione piki posłużyły do podparcia drzwi.

Tantra stała przez cały czas przytulona do ściany, zasłaniając chustą płaczące dziecko. Human podbiegł do niej i pociągnął lekko do pokoju na końcu korytarza. Dwaj pozostali goście ruszyli za nim. Idalgo kopnął właśnie atakującego mutantą w zakrwawiony pysk i krzyknął do słaniających się z wycieńczenia żołnierzy:

– Ruszajcie! Za nimi...

Zawahali się, ale zauważyli ogień z rozwalonej kuchni i porozrzucanych pochodni sunący wzdłuż ścian po podłodze. Kulejąc i potykając się, podążyli za Humanem. Idalgo został sam. Pogryziony przez mutantą, cięty mieczem po nodze i z podrapaną pazurami dłonią zastanawiał się nad wyjściem z opresji. Musiał wytrzymać do czasu, gdy kobieta i dziecko oddalą się i bezpiecznie przekroczą granice księstwa. Na szczęście mutanty przestały pojawiać się w drzwiach i wzmacniać szeregi atakujących. Podłoga zajazdu usłana była dziesiątkami trupów i rannych. Języki ognia sunęły coraz silniej w stronę sufitu, a wysuszone przez lata drewno zajmowało się szybko jak szczapa wrzucona do komina.

Karczmarz biegał jak oszalały i polewał podłogę wodą. Nie na wiele to się jednak przydawało. Ścisk wśród walczących był zbyt wielki, aby można było ugasić płomień. Zajazdowe dziewczki stłoczyły się pod ścianą i wymachiwały wszystkim, co im wpadło w ręce. Mutanty podniecone walką próbowały je wywlec na dwór. Były zbyt cenne, aby je zabijać. Na

bezkresnym stepie, wśród nieogarnionych odmian i ras, nie zmutowane kobiety używane były do doskonalenia krwi i kosztowały niekiedy nawet pięćdziesiąt monet. A za tyle właśnie można było kupić sobie wolność i ziemię.

Kiedy dym i żar płomieni stały się nie do wytrzymania, walczący zaczęli przesuwać się w stronę drzwi. Pierwsze uciekły kobiety. Niektóre zdążyły schronić się w ciemnościach i zagrzebać w ściółkę w lesie, inne zostały schwytane przez plądrujące zajazd mutanty, związane i wrzucone do stojących na dziedzińcu powozów. Pozostała przy życiu garstka walczących awanturników również zaczęła wymykać się w noc i szukać schronienia byle dalej od zajazdu i mutantów. Pokonała ich liczba napastników i zmęczenie. Poza tym chcieli uciec, aby wrócić i zemścić się. To było jedyne prawo, którego przestrzegali. Zostawiali za sobą dziesiątki zabitych mutantów i znacznie mniej ludzi.

Kiedy Idalgo rzucał w pierś fałszywego mnicha swój ostatni nóż, płomienie szalały już na dobre, a ciała zabitych wypełniały zajazd aż po okna. Łapacz zdołał jeszcze zauważyć wymykającego się przemytnika z ziejącą na plecach raną po szczurzych pazurach. Karczmarz został. Stał na martwych ciałach pośrodku zajazdu, trzymał się za głowę i przeraźliwie wył. Mimo że nie odniósł żadnej rany, czuł się przegrany i stracił ochotę do życia. Zajazd, który jego rodzina prowadziła od wielu pokoleń, płonął, a on sam oszalał. Zapomniał o zakopanych w ogrodzie monetach, zapomniał o zebranych bogactwie, o zamku, jaki właśnie dla siebie kupił, o olbrzymich połaciach ziemi jakie od lat pomnażał. Poddał się przerażeniu i żalowi. Zrobił coś, czego nie zrobili jego dziadowie. Poddał się i chciał umrzeć. Takim właśnie zapamiętał go Idalgo.

Łapacz biegł w stronę granicy. W oddali widział pochodnie przed budynkiem książęcych żołnierzy. Za plecami słyszał tętent koni mutantów.

Wyszukiwali zbiegów. Szczurza krew pozwalała im widzieć w nocy i czyniła przeciwnikiem groźniejszym od człowieka. Idalgo nie czekał, aż się zbliżą. Wierzył, że jeszcze go nie zobaczyły. Miały także, lepszy słuch i lepszy węch. Musiał zaryzykować, przetrwać aż do świtu. Wtedy szansę będą wyrównane. Wspiął się na przydrożne drzewo, przyłgnał plecami do pnia i czekał. Nie poruszał się, mimo że strużki zimnej rosy kapały z liści na jego twarz, łachocząc go coraz bardziej.

Mutanty jechały ostrożnie. Tak, jakby wyczuwały niebezpieczeństwo. Trzy, jeden za drugim. Idalgo starał się wstrzymać oddech i zasłonić dłonią parę wylatującą z ust. Sam doskonale widział oddechy przeciwnika w świetle księżyca. Wybuchwały gwałtownie jak para z gorących źródeł. Koło drzewa mutanty zwolniły. Wciągały głośno powietrze i próbowały wyczuć jego zapach. Wiatr im jednak nie sprzyjał. Tylko dlatego Idalgo mógł zsunąć się z góry na pierwszego z nich, uderzyć go czołem w szczurzy pysk i zrzucić pięścią na ziemię. Przestraszony koń wyrwał przed siebie, a łapacz w ostatniej chwili wy dobył miecz z za głowy. Jechał tyłem do łba konia i przygotowywał się na odparcie ataku dwóch ścigających go mutantów. Nacierali z obu stron. Drugi z nich wy dobył z bocznej kieszeni siodła kuszę i sięgnął po strzałę. Łapacz wyszarpnął drugi miecz z pochwy przy pasie, zamachnął się i rzucił. Broń zafurczała w powietrzu i utkwiała w brzuchu mutanta z kuszą. Ten puścił ją, chwycił za ostrze miecza i piszcząc z bólu, zwalił się z konia na trawę. Zanim przestał się rzucać, łapacz sparował uderzenie drugiego napastnika, chwycił go za rękę i szarpnął. Ciało szczura przechyliło się, a koń uderzony płazem miecza w szyję odskoczył w bok, gubiąc jeźdźca. Mutant wpił się pazurami w lewą rękę łapacza, zaczął się wściekle miotać, kopiąc i drapiąc pazurami brzuch konia. Przerażone z bólu zwierzę wierzgało i podskakiwało. W końcu z głośnym rzeniem stanęło dęba i zrzuciło obu walczących na ziemię. Idalgo spadł dokładnie na

mutanta. Miecz przebił serce i utknął w ciele aż po rękojeść. Fałszywy mnich znieruchomiał.

Wtedy pojawiło się światło. Noc wpadła w niewidzialną czeluść i nagle wokoło rozlały się promienie słońca. Ciepłe i dające nadzieję. Idalgo, kulejąc, podbiegł do zabitego mutanta i wyszarpnął miecz z jego ciała. Wytarł ostrze i wsunął do pochwy przy pasie. W trawie odnalazł drugi miecz. Zatrzymał wzrok na płonącym zajeździe. Żal mu było noży, których użył w walce. Każdy kosztował pół monety. Na niebieskim niebie snuła się czarna smuga dymu. Wokoło zajazdu biegały nie osiodłane konie, nieudolnie chwywane przez oślepienie w świetle dnia mutanty. Łapacz zmierzył wzrokiem odległość do granicy księstwa i sięgnął po wodze najbliższego konia. Wiedział, że szczury już go zobaczyły. One także miały nadzieję zabić go, zanim trafi pod opiekę księcia Syriusa.

Idalgo wspiął się na siodło, odnalazł kuszę i strzały, po czym z odległości kilkudziesięciu metrów wystrzelił je jedna po drugiej. Trafiły tylko dwie. Mutanty jeszcze bardziej rozwścieczone nagliły wierzchowce do szybszego biegu. Łapacz trącił konia piętami i przylgnął do grzywy. Zwierzę prawie natychmiast wyciągnęło się w galopie. Droga była kamienista, gdzieś pokryta gnijącymi i śliskimi liśćmi. Przecinała małe kępy krzaków i drzew. Ściana lasu zaczynała się dopiero po prawej stronie tuż przy granicy. Tam właśnie wrzynał się cienki jęzor puszczy. Kiedy Idalgo zbliżał się do rozłożystej kępy krzaków, zobaczył wyłaniającego się z niej jeźdźca. Bez trudu rozpoznał książęcego dowódcę, Pinta. Mimo ran, zmęczenia i pościgu, żołnierz został, ukrył się w krzakach i czekał do brzasku na łapacza. Jego charakterystyczna sylwetka, z ręką zwisającą luźno wzdłuż boku, już z daleka była rozpoznawalna. Idalgo zrównał się z żołnierzem i z podziwem spojrzął na bladą twarz. Pinto miał

zacięte usta, rozgorączkowane oczy i determinację, z jaką łapacz nigdy wcześniej się nie spotkał.

– Co z nimi? – rzucił krótko Idalgo.

Pinto odpowiedział uspokajającym skinieniem głowy.

– A ty? – Łapacz wiedział, że nie powinien o to pytać.

– Ja jestem żołnierzem – odpowiedział, patrząc przed siebie, dowódca. – A poza tym nie potrzebuję niańki – zawołał w powietrze.

Pinto pokazał palcem przed siebie. Z lasu w pobliżu granicy wyłoniło się pięć mutantów. Idalgo obejrzał się. Pościg liczył prawie dwadzieścia zakapturzonych postaci. Do granicy pozostało zaledwie kilkaset metrów. Łapacz wyciągnął miecz i poprawił się w siodle. Pinto czekał do ostatniej chwili. Kiedy przyspieszył i zostawił łapacza o trzy długości konia za sobą, cienka sieć trzymana w rękach przez nadjeżdżające z przeciwka mutanty stała się widoczna. Idalgo zaklął głośno, ale było już za późno. Pinto uderzył z impetem w jadącego po prawej stronie mutantą. Tamten spadł z konia, ciągnąc za sobą sieć. Starcie zakołysało żołnierzem i otworzyło drogę ucieczki. Idalgo zdołał tylko zauważyć błysk topora i odrąbaną głowę Pinty. Martwe ciało koń wiozł jeszcze siłą rozpędu do samej granicy, gdzie stali przygotowani do odparcia ataku żołnierze księcia Syriusa. Idalgo, który nie miał czasu użyć miecza, zatrzymał konia pod strażnicą. Mutanty zrezygnowały z pościgu. Popiskując zajadle, zawróciły w miejscu i pognały z powrotem.

Żołnierze Syriusa nawet nie drgnęli. Poza granicą księstwa kończyły się ich prawa. Dlatego musieli bezsilnie patrzeć na śmierć swojego dowódcy i co najwyżej zgrzytać zębami. Księżę wymagał bezwzględного posłuszeństwa. Tylko w ten sposób mógł zbudować siłę swojego niewielkiego kraju. Poza tajnymi misjami nikt z żołnierzy nie miał prawa samowolnie opuszczać księstwa. Pogranicza wszystkich bliskich i dalekich

państw spływały krwią, ale po stronie Syriusa wszystko było po staremu. Nawet legenda nie potrafiła zniszczyć w tutejszych ludziach szacunku dla porządku. Czekali na wojnę, nie pomagając historii.

Idalgo zsiadł z siodła i w milczeniu podszedł do konia, na którym nadal siedziały sztywno zwłoki Pinty. Łapacz dopiero teraz uświadomił sobie, że po raz drugi spotkał człowieka o niezwykłym wzroku. To właśnie ocaliło mu życie. Sieć szcurów była tak cienka, że mógł ją dojrzeć tylko ktoś o cechach mutanta. Łapacz przyjrzał się podejrzliwie rękom martwego żołnierza. W niczym nie zdradzały domieszki krwi.

– Witajcie, panie – usłyszał za plecami suchy, zdyscyplinowany głos.

Odwrócił się powoli, czując piekący ból ramienia. Pojawił się niepokój. Kojarzył się z szeptem, który przedzierał się do świadomości gdzieś spoza pamięci. Nagle w głowie mu zawirowało i osunął się na kolana. Jak przez mgłę widział biegnących w jego kierunku żołnierzy. Chciał powstrzymać słabość, ale obraz zatarł się i po raz pierwszy w życiu stracił przytomność.

ROZDZIAŁ 8

Dźgnięcie było szybkie i zdecydowane. Bathy nie dała nikomu czasu na reakcję. Dopiero kiedy Ghi-sppi zatoczył się do tyłu, a z jego gardła trysnęła struga krwi, mieszkańcy wsi rzucili się na nią, zabrali nóż i przytrzymali. Nie wrywała się i nie użyła kuszy Z odrazą i zdziwieniem obserwowała śmiertelne drgawki swojego niedawnego przyjaciela. Nie czuła ani żalu, ani strachu. W tej śmierci nic się nie zgadzało. Pamiętała słowa ojca i była przygotowana na wstrząs. Wyobrażała sobie, że w takiej chwili zemdleje, zacznie wymiotować lub krzyczeć. Teraz była tylko rozczarowana i obojętna.

– Suka gryzie – stwierdził jeden z trzymających ją za ręce potworków. – Chędożyć strach...

– Trza przywiązać blać do deski i poobracać – warknął wysoki, smutno wyglądający młodzieniec.

– Szkoda go – wyszeptła niska i czerwona na twarzy chłopka. – Nasienie miał, to pewne... Szkoda dobrej krwi, a ją, ścierkę, niech parch pokręci. Tfu!

Kilka młodych, pięknie zbudowanych i nienaturalnie smętnych dziewcząt pochyliło się nad ciałem grubaska i zaczęło je uważnie oglądać. Nie zwracały uwagi na rozcięte gardło i zaledwie zakrzepłą krew. Dotykały włosów, brwi, ust i dłoni. Przysuwały nosy do policzków i obwąchiwały je. W końcu zaczęły zdejmować z niego ubranie, buty i spodnie. Każdą rzecz trzymały w rękach i pocierały materiałem o swoją skórę. Zamykały przy

tym oczy i zaczynały nucić monotonną melodię. Kiedy odsłoniły przyrodzenie Ghi-sppi, pochyliły się jeszcze bardziej i zaczęły głośno wzdychać. Wszyscy stojący obok również skierowali tam spojrzenia. Nawet mężczyźni smutno kiwali głowami i zafrasowani poruszali ustami.

– Do Mugaby – odezwał się w końcu potworek ze zdeformowaną głową i rękami. Mówił beznamyślnie, a jego usta pokryte były kropelkami żółtej śliny. – Niech ją napocznie. Potem przyjdzie nam czekać... Niech rodzi... Jedno to jak splunięcie. Szybko wsiąka... Tfu! Harpia zdechła...

– Chyba że miot jej się trafi... – wycharczała chorobliwie grubym głosem stara, zasuszona chłopka.

Wszyscy pokiwali głowami i ruszyli w kierunku chaty Mugaby. Dziewczyna spróbowała się wyrwać, ale przewrócili ją na ziemię, związali nogi i ręce, po czym jak gałąź pociągnęli dalej. Zatrzymali się przed drzwiami i zamilkli. Dziewczyna nie mogła uwierzyć, że w ciągu sekundy można aż tak bardzo znieruchomieć. Niektórzy mieli otwarte usta, inni zgięte w trakcie dawania kroku nogi. Próbowwała wykorzystać sytuację i uwolnić się z uścisku, ale nie potrafiła rozgiąć zakleszczonych palców. Szarpnęła się, przewróciła nawet jednego z trzymających, ale uchwyt nie zelżał. Jej nadgarstki nadal pozostawały w niewoli i w dodatku coraz bardziej cierpły. Drzwi chaty uchyliły się i na progu stanął Mugaba. Tym razem był ubrany w wełniane poncho, spod którego sterczały chude i krzywe nogi. Bathy obserwowała go ze strachem. On jednak uśmiechał się do niej, trzymając ręce skrzyżowane skromnie na piersi.

– Odejdźcie – powiedział prawie niedosłyszalnym szeptem. Mimo to mieszkańcy wsi zrozumieli. Bez słów skierowali się do swoich chat.

– Czego chcesz? Monet? – wyrzuciła z siebie dziewczyna. – Nie jestem klaczą rozplodową, staruchu... – Ściągnęła z nadgarstków więzy i uwolniła nogi.

– Zabiłaś – stwierdził krótko starzec. Na jego ustach błąkał się szczęśliwy grymas. – Zabrałaś nam dobrą krew. Mogłaś odejść za rok... Chcieliśmy tylko twojego płodu, dziewczko. Tylko tyle, boś więcej niewarta... Zabiłaś, a on mógł dać naszym babom brzuchy szybciej, niż ty rzyć obmywasz, suko...

– Zabiję się – wrzasnęła Bathy, zasłaniając się gałęzią.

Mugaba zaśmiał się szeroko i podciągnął poncho.

– Gap się, na, poigraj... – stęknął, drobiąc w miejscu swoimi wielkimi stopami.

Bathy zaczęła się wycofywać w kierunku konia. Starzec szedł za nią i nie przestawał tańczyć. Bathy starała się nie patrzeć na jego przyrodzenie. Mrugała oczami, nerwowo machała gałęzią i wzniewała na placu kłęby kurzu. Kiedy oparła się plecami o konia, Mugaba zrobił zatroskaną minę i zapytał:

– Chyba nie pojedziesz sama? Nie mam zamiaru zostawać w tym śmierdzącym chutorze. Człek godziny niepewny, a i widok zepsuty... Sami zakręceni tutaj...

Dziewczyna otworzyła szeroko oczy i z jeszcze większym przerażeniem obserwowała Mugabę. On nie przestawał szczyrzyć krzywych zębów i kontynuował:

– Moczary wkoło, pół dnia przed nami i droga niepewna. Koń może nie trafić, a szczęście łatwo da gardła... Człeka jakiego musimy stąd zabrać, przewodnika...

– Kim jesteś? – wyszeptała blada i drżąca.

– Teraz jestem Mugaba – odparł spokojnie starzec. – A wcześniej byłem Ghi-sppi...

Bathy nie wytrzymała i osunęła się na ziemię. Kilka postaci kręcących się w pobliżu splunęło na ten widok z lekceważeniem i odwróciło wzrok.

Starzec przywołał gestem garbatego karła z obwisłą twarzą. Tamten podbiegł posłusznie i wyjąkał:

– Czy... czy da... dajecie mi... te, te... suuuukę?

– Konia drugiego przysposobisz i przez moczary ruszymy – odparł rozkazującym tonem Mugaba. – Dziewkę wychędożę z daleka... U nas powietrze chore, a ziemia truciznę nosi. Ruszaj, bo dnia nie starczy...

Kiedy pół godziny później wyjechali ze wsi, dziewczyna przewieszona przez grzbiet jednego z koni zaczęła dochodzić do siebie. Poruszyła się, otworzyła oczy i z wysiłkiem podniosła głowę. Pomogła sobie rękami i wspięła się na siodło. Była blada, wystraszona i nerwowo rzucała wzrokiem na Mugabę i garbusa. Miała ochotę ściągnąć wodze i rzucić się do ucieczki, ale zauważyła bulgocące wokoło bagno i zrezygnowała. W dzień wszystko wyglądało groźniej niż w nocy. Na brunatnej, nieprzeniknionej wodzie kołysała się rześa i pływały gąbczaste liście. Drzewa zwieszały długie gałęzie, a grube pnie zasłaniały słońce. Wilgoć i upał stawały się coraz bardziej dokuczliwe. Bathy obejrzała się i zobaczyła tuż za sobą łeb wierzchowca Mugaby. Nie podniosła oczu, czuła wstręt do starca i nie ufała mu. Wolą patrzeć na plecy garbusa, który pewnie posuwał się do przodu.

– Dokąd jedziemy? – rzuciła pytanie w powietrze.

– Za bagno – odpowiedział sztywno Mugaba.

– A on? – Pokazała palcem garbusa.

– Wiedzie nas – wyjaśnił starzec.

– Nie zbłądzi? – zapytała, nie starając się nawet ukryć lęku.

Przewodnik odwrócił się i zaśmiał paskudnie. Dziewczyna wyraźnie widziała jego pomarszczone ciało i oślizły język przypominający olbrzymią czerwoną brodawkę.

– Zdrowa jesteś, dziewczko – zarechotał garbus. – Zmacałem cię, kiedyś osłabła...

– Prawda to? – wybuchnęła z wściekłością. Dopiero teraz odważyła się spojrzeć w oczy Mugabie.

Starzec zaśmiał się tak, jakby go ktoś nagle połaskotał w brzuch. Wydawało jej się, że rozpoznaje ten śmiech. Nie mogła tylko znieść widoku jego twarzy. Despotyczna władza i niehamowane namiętności uczyniły z rysów Mugaby swoistą mapę perwersji. Mimo przywiązania do Ghi-sppi dziewczyna nie potrafiła przełamać w sobie niechęci i obrzydzenia.

– Prawda – potwierdził skwapliwie starzec. – Wyklepał cię ździebko... Nie frasuj się, on nie dla ciebie. To plugawe nasienie złej krwi. Padlina prawie... A brechtac może takie jak on, garbate...

– Lepszy jestem niż młodzi – odciął się z irytacją garbus. – A w nocy każde ścierwo czarne...

– Nie chcę tego gadania słuchać. – Bathy skrzywiła się i splunęła ze złością w wodę. – Rzekłbyś lepiej, czy droga dobra, bo słońce gaśnie... Bezpiecznie tu?

Garbus nie zdążył odpowiedzieć, ponieważ z liany nad jego głową zsunął się długi, ciemnoskóry wąż i błyskawicznie oplatał mu się wokół szyi. Przewodnik szarpnął się, chwycił za nóż, ale nie zdążył go użyć. Wąż podciągnął się i garbus zawisł w powietrzu. Dusił się, wierzgał nogami, próbował krzyczeć, ale uścisk ani na moment nie zelżał. Koń spłoszył się, skoczył w bok i zarył kopytami w bagnie. Powoli zaczął tonąć. Rżał żałośnie, chciał wyskoczyć z grząskiej mazi, ale było za późno. Z wody wyłoniły się kolejne węże i zaczęły oplatać jego grzbiet. Niektóre ślizgały się zygzakami na wodzie i uderzały zębami w wyprężoną szyję.

Dopiero teraz Bathy i Mugaba zobaczyli, że znaleźli się wśród setek węży. Wszystkie były ciemnoskóre, długie i kłębiły się w wodzie i na gałęziach.

– Wężowisko! Ruszaj! – krzyknął starzec i końcem wodzy uderzył konia dziewczyny po zadzie.

Wierzchowiec szarpnął się do przodu i przyspieszył. Dziewczyna przyłgnęła do grzywy i zamknęła oczy. Drugie uderzenie w zad poderwało konia do szalonych skoków. Zwierzę rozbryzgiwało bagienną płyciznę, uderzeniami łba odtrącało zsuwające się z gałęzi węże i przeraźliwie charczało. Dziewczyna czuła opadające na jej plecy gady i histerycznie piszcząc, strącała je, zanim zdołały się owinać. Kilkakrotnie poczuła ugryzienia osłabione przez ubranie. Słyszała sapanie Mugaby i kwik jego konia. Węże owinęły się wokół tłukących o wodę kopyt i po chwili chrapy po raz ostatni nabrały powietrza. Splątane nogi osłabły, znieruchomiały i ugięły się. Woda zakryła łeb, a Mugaba wyleciał z siodła i wpadł prosto pod zsuwające się z góry węże. Nie krzyczał, nie walczył i nie bał się. Kiedy jego ciało znalazło się w wodzie, zobojętniał i bez sprzeciwu pozwolił się dusić. Nie bronił się nawet wtedy, gdy spod wystających korzeni drzewa majestatycznie wyłonił się olbrzymi, blisko pięćdziesięciometrowy wąż, wbił w niego zęby i zaczął połykać.

Twardy grunt pojawił się nagle. Koń wyskoczył na podmokłą łąkę i dopiero teraz nabrał rozpędu. Im bardziej sucha stawała się trawa, tym szybciej uderzały o ziemię kopyta. Strach zwierzęcia znalazł ujście w niczym nie hamowanym pędzie. Wierzchowiec poniósł, a Bathy nic nie próbowała zrobić, aby temu przeszkodzić. Była zbyt przestraszona i zbyt silnie zaplątała ręce w wodze i końską grzywę. Palce zeszywniały, nogi docisnęły strzemiona do brzucha, a zęby wgryzły się w wargi. Myślała tylko o tym, żeby nie spaść. Po raz pierwszy tak bardzo cieszył ją wiatr, zachwycało słońce i sucha przestrzeń rozciągająca się aż po horyzont.

Koń zwolnił dopiero wtedy, gdy z jego pyska zaczęła spadać całymi płatami piana, a oddech zamienił się w nerwowe rżenie. Jego skóra

pokryta była potem, a wyczerpane mięśnie chorobliwie drżały. Dziewczyna zsunęła się z siodła i miękko upadła na ziemię. Oddychała ciężko, obserwując, jak zwierzę osuwa się na trawę, wyrzuca z pyska kłęb piany, krztusi się, ryje kopytami ziemię i nagle sztywnieje. Nie musiała sprawdzać. Wiedziała, że wierzchowiec padł.

Spod siodła wysunął się cienki i oślizły gad. Był młody i zagubiony. Miał nie więcej niż dwa metry długości. Początkowo uniósł do góry łeb i wyczekująco wpatrywał się w Bathy. Nie atakował jednak. Wydawało się, że wacha wiatr i podejmuje jakąś decyzję. Po chwili opadł na trawę i powoli zaczął pełznąć w stronę bagna. Bathy ostrożnie rozpięła kurtkę i wsunęła dłonie pod pachy. Sprawdziła również nogawki i kieszenie. Dopiero wtedy uspokoiła się i wstała.

Równina ciągnęła się od ściany lasu na bagnach. Nie zakłócał jej ani pagórek, ani drzewo. Bathy wyjęła z kieszeni siodła kuszę i strzały, po czym uświadomiła sobie, że coraz bardziej dokuczał jej głód. Teraz, kiedy była wolna, organizm upomniął się gwałtownie o swoje prawa. Mimo pragnienia nie zdecydowała się wrócić na bagno. Postanowiła ruszyć przed siebie, wierząc, że w końcu kogoś spotka. Starła się nie myśleć o Ghi-sppi i niezrozumiałych prawach, rządzących jego światem. Czuła wstręt do Mugaby, do szaleńców napotkanych w tajemniczej wsi i wężowiska mnożącego się dzień po dniu na bagnach. Z pochyloną głową stawiała stopy na suchej trawie i wyobrażała sobie stół zastawiony jedzeniem i piciem.

Słońce lada chwila mogło zgasnąć. Bathy rozejrzała się, ale poza ptakami szybującymi wolno po niebie nie zobaczyła niczego interesującego. Powietrze drżało od upału, skóra na opalonej twarzy zaczynała boleć, a nogi odmawiały posłuszeństwa. Kilkakrotnie potknęła się i upadła. Była słaba i z trudem wdychała powietrze. Obejrzała się i w

oddali zobaczyła ptaki krążące nad padłym koniem. Zamknęła oczy i pomyślała o ojcu. On wiedziałby, co należy zrobić. Uklękła, odchyliła głowę do tyłu i odpoczywała. Nagle do jej uszu doleciał znajomy dźwięk. W jednej chwili stanęła na nogi i z nadzieją rozejrzała się po okolicy. Dźwięków było coraz więcej, ale nadal nic nie mogła zobaczyć. Wreszcie w oddali zamajaczyły sylwetki jeźdźców. Bathy odetchnęła z ulgą. Tętent koni i szcęk broni brzmiały w jej uszach jak najwspanialsza obietnica. Zaczęła biec w stronę oddziału, jakby obawiała się, że jej nie zauważy i odjedzie.

ROZDZIAŁ 9

Było ich trzydziestu. Wszyscy z mieczami przy pasach, kuszami na plecach, w luźnych habitach i kapturach na głowach. Przypominali bandę zbuntowanych mnichów. Na rękach nosili ciężkie rękawice obszyte metalowymi blaszkami. Kiedy ją zobaczyli, zatrzymali się i znieruchomieli. Dziewczyna uśmiechnęła się pod nosem i pomachała w ich stronę rękami. Widać było, że dziwni jeźdźcy nie spodziewali się w tym miejscu kogokolwiek spotkać. W końcu pierwszy z nich machnął ręką, a dwaj inni, towarzyszący mu po obu stronach, natychmiast pogalopowali prosto na dziewczynę. Kiedy zatrzymali konie tuż przed nią, wówczas poczuła obcy, lekko mdły zapach. Przestała się uśmiechać i zaniepokojona próbowała dostrzec ich rysy pod kapturami.

– Kim jesteś? – zapytał stojący najbliżej mnich.

– Bathy... – zakrztusiła się i zaczęła głośno kasłać. Drugi z konnych rzucił w jej ręce bukłak z wodą. Otworzyła go i duszkiem wypła niemalże połowę. Westchnęła, czując jak powracają jej siły. – Jestem Bathy... A wy, panie? Jesteście mnichem?

– Co tu robisz? – Pytanie zostało postawione tak, jakby mnich nie usłyszał odpowiedzi.

– Z bagna idę... – wyjaśniła dziewczyna, czując ogarniającą ją senność.
– Mój kompan utonął, a ja ledwie wylazłam z węzowiska... Koń mi padł... A wy? Dokąd zmierzacie, panie? Do Grwaldu?

– Ładna jesteś – stwierdził sucho mnich. – Szkoda cię na zmarnowanie...

Obaj jeźdźcy zawrócili w miejscu i pogalopowali z powrotem do oddziału. Bathy wolno ruszyła w ich stronę. Zmęczenie sprawiło, że zobojętniała i marzyła tylko o jedzeniu i śnie. Od grupy oderwał się jeden z mnichów, prowadząc za sobą luźnego konia. Rzucił wodze w ręce dziewczyny i bez słowa dołączył do oddziału. Dowódca skinął w jej stronę ręką i mnisi ruszyli kłusem w drogę. Dziewczyna wspięła się na siodło i po chwili dogoniła oddział. Zwolniła dopiero przy dowódcy.

– Dzięki, panie – krzyknęła w jego stronę. – Dokąd zmierzacie?

– Tam – odparł grubym głosem dowódca. Podniósł przy tym rękę i pokazał przed siebie.

– Z daleka? – Bathy nie zrażała się jego chłodem. Z opowieści ojca wiedziała, że większość żołnierzy była właśnie taka. Obojętna, gruboskórna i bezlitosna.

– Z daleka – odparł tak samo zimno dowódca.

– A jak was zwa, panie? – Z całych sił starała się być uprzejma i nie zapominać, że zawdzięcza mnichom życie.

– Eryk – chrząknął z irytacją mnich. – Długo tak będziesz pytać? W gębie zasycha...

Słońce schowało się i wokoło zapadły ciemności. W tej samej chwili kilkunastu mnichów zapaliło pochodnie i przesunęło się do przodu. Dziewczyna dziwiła się milczeniu, w jakim wykonywali wszystkie czynności. Zachowywali się tak, jakby odcięto im języki. Przyglądała się ich ubraniom i starała się dostrzec chociażby fragment twarzy. Wszystko jednak tonęło pod kapturami. Jej oczy przesunęły się po mieczach zwisających luźno w bogato inkrustowanych perłami pochwach. Głównie wykończone zostały wielkimi rubinami, które raz po raz odbijały światła pochodni. Bathy zrezygnowana zwiesiła głowę i popadła w odrętwienie. Obudziła się dopiero na trakcie. Oddział posuwał się powoli, a mnisi sennie

kiwali się w siodłach. Niektórzy spali, wydając na przemian głośne chrapnięcia i piski. Nagle ręka Eryka ściągnęła jej wodze i oddział w jednej sekundzie stanął w miejscu. Bathy zdziwiona podniosła oczy na dowódcę. Chciała coś powiedzieć, ale gestem nakazał jej milczenie. Nasłuchiwali. Przez dłuższą chwilę niczego nie słyszała. Kiedy traciła już nadzieję, doleciał do niej narastający tętent konia. Pojedynczy jeździec zbliżał się z olbrzymią szybkością. Bathy wsłuchiwała się w uderzenia kopyt i domyśliła się, że mieli za plecami jednego z królewskich posłańców. Tylko oni potrafili zmusić wierzchowca do tak szybkiego biegu i tylko ich konie znały trasę na tyle dobrze, żeby w taki sposób pokonywać ją w ciemnościach.

Mnisi zgasili pochodnie i rozjechali się na dwie strony drogi. Bathy poczuła na ramieniu ciężką dłoń, która bez słowa zacisnęła się na ubraniu. Nawet nie próbowała się bronić. Dopóki niczego nie rozumiała, dopóty postanowiła być posłuszna.

Posłaniec stał się widoczny. Na tle oświetlonego przez księżyc nieba przypominał kulę siana toczoną przez huragan. Bathy westchnęła. Kochała ludzi, którzy tak wspaniale potrafili dosiadać koni. Wtedy dostrzegła sieć, którą mnich stojący najbliżej drogi wyjął z torby przy siodle. Przełożył ją na prawą stronę i przygotował do rzutu. Dziewczyna nie czekała dłużej. Spontanicznie chwyciła jedną ze strzał i desperackim szarpnięciem wbiła ją w szyję trzymającego jej ramię mnicha. Zapiszczał przeraźliwie, a jego koń uderzony odruchowo piętami w brzuch odskoczył na bok. Zanim mnisi zdążyli zareagować, strzała dźgnęła zad wierzchowca, na którym siedział mnich z siecią. Rżenie i gwałtowny skok konia do przodu umożliwiły posłańcowi bezpieczne przemknięcie obok oddziału. Sieć nie została rzucona.

Bathy gwałtownie rzuciła się do ucieczki. Za wszelką cenę postanowiła nie stracić kontaktu z posłańcem. Kiedy wyjechała na środek traktu, zdała

się na instynkt zwierzęcia. Przenikliwy pisk, który za sobą usłyszała, przeraził ją i zmusił do maksymalnego wysiłku. Już po chwili wiedziała, że jej koń przeszedł długotrwałe szkolenie i mógł ją ocalić. Rozciągnął się w pełnym cwale, wyrównał krok i ani na moment nie zwalniał. Jego oddech był jednostajny i mimo całodniowego marszu nie zdradzał oznak zmęczenia. Za plecami Bathy ruszyła pogoń. Przez dłuższy czas nie wiadomo było, kto do kogo się zbliżał. Wszystkie wierzchowce mnichów zostały specjalnie wyszkolone i uodpornione na zmęczenie. Dziewczyna liczyła na swoją mniejszą wagę i umiejętność jazdy. Miała też nadzieję, że uda jej się oddalić na tyle, żeby konie mnichów nie kierowały się instynktownie jej śladem. W końcu pogoń zaczęła zostawać w tyle. Za to w oddali, kilkadziesiąt metrów w przodzie, co pewien czas ukazywała się na tle nieba sylwetka królewskiego posłańca.

Pierwsze oznaki zmęczenia pojawiły się u konia po północy. Potknął się nieznacznie, wybił z rytmu, aby po chwili znów wyrównać bieg. Przez ten czas posłaniec nie zdołał się oddalić, a ona zbliżyć. Jechali tak, jakby odległość między nimi wyznaczał stale ten sam długi, niewidzialny pas. Kiedy w ciemnościach pojawiła się czerwona łuna, Bathy domyśliła się, że tej nocy nie skończą się jej problemy. Czerwień na niebie coraz intensywniej rozlewała się po okolicy, aż wreszcie zamieniła się w płonące domy i stajnie jednej z osad rozsianych na drodze do królewskiego pałacu. Koń zobaczył ogień i odruchowo zwolnił bieg. W twarz dziewczyny uderzyła drżąca fala ciepła.

Pożar właściwie już dogasał. Stajnie z sianem i ziarnem wypaliły się najszybciej, a domy, szczególnie te nowsze, zbudowane z kamiennych bloków, zajmowały się dużo wolniej. Nie słychać było krzyków kobiet, konania mężczyzn ani płaczu dzieci. Nie zaszczekał żaden pies, nie zapiął kogut, nie kwiczały świnie, nie rżały przestraszone konie. Na zbutwiałej,

oderwanej kopnięciem desce Bathy zdołała przeczytać nazwę osady: Cygga. Zauważyła przed sobą posłańca, który poklepywał uspokajająco wierzchowca i omijając żarzące się belki, oceniał sytuację. Obejrzał się, zobaczył dziewczynę i przywołał ją machnięciem ręki. Podjechała ostrożnie, nasłuchując, czy nie zbliża się pościg. Dopiero po chwili odróżniła pomiędzy spalonymi domami i stajniami ludzkie ciała. Ktoś dokonał w tym miejscu prawdziwej rzezi. Ludzie zostali zaskoczeni we śnie, dlatego wybiegali z domów bez ubrań i bez butów. Większość została zarąbana mieczami i toporami, niektórych zadławił arkan, innych przygwoździły włócznie lub strzały z kuszy. Tylko nieliczni królewscy strażnicy oraz paru przemierzających szlak i nocujących w osadzie podróżnych stoczyło walkę i padło z bronią w rękach. Ci ostatni mieli na szyjach, ramionach i rękach głębokie ślady zębów. Ich ubranie i skóra zostały poszarpane, a twarze rozorane ostrymi pazurami. Bathy ze wstrętem odwróciła głowę i starała się na to nie patrzeć. Nagle posłaniec podniósł ze zdziwieniem oczy i zawołał:

– To ty, dziewczko? Z Grwaldu?

Z ulgą skinęła głową, domyślając się, że ma przed sobą posłańca, od którego stary Gawdi pożyczył dla niej strój. Był młody, chudy i na swój wiek dość wysoki. Bathy uznała, że są prawie w jednym wieku.

– Mnisi mnie ścigają – powiedziała, rzucając za siebie spojrzenie. – Zaraz tu będą...

– To nie mnisi – przerwał jej posłaniec. – To mutanty...

– Jakże to! – wyrwało się z gardła dziewczyny.

– Gdzieś się podziewała, że o niczym nie wiesz? Cały Krepor we krwi. Mutanty w przebraniu mnichów uderzyły od wschodu. Przebiegłe z nich ścierwa i w mordowaniu zaprawione...

– Gadasz, że przyszli od wschodu – Bathy z niedowierzaniem podniosła brwi. – Tam przecież Pandab, a w nim wojska i ludzie waleczni.

– Pandab zdradził – wyjaśnił posłaniec, popędzając nagle konia. – Ruszaj, jeśli ci życie miłe. Słyszę ich...

Dziewczyna bez słowa trąciła konia piętami i pokłusowała za posłańcem. Jechali obok siebie, starając się nie patrzeć na boki. Po chwili opuścili dogasającą osadę i wjechali w ciemności. Tym razem poruszali się ostrożnie. Nie rozpędzali koni, patrząc uważnie na boki i obserwując kontury rysującego się w świetle księżyca horyzontu.

– Przeszli oddziałami – kontynuował posłaniec. – Wleźli wszędzie po cichu i kiedy dostali rozkaz, rzucili się królestwu do gardła. Grwald nawet się nie bronił... Dowódca straży, dawny oficer, Xotos, kupił ich. Gadają, że monety obiecał, że tajemnicę jakąś poznał. Pomerdany tylko zgadnie, o co w tym chodzi... Nie ma dawnego Grwaldu. Niepokornych wyrznęli albo wywieźli do... Tfu! Szczurze mają gęby, a w walce gryzą i drapią. A dziewczki chędożą, że strach... Szczurza krew, jurna...

– Mnie nie tykali – odezwała się oszołomiona wiadomościami Bathy. – Znaleźli mnie ledwie żywą, jeść dali, konia dobrego, a i dołączyć nie bronili... Jak cię zwą?

– Dart – odparł młodzieniec. Widać było, że myślami jest jeszcze w spalonej osadzie. – Posłańców też łowią. Ubitych będzie już ze dwudziestu albo i więcej. Szczury lepiej widzą i słyszą. Szczególnie w nocy...

– A co z naszymi wojskami? Co z królem? – Głos dziewczyny zdradzał skrajny niepokój. – Gdzie nasze wojska?

– Rozbite. – Stwierdził sucho posłaniec. – W rozsypce... Walczą, gdzie się da, ale nawałę trudno opanować. Oni atakują wszędzie. Wyłażą w zamkach, wkradają się do pałaców, czają się w osadach. W przebraniu i cicho, gadzia krew...

– A ty? – zapytała cicho. – Do kogo jedziesz?

Dart zawahał się tylko na chwilę. Jego zęby błysnęły odbitym światłem księżyca. Bathy dostrzegła to i lekko się zaniepokoiła. Miała wrażenie, że skądś zna ten uśmiech.

– Do króla – odpowiedział posłaniec. – Stajnie spalone, konie wykradzione... Wieści pewnie na czas i tak nie dowiozę, chociaż bardzo ważna... Tfu! Może nie warto jej dawać? Służba teraz parszywa, głowę położyć łatwo, a na torturach i tak z człeka duszę wyciągną...

– Zdrada darcim pasów u was karana, mawiał stary Gawdi – wtrąciła nieufnie dziewczyna.

Młodzieniec zaśmiał się nagle głośno i głupkowato. Wydawało się, że wysłuchał sprośnego żartu w zajeździe. Bathy coraz bardziej mu nie ufała. Kiedy spojrzał na nią i zobaczyła bez powodu wyszczerzone zęby, zdołała tylko wyszeptać:

– To ty...

– Dobrze powiedziane. – Posłaniec rechotał w siodle, aż nim trzęsło. – Przyznasz, że gębę mam teraz godną, a cały wygląd mało nikczemny? Trochę się do tych waszych cielsk przyzwyczaiłem. Ani tamten grubas Ghi-sppi, ani ten staruch Mugaba, nie byli nic warci... Jak to wy gadacie, gówniane nasienie z nich było. Wstrętne ochłapy miecha, nic więcej. Która dziewczka chciałaby się z takim chędożyć? A chędożenie u was w cenie, pora i mnie spróbować...

Bathy odsunęła się z lękiem do tyłu. Zauważył to, zaśmiał się jeszcze głośniejsze i dodał uspokajająco:

– Tyś nie dla mnie. Ten chłopak, w którego wlałem, lubił duże i cycaste... O, takie... – Dart zatoczył rękami wielki krąg w okolicach piersi.

– Jako Ghi-sppi byłeś prawdziwy – powiedziała ze smutkiem dziewczyna. – Każde twoje przyjście robi się gorsze... Zaczynasz zalatywać

padliną... Gadaj lepiej, czego ode mnie chcesz? Królewskich monet? Czepiłeś się jak giez końskiego zadu... A może? Nie, tylko nie to...

– Co? – Dart z ciekawości aż zatrzymał konia.

– Ode mnie wara! Słyszysz? Od mojego łba wara!

Posłaniec dopiero teraz pokazał, na co go stać. Ryknął tak głośnym śmiechem, że kiedy arkan owinął się wokół jego szyi i zapadła cisza, Bathy poczuła klucie w uszach. Ją samą również zaskoczył nagły ucisk gardła i zdecydowane szarpnięcie. Straciła przytomność. Upadku na drogę już nie zapamiętała.

Z ciemności wynurzył się niewielki oddział zakapturzonych postaci. Zeskoczyły z koni i pochyliły się nad leżącymi. Ręce ze szczurzymi pazurami zanurzyły się pod ubrania i przeszukiwały kieszenie.

– Dziewka – rzucił za siebie szczur, który natrafił właśnie na pierś Bathy. – Rzepa... Pasy jakieś ukrywa... Twarde...

– Ten tutaj, to posłaniec... – warknął drugi szczur. – Odgryzę mu łeb i wyżrę kiszki...

– Na konia z nimi i do obozu – rozkazał sztywnym i nie znoszącym sprzeciwu tonem mężczyzna bez kaptura. – Tam ich wybadamy. Posłańca trzeba wysiepać nahajem i wieści zebrać... Dziewkę sam ogarnę...

– Niech będzie, panie Zdeb, niech będzie... – jęknął ten, który obmacywał dziewczynę.

Szczury zarzuciły ciała Bathy i Darta na jednego konia i w pośpiechu wjechały na wąską drogę przecinającą trakt. Orszak poruszał się dwójkami. Na końcu jechał Zdeb, były dowódca straży królewskiej z Grwaldu. Przytrzymał konia Bathy i z trudem hamował się przed włożeniem ręki pod jej kurtkę. Nie musiał zgadywać, że trafili wreszcie na właściwą dziewczynę. Żebrak Murray, którego dopadł jeszcze w osadzie, wszystko mu opowiedział. Co prawda skórę z niego darli, bo tajemnicę chciał zataić,

ale sól wysypana na ranę rozwiązała mu język. Powiedział o pasach z zaszytymi monetami i dziwnym grubasku, który bez jednego dotknięcia zabił kilkunastu włóczęgów. Zanim umarł, Zdeb dokładnie wypytał go o wygląd dziewczyny.

W obozie mutantów panował hałas i pijaństwo. Mnisi pozdejmowali kaptury, podwinęli habity i podskakiwali w rytm melodii wygrywanej na fujarce i lutni przez trzech wędrownych muzyków. Każdy z grających został przywiązany za nogę do koła wozu, na którym piętrzyły się skradzione w Kreporze przedmioty. Rozochoczone mutanty tańczyły z dziewczkami zabranymi w niewolę i gziły się bezwstydnie z co ładniejszymi i młodszymi na trawie. Od czasu do czasu wpadały w złość i przegryzały gardło zbyt hardo patrzącemu chłopu lub schwytanemu na trakcie handlarzowi. Czasami, słaniając się od wina, wlokły którąś z dziewczek bliżej ogniska i piszcząc z zadowolenia, odzierali z ubrania. Szczurza krew, jurna i dzika, lała się także. Kiedy dziewczka była wyjątkowo kształtna, mutanty rzucały się na siebie, bo żaden nie chciał jej oddać. Wówczas rozlegał się przenikliwy szczurzy pisk, charczenie i trzask zębów. Padały z przegryzionymi gardłami, poszarpanymi wnętrzościami i pianą na pysku. Te, które akurat stały na straży, w milczeniu i posłuszenie sprzątały zwłoki i porzucały w dole wykopanym jeszcze w dzień przez chłopów.

Oddział wjechał pomiędzy ogniska, nad którymi piekły się sarny, przedostał się do olbrzymiego skórzanego namiotu pośrodku obozowiska i na komendę zatrzymał. Zdeb, który dowodził wypadem, dał znak, że posłaniec ma zostać doprowadzony przed dowódcę, mutanta Nariagę. Sam zajął się dziewczyną. Ściągnął ją z siodła, zaniósł do swojego namiotu i rzucił na stos futer. Przy świetle pochodni przez chwilę uważnie jej się przyglądał. Miał zamiar zerwać z niej pasy z monetami i natychmiast

wszystko przeliczyć, ale pohamował się. Związał dziewczynie ręce i nogi, po czym żołnierskim krokiem ruszył do namiotu Nariagi.

– Czy już ją zamęczyłeś? – przywitał go zgryźliwie siwy, żylasty mutant. – A dla mnie przywiozłeś tylko to ścierwo... – pokazał zakrzywionym pazurem na odzyskującego przytomność posłańca. W świetle umocowanych na kołkach pochodni błysnął sygnet z wielkim diamentem. – Jesteś gorszy od nas, Zdeb, jesteś zimny jak jaszczur. Gdyby nie to, pewnie kazałbym ci przytrzymać łeb i własnoręcznie przewierciłbym twoje ślepie moim pierścieniem... Pokażę ci, kiedy przyjdzie pora. Może zaraz, a może dopiero przed śmiercią... – Mutant zaśmiał się ponuro i z wysiłkiem. – Trzymam cię, bo obiecałeś mi monety, za które kupię księstwo...

– Kupisz, panie – potwierdził chłodno Zdeb. – A ja zostanę twoim najwierniejszym namiestnikiem...

– Obyś miał rację, psi synu – podsumował szczur i wbił zęby w udziec dochodzącej nad małym ogniskiem sarny. Dym snuł się powoli, uchodząc przez otwór wycięty w górze namiotu. Zdeb łypnął okiem na stojące w cieniu trzy potężne, uzbrojone po zęby mutanty i postanowił jak najszybciej zniknąć z oczu Nariagi. Chwycił posłańca za włosy i rzucił pod nogi szczura. Miał nadzieję, że tamten natychmiast zagryzie ofiarę i pozwoli mu odejść. Nariaga jednak zajęty był jedzeniem udźca. Zdeb pochylił się nad Dartem i warknął:

– Przed tobą było już u nas paru królewskich donosicieli i zostały po nich tylko gnaty... Rozumiesz, co gadam?

Posłaniec przytaknął, siadając na rozłożonych wokół ogniska skórach. Wyszczrzył zęby w uśmiechu i pomasaował sobie gardło.

– Dajcie pić – odezwał się ochrypłym głosem. – Od granicy nie miałem nic w gębie...

Nariaga spojrział na posłańca zaciekawionym wzrokiem i przerwał jedzenie.

– Ktoś ty? – Spomiędzy jego zębów wydobyło się przeciągłe mlaśnięcie. Podniósł przy tym jedną nogę i głośno pierdnął. – Gazy mnie męczą, brzuch pęka i nic się nie da zrobić... To, co mam z ludzi, gówniane jest i przeszkadza. Kiedy mnie wzdyma, wtedy was jeszcze bardziej nienawidzę...

– A wkładaliście kiedy, panie, tyłek do ogniska? – zapytał Dart, gryząc mięso z udźca.

Zdeb zamarł z przerażenia. Od dłuższej chwili nie mógł zrozumieć, kogo tak naprawdę schwyтали na arkan. Jak na posłańca nieznajomy był zbyt pewny siebie. Poza tym nie sprawiał wrażenia kogoś, kto boi się czegokolwiek, a tym bardziej mutantów.

– Do ogniska? – zapytał zaintrygowany Nariaga. Tłuszcz na siwych wibrysach lśnił i drażniąco rzucał się w oczy. – Tyłek, gadasz...

– Tyłek, dupsko, rzyć... – kontynuował z takim samym uśmiechem posłaniec. – Wszystko jedno. Ważne jest, żeby dupsko nadstawić do ogniska, kiedy w bebechach nędzy i gazy idą... No i gacie trza zdjąć. Dziwne to, że nie znacie tego sposobu. Widać u was inne zwyczaje, a może i ciemnota się pleni...

– Śmierdzi mi, żeś ty chyba nasz... – przerwał mu Nariaga. – Bywało, że krzyżówka była trefna i spuszczało się oseska na wodę... A potem swój swego nie poznawał. A ty nasz jesteś czy z innych?

– Mogę być z was i mogę być z innych – odpowiedział posłaniec, wstając i podnosząc do ust bukłak z winem. – Mnie wszystko jedno.

– Panie, zabiję go – zawołał z wściekłością Zdeb. – To żaden posłaniec, to pokręcony...

– To mutant – przerwał mu szczur. – I zostanie z nami. Stary, dobry mutant... Słyszałeś, Zdeb? Wynoś się... Szukaj monet, bo zetrę na tobie zęby...

Zdeb zacisnął usta, poczerwieniał na twarzy i potulnie wyszedł z namiotu. Żałował, że nie rozplątał gardła posłańcowi zaraz po schwytaniu. Nie zobaczył już, jak Nariaga wyciąga ręce do Darta i obaj serdecznie się ściskają.

– Czuję, że jesteś nasz, czuję to – cieszył się dowódca mutantów. – Żaden człowiek nie stał przede mną tak... – zawahał się, jakby szukał odpowiedniego słowa – ...tak zwyczajnie. Na mój widok księżęta wbijali sobie noże w pierś, a mnisi rzucali się na kołki od namiotu... Byłe zdechnąć i nie dostać się w moje pazury... – wyciągnął w stronę posłańca szczurze pazury z pierścieniem i zacisnął je. – Ze strachu najszlachetniejsze dziewczki kładły się pod moimi mutantami i kwiczały na rozkaz jak zarzynane świnię... Nieraz też ich dowódcy srali na moich oczach po nogach i płakali, kiedy smarowaliśmy im sadłem rzycie i wpuszczali we flaki prawdziwego szczura... Nawet ci z Sagdenii, te barbarzyńskie psy, tarzali się przede mną, błagając o śmierć. Teraz nadeszła pora, żeby świat oddał nam to najważniejsze... Jak cię zwa?

– Dart – odpowiedział posłaniec, powoli dopijając ostatnie krople wina z bukłaka. Widać było, że jest już lekko pijany. – Nie wiem, skąd jestem i nie znam swoich... Za ojców i matkę miałem królewskich posłańców. W stajniach Krepom... Kiedy ginęli na szlaku albo wracali pocięci, wtedy przychodzili nowi... Obcy, panie, zawsze obcy.

Nariaga wstał, przeciągnął się, beknął głośno i wytarł rękawem szczurzy pysk. Podszedł do Darta, objął go ramieniem i wyszli razem przed namiot. Księżyc świecił jasno, a gwiazdy nieregularnie pulsowały na bezchmurnym granacie nieba. Szczur podniósł łeb, wciągnął powietrze i zapatrzył się w

górze. Dart przyglądał się mutantom tańczącym wokół najbliższego ogniska. Czuł za plecami obecność trzech potężnych i milczących strażników Nariagi. Posuwali się za swoim dowódcą jak cienie. Każdy z nich był wyższy o dwie głowy od posłańca i szerszy w barach od innych mutantów. Dart odniósł wrażenie, że w ich sposobie poruszania było coś z wielkich i dzikich kotów. Nie przypominali typowych mutantów szczurów, a olbrzymi, wystający jak garb, kłęb mięśni na karku upodabniał ich chwilami do leśnych turów.

– Kiedyś i tam trafimy – zapiszczał z nutką niecierpliwości w głosie Nariaga. – Gnicie w jednym miejscu, to nie dla nas. Tam nasze miejsce i żer...

Posłaniec nie zwracał uwagi na jego słowa i przyglądał się nagim kobietom tańczącym w uściskach szczurów. Dopiero teraz zauważył, że wszystkie były jednakowe. Miały duże piersi, kształtne pośladki, długie jasne włosy i piękne twarze o regularnych rysach i zmysłowych, pełnych ustach. Chłopski muzykanci grali i śpiewali jakąś romantyczną melodię, a siedem kobiet wyginało się coraz bardziej prowokująco. Tańczące szczury również zrzuciły ubrania i widać było, jak bardzo są podniecone. Dart podniósł spojrzenie na mutanta i zapytał:

– Skąd macie, panie, tak dużo gładkich dziewczek? Jedna w drugą rzepa...

Nariaga otrząsnął się, jakby go ktoś obudził z głębokiego snu. Przestał patrzeć w niebo i przesunął wzrokiem po tańczących kobietach.

– Klony – warknął cicho. – Próbna dostawa. Dziewki do uciech... Dobre one, ale na trochę... Opatrzeć się mogą, a wtedy o rajcowaniu szkoda gadać. Kłody to, a nie dziewczki, chociaż z najprzedniejszego wzoru brane...

– Jakże to, panie? – Posłaniec otworzył ze zdziwienia usta i patrzył z niedowierzaniem na mutanta. – Klony? Rechoczecie ze mnie...

Nariaga rzeczywiście zaśmiał się, widząc po raz pierwszy zdziwienie Darta.

– Nie rechoczemy – odpowiedział, rzucając przebiegle oczami na pijanego szczura, który kilka metrów obok próbował schwytać na arkan ślepego włóczęgę z grubym kosturem w rękach. Włóczęga stał obok wozu ze skradzionymi meblami ze spalonych dworów i nasłuchiwał świstu pętli. Kiedy ta spadała niemal na jego głowę, odsuwał się nieznacznie i ratował życie.

Dowódca mutantów był wyraźnie zaintrygowany. Pochylił się do tyłu i szepnął coś do jednego ze swoich przybocznych strażników. Tamten skinął łbem i natychmiast podszedł do pijanego szczura. Chwycił rękę rzucającą arkan i przyciągnął do siebie. Chwilę potem puścił ją i pokazał szczurowi, że pora skończyć zabawę. Mutant jednak musiał być zbyt pijany, ponieważ wyszarpnął z pochwy miecz i rzucił się do walki. Cięcie minęło łeb przybocznego, który jednym uderzeniem pięści roztrzaskał atakującemu pysk. Kopnięciem odrzucił martwe ciało w krzaki. Teraz on podniósł z ziemi arkan i zamachnął się do rzutu. Wydawało się, że pętla spadnie dokładnie na szyję ślepcy, ale tamten zrobił szybki krok do tyłu i znów uniknął schwytania. Nariaga aż pisnął z zachwyty. Jego pazury bezwolnie wbiły się w ramię posłańca.

– Ślepiec, który nie jest ślepcem... – Dart usłyszał jadowity szept.

Przyboczny mutant tym razem nie zlekceważył ślepcy. Starannie przygotował arkan i wyczekał, kiedy włóczęga odwróci się, żeby odejść. Arkan znów chybił. Nariaga spochmurniał i zawiesił zimne spojrzenie na swoim przybocznym. Tamten schylił łeb i pokornie zbliżał się, aby otrzymać karę. Klęknął na jedno kolano i podał Nariadze arkan. Dart z uwagą przyglądał się pętli, która powoli zaciskała się na szyi olbrzymiego mutanty. Nariaga robił się coraz bardziej czerwony. W końcu zaczął skakać

wokół klęczącego i szarpnięciami próbował powalić go na ziemię. Nie było to jednak proste. Kark i szyja wytrzymały ataki, chociaż skóra na szczurzym pysku zrobiła się nieco bledsza. Nagle Nariaga puścił arkan i zwałił się, ciężko dysząc, na kolana. Jego ciało zaczęło nerwowo drżeć. Pazury zagłębiły się w habit na piersi i konwulsyjnie zaciskały. Dart nie ruszył się z miejsca. Patrzył na przerażone pyski przybocznych. Pochylili się nad dowódcą i głośno sapali. A więc jednak umieli się bać, zauważył z satysfakcją Dart. Rozejrzył się, ale ślepiec gdzieś zniknął.

– Podejź tu – wycharczał mutant, pokazując palcem posłańca. Kiedy ich ręce prawie się dotknęły, stary szczur z wysiłkiem zapytał:

– Czy chcesz mi coś powiedzieć? Coś ważnego dla naszej rasy... Dla mutantów... Dla ciebie... Wojna dopiero się zaczęła i sporo krwi jeszcze popłynie... Powiedz mi to, co chcesz, powiedz, zanim odejdę...

Dart chwycił go za rękę i dotknął pierścienia. Wiedział już, czego chciał. Zobaczył przed sobą światło, o jakim nawet nie marzył. Dostrzegł w swoim przeznaczeniu kolejną szansę na zabawę, na zbliżenie się do celu. Nariaga spojrział mu głęboko w oczy i jęknął:

– Zostajesz sam... Musisz przetrwać i poprowadzić ten oddział... Bądź wierny naszemu cesarzowi i nie lituj się nad obcymi... Dart. Szkoda, że rosłeś z nimi, szkoda, bo tak jak ja, nie czujesz strachu... Czy powiesz mi, co wymyślili, żeby zabić nasz gatunek? Ta padlina, Krepor, musi przecież kiedyś zdechnąć...

Dart położył dłonie na pazurach z pierścieniem. Z łatwością odtworzył to, co znalazł w umyśle prawdziwego królewskiego posłańca.

– Król rozkazuje, aby wszystkie wojska zgromadziły się na granicy z księstwem Syriusa. Tam zostaną wydzielone oddziały, które zwalczą mutanty ich sposobem... – Wiadomość była przekazywana martwym i monotonnym głosem. – Nie dopuścić do starć regularnych wojsk.

Wydzielić, przemieszać i atakować bez litości. Żadnych jeńców. Do kraju mutantów wysłać oddział najemników i zabić cesarza. Na dowódcę wyznaczam grafa Donahue. Okaze się moim sygnetem. Wykonać. Król.

Wtedy po raz pierwszy Dart uwierzył, że uda mu się dotrzeć do celu szybciej niż obliczono w świecie równoległym. Skończył mówić i niecierpliwie wpatrywał się w pysk Nariagi. Chciał zobaczyć jego śmierć i wydać rozkaz do wymarszu. Patrzył w stare oczy szczura, ale śmierć nie nadchodziła. Nariaga odpowiadał mu spojrzeniem i wydawało się, że on także czeka. Przyboczni cierpliwie klęczeli obok z rękami na rękojeściach mieczy. W końcu oczekiwanie stało się męczące.

– Czy teraz dasz mi swój pierścień, panie? – zapytał z ledwie ukrytą niecierpliwością posłaniec. – Pora uderzyć na Krepor...

Uderzenie rzeczywiście nadeszło. Spadło na oko Darta z wściekłą, nagle wyzwoloną siłą. Olbrzymi diament wwiertł się dokładnie w prawe oko. Pięść Nariagi trafiła nieomylnie tam, gdzie chciała. Kiedy posłaniec upadł, z przerażeniem trzymając się za krwawiący, pusty oczodół, mutant zerwał się i wybuchnął histerycznym, piskliwym śmiechem. Przyboczni znów wyprostowali się i beznamiętnie stanęli za swoim panem. Oni nie śmiali się.

– Ty źmijo, ty gadzie, ty zgnilcu... – syczał przez zęby Nariaga. – Chciałeś mnie podejść? Mnie? Nariagę? Najsprytniejszego mutanta w cesarskich oddziałach?

– Gadałeś... – jęczał z bólu Dart. – Gadałeś, żem wasz, żem mutant...

– Gównu jesteś, a nie mutant! – ryknął z pogardą Nariaga. – Jesteś spaprany inaczej, może nawet pomerdany... Twój Krepor wyliże buty cesarza i zdechnie jak prosię... Sram na wasze wojsko i na waszego króla. Słyszysz? Tą rzycią na niego sram... – Dowódca mutantów zapienił się, podciągnął habit i wypiął wielkie, owłosione pośladki. – O tak! – W tym momencie rozległo się głośne pierdnięcie.

– Zabij mnie, słyszysz? – Posłaniec rzucił się na mutantą. – Zadźgaj na miejscu lub poderżnij gardło w nocy...

Nagle twarz Darta złagodniała, ciało rozluźniło się, a głos zamilkł. Oczy stały się szkliste i nieobecne. Nariaga również zauważył tę zmianę, ponieważ zagryzł wargę i przebiegle przyglądał się posłańcowi. Jego obstawa pozostała obojętna.

– Jakaś sztuczka? – pisnął szczur, a jego wibrysy wyraźnie zadrżały. – Wydłubać ci, zgniłku, drugi ślip?

Posłaniec jednak nie odpowiedział. Stał sztywno i wydawało się, że toczy jakąś rozmowę. Jego ciało raz po raz przechodził dreszcz. Nawet Nariaga wyczuł tajemniczą i potężną energię. Spoważniał, położył rękę na mieczu i przysunął się bliżej swoich szczurów. Po chwili z ust Darta wydobył się potok najgorszych przekleństw. Posłaniec zaczął tarzać się po ziemi, pluć, charczeć, rzucać się na boki i zrywać z siebie ubranie. Kiedy próbował się pogryźć, Nariaga cofnął się i patrzył na ten wybuch szaleństwa zza pleców mutantów. Oni również byli zdziwieni i przygotowani na gwałtowny atak. Po pierwszym ugryzieniu we własne ramię Dart krzyknął z bólu i trochę się uspokoił. Usiadł na ziemi i ciężko oddychał. Był spocony, brudny, a zakrzepła krew w oczodole przypominała najstraszliwsze obrazy starych mistrzów.

– Odejdź od nas – odezwał się poważnie Nariaga. – Jesteś opętany... Dać mu marchwi i wygnać z obozu – rozkazał krótko, odwrócił się i skierował szybkim krokiem do namiotu. Był przesądny i wierzył w magiczną siłę szaleństwa. Od dziecka tylko przed tym czuł prawdziwy strach.

ROZDZIAŁ 10

W chwili gdy Dart z zakrzepłym oczodołem opuszczał granicę ognisk i poczuł chłód nocy, kiedy muzyka i pijane krzyki zaczęły zacierać się w oddali, wtedy właśnie w namiocie, kilkadziesiąt metrów dalej, Bathy zauważyła cień pochylający się nad Zdebem, ważącym w dłoniach pasy z monetami. Sylwetka była wyraźna, a jej ruchy szybkie i zdecydowane. Ręka sięgnęła po jeden z pasów, podniosła go i błyskawicznie spadła na dół. Dziewczyna usłyszała stłumiony okrzyk i pląsnięcie uderzającego o skóry ciała. Potem ktoś stanął za jej plecami i przeciął jej więzy.

– Zabierz te pasy i ruszaj. W torbie jest twoja kusza i strzały. Znajdziesz też kawałek pieczeni... – Głos nieznajomego był miękki i przyjemny. W niezrozumiały sposób wydawał się pozbawiony emocji. Chciała odwrócić głowę i zobaczyć swojego sprzymierzeńca, ale silna dłoń zasłoniła jej oczy.

– Nie trzeba. Po prostu uciekaj. Załóż habit...

– Dokąd? – Zareagowała spontanicznie.

– Na południe – powtórzył nieznajomy głos. – Starym traktem... Do księstwa Syriusa...

Skinęła głową. Ręka odsunęła się, rozległy się ciche kroki i zapadła cisza. Bathy rozejrzała się powoli i jak w transie zaczęła zapinać pasy z monetami na ramionach. Wsunęła się w habit, zasłoniła głowę i twarz kapturem, po czym wymknęła się z namiotu. Orgia rozkręciła się już na dobre. Mutanty kwiczały, piszczały, śpiewały, przewracały się po krzakach i gziły z dziewczkami. Szczurzy temperament w połączeniu z wódką rodził

niepohamowane żądze i wyzwałał najdziwniejsze instynkty. Bathy znalazła opróżnioną do połowy butelkę wódki, podniosła ją i udawała pijanego mutanta. Zataczała się, omijała kłócące się grupki wokół ognisk, unikała przesuwających się trzeźwych wartowników. Kierowała się na wschód, tam, gdzie znajdował się stary, dawno nie używany trakt do księstwa. Słyszała o nim. Herling opowiedział córce o tajemniczych zapadliskach, o nagłych powodziach i wytryskach gorącej lawy. To właśnie zniszczyło starą drogę. Mimo że była krótsza i szersza, omijali ją nawet najbardziej zachłanni kupcy. Zdarzało się, że karawana wozów wjeżdżała na drogę, znikła za zakrętem i zapadała się z łomotem pod ziemię. Pozostawała wielka wyrwa i sterczące ku górze kamienie o twardych i ostrych jak nóż brzegach. Bywało też tak, że wozy kupieckie otaczała gęsta mgła, która usypiała wszystko, co żywe. Wędrowni włóczędzy niechętnie opowiadali o dziesiątkach wysuszonych kości i czaszek znajdujących się wśród zbutwiałych wozów i zniszczonych towarów. Wyglądało na to, że w miejscu, w którym przebiegał trakt, przyroda stworzyła naturalną i nieprzebytą barierę. Na pograniczach Krepom, Pandabu, Sagdenii i krainy mutantów, a nawet dalej, bo na dziewiczych terenach zamieszkiwanych przez karły lub kowali z Lombardii, rozmaici awanturnicy, żołnierze, przemytnicy, jak też zwyczajni poszukiwacze przygód zakładali się, kto tamtędy przejdzie i zdoła ocalić życie. Takich, którym się to udało, można było zliczyć na palcach jednej ręki. Po powrocie nie chcieli o niczym opowiadać, zamykali się w sobie i uchodzili za dziwaków. Mówiono, że jeden z nich, dawniej wesoły i skory do awantur, podciął sobie żyły, dwóch innych, znanych na pograniczu złodziei i przemytników, zagłodziło się na śmierć, a trzech pozostałych, doświadczony łapacz, żołnierz z Gór Asty i barbarzyńca z Szybgadii, przestali w ogóle mówić. Reszta zniknęła bez śladu.

Bathy zbliżyła się do ściany lasu. Wejście pomiędzy krzaki i drzewa oznaczało bezpieczeństwo. Miała zamiar ściągnąć za długi habit, ale powstrzymał ją znajomy świst. W ten sposób mogła lecieć tylko strzała. Jedna po drugiej. Dziewczyna przestraszyła się i kucnęła. Nasłuchiwała, ale świst nie powtórzył się. Poderwała się i pobiegła jak najszybciej do najbliższych drzew. Po drodze potknęła się i upadła. Poczuła, że jej ręka natrafiła na bełt od strzały tkwiącej w piersi mutanta w habitcie. Jeszcze żył. Jęczał, a z jego ust wydobywały się krwawe bąbelki. W świetle księżyca widać było także drugie ciało. Ten mutant został trafiony prosto między oczy. Nawet nie zdążył ich zamknąć. Leżał teraz na wznak i wydawało się, że patrzy na Bathy swoimi przebiegłymi oczami szczura.

Dziewczyna podniosła się i ostrożnie ruszyła w kierunku traktu. Wiedziała, że prowadzi na północny zachód. Księżyc i gwiazdy wyznaczały drogę. Przedzierała się przez gąszcz krzaków, omijała omszałe pnie drzew, przeskakiwała przez wąskie strumyki i źródła. Przez cały czas wydawało jej się, że ktoś za nią podążał. Instynktownie wyczuwała obecność obcego. Kilkakrotnie zwalniała, czaiła się za wykrotami i czekała na swojego prześladowcę. Nikt jednak się nie pojawiał. Wiatr szumiał monotonnie wśród gałęzi, zwierzęta wydawały swoje nocne odgłosy, a jej ubranie przy każdym ruchu cicho szeleściło. Wmawiała sobie, że jest zmęczona i coś jej się przewiduje, że strach i zmęczenie wywołują nieuzasadnione przeczucia. W końcu przestała się oglądać i zaczęła myśleć wyłącznie o starym trakcie. Wiedziała, że lada chwila powinna do niego dotrzeć.

Droga wyłoniła się nagle. Bathy weszła na nią z boku i od razu odgadła, że jest na właściwym miejscu. Uderzyła ją przestrzeń i pustka ziejąca z nierównego pasa ziemi. Miała wrażenie, że pomiędzy drzewami przyroda wybrała sobie teren do sprawiania niespodzianek. Zniknął za nią spokój lasu, zmatowiał księżyc i gwiazdy, do jej uszu zaczęły dochodzić zupełnie

nieznane odgłosy. Ruszyła po spękanej powierzchni, słysząc jęki przesuwających się pod nią skał, syczenie przelewającej się lawy i świst wiatru, którego jeszcze nie czuła. Dopiero teraz zaczęła się naprawdę bać. W każdej chwili spodziewała się zobaczyć zabójczą mgłę lub pękającą pod nogami ziemię. Miała zamiar cofnąć się i wędrować brzegiem traktu przez las. Pamiętała jednak, co opowiadał jej ojciec. Po obu stronach starej drogi mieli zwyczaj obozować pellegrisi. Najstarsi włóczędzy opowiadali, że tam właśnie mieszkali, płodzili się i przygotowywali do swoich napadów. Bathy wybrała. Wolała nieznaną trasę niż nienawiść pellegrisów.

Mgła zaczęła się sączyć powoli. Z małych szczelin wysunęły się szare smużki i stopniowo rozrastały się, przybierając postać olbrzymich grzybów. Kiedy mgielne kapelusze dotykały się, szarość zalewała wszystko wokół. Księżyc zniknął, niebo zamazywało się, a wzrok nie potrafił odróżnić nawet własnych dłoni. Dziewczyna stanęła i obserwowała obłok. Przesuwał się w jej stronę. Tak jakby ją widział i celowo się z nią drażnił. Czasami nieruchomiał i cofał się. Chwilami tracił swoją intensywną szarość, nasycaną zimnymi smugami księżycowego światła. Potem wracał. Krok po kroku zbliżał się do jej twarzy. W końcu nie wytrzymała. Odwróciła się i z krzykiem pobiegła z powrotem do lasu. Strach przed pellegrisami okazał się słabszy.

Upadła na puszysty mech i ciężko oddychała. Histeryczny krzyk uwiązał jej w gardle i przypominał teraz skowyt przestraszonego szczeniaka. Wtedy usłyszała stłumione wołanie:

– Bathy! Gdzie jesteś? Odezwij się!

Poznała go. W ten sposób mógł jej szukać tylko Dart. Naiwny i głupi wędrował skrajem traktu, kierując się do księstwa. Dziewczyna pomyślała, że to cud, iż jeszcze żył. Nie o nim jednak myślała. Dość miała śmierci, którą powodował tajemniczy przybysz ze świata równoległego. Żal jej było

prawdziwego Ghi-sppi, żal prawdziwego Darta, a nawet starca ze wsi na bagnach. Z przerażeniem wyobrażała sobie wniknięcie w jej duszę i ciało kogoś obcego, kogoś tak bezlitosnego. Syknęła przeciągle. Zobaczyła go biegnącego pomiędzy krzakami. Kiedy stanął przed nią i spojrzała mu w zdrowe oko, zdziwiła się. Nawet w nocy, w półcieniach gałęzi, zobaczyła przerażenie.

– Wystrachany jesteś... – szepnęła. – Chociaż trupem nie zajeżdżasz...

– Zostawili mnie – jęknął Dart. – Ukatrupili tutaj...

– Co ty gadasz? – Na twarzy dziewczyny pojawiło się zwątpienie i nieufność. – Łeb ci mutanty zamieniły czy co?

– Głupiasz? – otrząsnął się Dart. Jego ciało nerwowo drżało, a zakrzepnięty oczodół coraz mocniej piekł. – Moi mnie zostawili... Nie mogę wyleźć z tego... worka – dokończył i uderzył się ze złością po brzuchu. – Boli mnie, bojaźń czuję i straciłem kontakt... Te parszywe kundle rzuciły mnie na tę gównianą stronę i ubili. Co ja mam teraz robić?

– Po coś tu w ogóle przylazł? – zapytała z irytacją Bathy. – Kto cię prosił, żebyś włąził w tych ludzi? Zakatrupiłeś ich i miałeś to w rzyci. Nie pamiętasz? Ścierwi z ciebie pomiot i żalu po mnie nie oczekuj...

Dart usiadł na mchu i schował głowę w dłoniach. Dziewczyna obserwowała go w milczeniu. Z pustym, zakrwawionym oczodołem wyglądał strasznie. Oboje byli głodni i zaczynało dokuczać im zimno. Dopiero teraz uświadomili sobie swoją sytuację. Krepor pogrążony był w wojnie. We wszystkich osadach, zamkach i pałacach, na wszystkich drogach i traktach, znajdowały się oddziały mutantów. Wojsko rozsypało się po kraju, król ukrył się nie wiadomo gdzie, a ludzie dla ocalenia życia próbowali układać się z wrogiem. Do tego dochodziły węszące wszędzie bandy przemytników, złodziei lub zwyczajnych włóczęgów. Nad tym wszystkim wisiała realna groźba nagłego ataku setek pellegrisów, którzy w

takich chwilach chętniej niż zazwyczaj wychodzili ze swoich kryjówek. Wyłaniali się zniemacka, atakując posuwające się wolno na wschód kolumny niewolników i towarzyszących im mutantów. Po takim natarciu na drodze zostawały porąbane mieczami i toporami zwały ciał, a wiatr już z daleka ostrzegał przed rozwijającą się zarazą. Droga do księstwa Syriusa nie rysowała się łatwo. Przed Bathy i Dartem coraz wyraźniej wyrastało widmo śmierci.

– Miałem odnaleźć nasze dziecko... – zaczął, cedząc słowa, posłaniec. – Dziecko naszego świata... Zdarzyło się, że bardzo dawno temu, kiedy odkryliśmy inne światy, trafiłem do was, wlałem w takiego jednego i dziewczkę zdrową przydybałem nad wodą... Chędożna była i chętna... Rozeznałem się, że dupczenie rzecz miła, ale tajemnicę ukryłem. Nie chciałem naszym mieszać... Zresztą przejście do waszego świata siły dużej potrzebuje i męczy. Wielu naszych połączyło się, żeby tutaj trafił... Wróciłem. Po czasie okazało się, że dziewczka powiła chłopaka i dziewczynę. Dusze mieli inne, mocniejsze, szybsze, jakby nasze... Przecodziły się do nas, do naszego życia. Niecałe, postrzępione, głupie i ciemne, ale wiedzieliśmy, że są... Wtedy mnie znów wezwali... Musiałem im wszystko wygadać. Cicho było, spokojnie i śmierdziało zdradą... Wysłuchali i dali mi spokój...

W tym momencie noc przeminęła i z góry przedarły się do nich promienie słońca. Nie zwracali na nie uwagi. Zapomnieli o głodzie i czekającej ich wędrówce. Na czole posłańca skropliły się bąble potu, a w okolicach skroni napięły grube i sine żyły. Bathy kucnęła i nie odrywała oczu od jego ust. Była zaskoczona i całkowicie przejęta opowiadaniem. Z całych sił starała się nie zwracać uwagi na jego zakrzepnięty oczodół. Sięgnęła do torby po pieczeń i podzieliła się nią z Dartem. Gryźli w milczeniu zimne mięso i obojętnie obserwowali otoczenie.

– Musisz być bardzo stary... – odezwała się nieśmiało.

– Jestem stary podług was – skinął głową posłaniec. – U nas nikt nie umierał, po prostu się było... Wystarczyło, że ktoś bardzo chciał i powstawało nowe. Lubiliśmy to... Nowi przynosili śmiech, a my chcieliśmy się bez przerwy śmiać... Potem przyszło to najgorsze. Nie wiem skąd, chociaż mam swoje przewąchania... Może to ja sam przywlokłem tę zarazę do mojego świata? Niektórzy z nas zaczęli znikać, czy jak wy tu gadacie, umierać. Nie było rady. Wtedy znów mnie przywołali...

– Paskudne dziwy gadasz... – przerwała mu z przejęciem Bathy. – Tylko że nasze życie dla ciebie gorsze od bajora, a wasze ważne jak... – zawahała się i splunęła pod nogi, mocniej gryząc pieczeń. – Ślip straciłeś, więc wiesz. Za gorszych nas macie, chachmycie jedne...

– Nie skrywam – potwierdził Dart, oblizując usta po ostatnim kęsie. – Ciemni jesteście i śmierdzący. Żeby nie chędożenie, narznąć by na was nie warto...

– To czemuś na mnie nie wskoczył? – nastroszyła się mimo woli dziewczyna. – Wstrętna dla ciebie jestem? Za chuda? A może chłopów wolisz? Słyszałam już o takich...

Posłaniec skrzywił się. Widać było, że był w kłopotcie. Przyjrzał się zdrowym okiem dziewczynie, ocenił biodra, piersi, twarz, po czym westchnął ciężko.

– Nie wiem – odparł cicho. – Niby zdrowa z ciebie dziewczka, niby cyc masz, a i rzyć dobrze uklepaną, ale coś mnie nie ciągnie... Tajemnica w tym jakaś, to pewne. Bo niby dlaczego z tobą mnie połączyli? Nagadali o dziewczce, którą mam przygarnąć, i wysłali... I tak to za tobą się wlokę...

– A co z dzieckiem? – zapytała trochę uspokojona Bathy.

– Z dziećmi – poprawił posłaniec. – Dwoje się urodziło przecież...

– Dużo tych waszych...

– Chłopak i dziewczka – wtrącił Dart. – Kiedy ona umarła, przekroczyła nasz czas naprawdę popaprana jakaś, obca, inna... Zniknęła tak samo szybko, jak przyszła. Jakby ją trzeci albo czwarty wymiar usidlił. Są czasy, o których nie mamy pojęcia. Dostęp do nich podły...

Trzask gałęzi rozległ się w pobliżu już po raz kolejny. Tym razem był głośny i usłyszeli go. Bathy poderwała się na nogi, a Dart podniósł z mchu krótki kij. Stanęli sztywno i nasłuchiwali. Jej dłoń zanurzyła się w torbie i wyciągnęła kuszę. Naciągnięcie trwało zaledwie trzy sekundy. Pora już była. Pellegrisi otaczali ich zacieśniającym się kręgiem. Oboje zobaczyli ich w tym samym momencie. Tym razem pellegrisi nie zachowywali się histerycznie i dziko. Szli powoli, majestatycznie, niemalże odświętnie. Wpatrywali się w Bathy i pochrząkiwali od czasu do czasu. W ich rękach znajdowały się długie kije i krótkie miecze o szerokich ostrzach. Z bliska wyglądali łagodnie. Sprawiali wrażenie cyrkowej trupy karłów wędrujących po trasie dla zarobku. Wystarczyło jednak spojrzeć im dokładniej w oczy, aby zauważyć ziejącą z nich nienawiść. Dart przycisnął się do ramienia dziewczyny i mocniej ścisnął kij. Znow zaczął się bać. Bathy wycelowała kuszę w najbliższego pellegrisa i starała się zachować spokój.

– Podobno waszym bogom jest za ciasno... – Głos Darta zabrzmiał nienaturalnie cienko. – Dlatego zabijacie...

– Zawrzyj pysk, bękarcie! – wrzasnął na niego pellegris z czaszką osłoniętą metalową płytką. – Nie ty nam będziesz bogów wypominał...

– Pytam, bo dogadać się warto – kontynuował tak samo cienko posłaniec.

– Gardło oddasz i będzie po sprawie – zaśmiał się szyderczo karzeł.

– Waszym bogom najbardziej smakuje krew pellegrisów. Wyrznicie się sami...

Kij spadł na ramię Darta i o mało nie strzaskał mu obojczyka. Karzeł, który to zrobił, dyszał z wściekłości i zamierzał się do drugiego uderzenia. Tym razem miał zamiar dźgnąć posłańca w brzuch. Gdyby trafił, ścięty koniec kija wyszedłby dokładnie na wysokości nerek ofiary. Strzała z kuszy przebiła gardło pellegrisa i chwilę potem reszta rzuciła się do ataku z przeraźliwym wrzaskiem. Bathy zdążyła raz jeszcze naciągnąć kuszę i wystrzelić. Dart odbił cięcie maczety, stracił swój kij i zasłonił się rękami przed atakiem przysadzistego karła z pianą na ustach. Bathy spojrzała na posłańca i dopiero wtedy poczuła prawdziwy strach. Zamknęła oczy i czekała na śmiertelne cięcie maczety.

Dźwięk, który usłyszała, w niczym jednak nie przypominał świstu miecza. Było to najzwyklejsze gwizdanie. Przenikliwe, melodyjne i doskonale słyszalne. Pellegrisi przestali krzyczeć, zatrzymali się i zaskoczeni odwrócili głowy. Dziewczyna i posłaniec otworzyli oczy i spojrzeli w kierunku gwizdzącego. Pod drzewem stał niewidomy włóczęga z obozu mutantów, trzymał dłonie przy ustach i gwizdał. Melodia była smutna i miała w sobie niejasną, usypiającą moc. Pellegrisi stali w bezruchu i wydawało się, że stopniowo poddają się dziwnej muzyce. Włóczęga nie przestawał gwizdać, coraz bardziej wzmacniając i modulując tony. Pellegrisi spuścili głowy i powoli ruszyli w głąb lasu. Przypominali żałobny pochód. Gwizdanie umilkło dopiero wtedy, gdy ostatni z karłów zniknął.

– Człowieku, ktoś ty, że taką mocą władasz? – Pytanie dziewczyny było gorączkowe i spontaniczne.

– Włóczęga ze mnie. Nikt ważny – odparł spokojnie ślepiec.

Jego ręka nieomylnie chwyciła stojący za nim gruby kostur, a wąskie usta uformowały się w coś, co od biedy mogło przypominać miły grymas.

– Słuchają was, panie – odezwał się ciągle jeszcze zdenerwowany Dart.
– Pellegrisi was słuchają. Jak to możliwe? Ci mordercy...

– Mówią na mnie, Glass... Włóczęga... Są sposoby na wszystko – odparł wymijająco, ale uprzejmie. – Każdy ma swoją słabiznę. Gdzie to się wybieracie, panie?

– Do księstwa Syriusa idziemy – wtrąciła się dziewczyna. – Dzięki wam, Glass, za uratowanie życia...

– Po prostu, Glass – przerwał jej łagodnie włóczęga. – Żaden ze mnie pan. Po prostu, Glass...

– Śmierć nas goni – skinęła głową i kontynuowała Bathy. – Wojna nie dla małej watahy... Oparcia brak, czasu do złożenia. Ot, widzieliście... – przerwała, jakby chciała cofnąć to, co powiedziała. – Wybaczcie... Wybacz, Glass, ale nie jak ślepy gadacie...

– Przez trakt nie dojdziecie. – Stwierdzenie Glassa zabrzmiało złowroźnie. – Zepsuty on i sam potrzebuje wsparcia. Zda mi się, że ktoś przy nim gmerał i sporo zła narobił...

– Jesteś obcy – wyszeptał cicho Dart. – Nie z mojego czasu jednak przybywasz. Czuję, że w twoim gadaniu znaki są ukryte...

– Poprowadzę was – odparł wymijająco włóczęga. – Nawała i tak tam dotrze za nami. A znaki w każdym gadaniu żyją. Kto umie czytać, ten znajdzie.

– Jakże to? – zdziwiła się Bathy. – Czytać umiesz? Bez oczu...

– Ruszajcie za mną – rzucił sucho Glass i z wyciągniętym kosturem dał krok do przodu. – Życie można poczuć... Widzi mi się, że wy, panie, coś o tym wiecie – dokończył, nie oglądając się.

ROZDZIAŁ 11

Cień za oknem poruszył się i przyczajony wsunął do środka komnaty. W ciemnościach ledwie rozpraszanych światłem płonącej na ścianie pochodni przypominał gruby pień drzewa. Obok łóżka zatrzymał się i zaczął węszyć. Czujne sapanie odbijało się od wysokiego sufitu i niosło pomiędzy ścianami.

W zamku panowała cisza, zakłócana od czasu do czasu szczekaniem psów, miauknięciem kota lub rzeniem koni w stajni. Co pewien czas słychać też było stąpanie twardych butów i szczęk broni. Na murach pojawiali się częściej niż zwykle żołnierze księcia Syriusa. Chodzili po czterech. Wprawne oko natychmiast zauważało, że zamek i całe księstwo zostały postawione w stan pogotowia. Ludzie chodzili uzbrojeni, oddziały poruszały się żwawiej, a kobiety kupowały więcej jedzenia.

Cień pochylił się, otworzył małą buteleczkę i podsunął ją pod nos śpiącego Idalga. W szcurzych szponach, jakie pokazały się na moment spod rękawa habitu, nie było najmniejszego drżenia. Przybysz został wychowany i przeszkolony wyłącznie do takich zadań. Łowca nawet nie zauważył, kiedy stracił przytomność i znalazł się na ramieniu mutanta. Nie miał również pojęcia, że godzinę wcześniej na kamienną posadzkę komnaty szcur wylał aż dwa flakony tajemniczego płynu. Tylko dlatego zmysły łapacza nie wyczuły obecności wroga.

Mutant zdjął z ramienia długi sznur, związał nim Idalga i ostrożnie zaczął go spuszczać w dół. Ściana zamku kończyła się pięćdziesiąt metrów

niżej. Wszystko odbywało się w ciszy. Ręce szczura były wyrobione i silne. Ciało łowcy ani razu nie trąciło ściany. W dole poruszyły się sylwetki czterech mutantów. Przymocowali Idalga do długiego kija, podnieśli i błyskawicznie oddalili się. Chwilę później dołączył do nich mutant z zamku.

Puste pole pokonali szybciej, niż zamierzali. Jeden z żołnierzy na murach zauważył biegnące postacie i wszczął alarm. W jednej chwili zapłonęły jaśniej pochodnie i zamek ożył. Mutanty dopadły już jednak lasu, wspięły się na siodła i zaczęły uciekać. Ciało łapacza przewieszane przez koński grzbiet podskakiwało z taką siłą, że porwany szybko odzyskał świadomość. Spróbował rozluźnić więzy, ale był jeszcze zbyt osłabiony trucizną. Uspokoił się dopiero wtedy, gdy nie zauważył wśród jadących dziecka i matki. Wypadli na drogę prowadzącą do Pandabu. Była o wiele za wąska dla kupców i niewygodna dla wojska. Przeważnie korzystali z niej królewscy posłańcy.

Porywacze zmuszeni byli uciekać jeden za drugim. Koń Idalga, przywiązany do siodła pierwszego jeźdźca, biegł nierówno i kilkakrotnie potknął się. Widać było, że został wybrany w ostatniej chwili i przypadkowo. Łapacz skrzywił się z satysfakcją. Lubił fachową robotę, a mutanty najwyraźniej o wielu szczegółach nie pomyślały. I to właśnie rodziło w nim irytację. Zmienił zdanie dopiero wtedy, gdy prowadzący mutant skręcił nagle w jeszcze węższą drogę przecinającą las na południe w stronę Kreporu. Dopiero teraz zrozumiał, że koń wcale nie musiał być najlepszy. Do granicy z Kreporem dzieliło ich najwyżej niecałe pół dnia drogi.

Idalgo wykorzystał moment i zsunął się z siodła w mijane właśnie krzaki. Przy upadku podrapał sobie twarz, ale nie naruszył kości. Szczury natychmiast zauważyły ucieczkę i ostro ściągnęły wodze. Zeskoczyły z

siopeł i rzuciły się w pościg. Łapacz wiedział, że w nocy nie ma szans. Mutanty widziały prawie tak dobrze jak sowy czy koty. Upadł za pniem zwalonego przez wiatr drzewa i próbował wyswobodzić się z więzów. Najłatwiej poszło mu z tymi na nogach. Ręce zostały związane mocno i dokładnie. Przycisnął się i wierzył w swoje szczęście. Miał nadzieję, że mutanty będą go szukały pojedynczo.

Leżał na zgniłych, wilgotnych liściach i czuł zapach palonego drewna. Gdzieś w pobliżu ktoś palił ognisko. Łapacz przycisnął się mocniej do pnia i nasłuchiwał. Z boku słyszał powolne stąpanie jednego z mutantów. Miał nadzieję, że szczury nie zwietrzą jego zapachu. Palone w oddali drewno sprzyjało mu. Zauważył plecy dwóch mutantów i przygotowane do cięcia miecze. Stali kilka kroków przed nim i wciągali nozdrzami powietrze. Przeklinał w duszy, że ma związane ręce i nie może walczyć. Kiedy szczury ruszyły do przodu, a ich miecze raz po raz zaczęły się cicho wsuwać w krzaki i porośnięte mchem kępy, Idalgo odetchnął z ulgą. Myślał o tym, żeby odnaleźć jakiś kamień i przetrzeć sznury. Nie rozumiał, dlaczego mutanty zdecydowały się porwać właśnie jego. Ryzyko, na jakie się narażały, nie było zwyczajne. Pomyślał, że jeżeli mogły dotrzeć do niego, to równie dobrze mogły zabić lub porwać księcia Syriusa lub dziecko Tantry. Mieszkał w tym samym zamku, za tymi samymi wysokimi murami co goście i ludzie księcia. W dodatku należał do tych, których wrogowie na ogół omijali. Domyślił się, że mutanty musiały wysłać po niego kogoś wyjątkowego. Skuteczność porywaczy dziwiła go i w pewnym sensie nakazywała szacunek.

– Nie ruszaj się, łapaczu. – Przy uchu Idalga rozległ się cichy szept szczura. Na gardle oparło się ostrze zakrzywionego noża. – O czym tak dumasz? Co?

Idalgo uśmiechnął się do siebie i westchnął:

– Długo musiałem czekać...

– Monetę daję, że niczego nie słyszałeś – warknął szczur.

– Na co ja wam? – zapytał spokojnie łapacz. – Okupu za mnie nie dadzą, monet nie zapłacą, a co najwyżej śmierć może zajrzeć w ślepiea... Łapacz poczuł, jak nóż powoli przesuwają mu się po gardle. Wiedział, że nie powinien atakować. Tamten tylko czekał, żeby go zakatrupić.

– Będziesz mnie golił, szczurze? – wycedził szyderczo przez zęby.

– Nie jesteś taki wielki, jak o tobie gadają... – Głos mutantą zabrzmiał niemalże donośnie. – Łapacz nie dałby się ogłupić, związać i wywieźć gdzie popadnie. Słyszysz, psie?

Idalgo usłyszał. Zbliżały się pozostałe mutanty.

– Gdzie mnie wieziecie, szczurze? – zapytał, podnosząc się z ziemi. Nóż ani na moment nie stracił kontaktu z jego szyją. Mutanty zaśmiały się głośno i oparły mu o brzuch ostrza mieczy.

– Zawlecemy cię tam, gdzie nawet my sramy pod siebie ze strachu – odpowiedział mutant porywacz. – Napatrzysz się na cuda i albo zdechniesz, albo zostaniesz i...

– Durne jesteście, szczury – stwierdził chłodno łapacz. – Mitręgi tyle, że i kamień łatwiej wykuć...

Tym razem pozwolili mu usiąść na koniu i chwycić cugle. Najmłodszy z nich przewiązał jego nogi sznurem pod brzuchem wierzchowca i zarzucił na szyję pętlę, której koniec trzymał w rękach. Do świtu brakowało już niewiele czasu. Mutanty wskoczyły na siodła i ostro pognały konie. Widać było, że granicę z Kreporem wolały przekraczać w nocy. Chmury stały się gęściejsze, wiatr zaczął wiać z większą siłą, a odgłosy z lasu straciły swoje wyraziste brzmienie. Zanosilo się na deszcz.

Idalgo starał się jechać równo, unikając gwałtownych szarpnięć sznura na szyi. Zastanawiał się, co miał na myśli mutant, mówiąc o strachu i

cudach. Nagle poczuł lęk. Wydało mu się, że Tantra coś do niego woła, dziecko płacze, a półnagi olbrzym toczy śmiertelną walkę...

Łapacz nie mylił się. Dziecko było w niebezpieczeństwie. Human otworzył oczy, chwycił szablę i natychmiast rzucił się w stronę komnaty Tantry i dziecka. Słyszał alarm i tupot butów biegnących żołnierzy. Widział otwieraną bramę i wyruszający przez nią pościg. Zauważył setki mieszkańców zamku zgromadzonych po wschodniej stronie murów. Kiedy dopadł do drzwi i wbiegł do środka komnaty, zobaczył wślizgującego się przez okno barczystego mutanta z pokiereszowaną w walkach twarzą szczura. Za jego plecami wynurzyły się następne mutanty. Tantra z dzieckiem wtuliła się w róg łóżka i z przerażeniem patrzyła na biegnącego do niej szczura. Zasłoniła dziecko własnym ciałem i wyciągnęła przed siebie rękę z nożem.

Human przeciął mutantowi drogę, w ostatniej chwili podcinając mu nogi. Zanim tamten zdążył wstać, uderzył go na odlew szablą przez plecy. Szczur zapiszczał żałośnie i zaczął konać w konwulsjach. Pozostali jednak nie byli już zaskoczeni. Ośmiu z nich otoczyło półkolem Humana i przygotowywało się do skoku. W zamkowym oknie co chwila pojawiały się kolejne szczury. Human rzucił okiem na drzwi, ale nie zobaczył za nimi żadnego żołnierza. Wszyscy pobiegli na wschodnią stronę zamku.

Mutanty zaatakowały w tej samej chwili. Wszystkie naraz rzuciły się na olbrzyma, zadając pchnięcia. Szabla wykonała niewidzialny taniec i dwa miecze wyfrunęły z dłoni mutantów. Pozostałe nie zauważyły nawet, kiedy Human zsunął się na podłogę i końcem szabli przejechał im po nogach. Odskoczyły z piskiem i wściekłym charczeniem. Prawie natychmiast skoczyły ponownie do przodu i dopiero wtedy olbrzym mógł wmieszać się pomiędzy nich i rozpocząć rzeź. Szczury były doskonale wyszkolone i instynktownie walczyły do końca. Na rękach i nogach Humana pojawiły się

pierwsze drobne rany. Cztery mutanty zapłaciły za to życiem, ale pozostałe wciąż nacierały.

– Wychodź! – krzyknął olbrzym, widząc, jak Tantra stoi niezdecydowanie z dzieckiem na ręku. Odgrodził ją od szczurów i umożliwił ucieczkę przez drzwi. Kiedy został sam, zatrzasnął je za sobą, przekręcił klucz i wrzucił go do żaru kominka. Teraz nie miał już odwrotu. W mdłym świetle pochodni widział błyskające miecze i ostre pazury. Zerwał ze ściany starą drewnianą tarczę ze znakami barbarzyńskiej Szybgadii i zaatakował. Mutant, który chciał go przebić sztychem, osunął się z podciętym gardłem. Dwaj pozostali rzucili w niego mieczami, ale w porę zasłonił się tarczą. Wbiły się w nią i smętnie zawodząc, kiwały się z góry na dół.

Human zamachnął się i jeden z uchwytów mieczy trafił w głowę nadbiegającego szczura. W jego skroni pojawiła się głęboka dziura i trysnęła krew. Human zasłaniał się tarczą, szedł pod ścianą i spychał mutanty do okna. Stały się ostrożniejsze. Jeden z nich pokazał pazurem na pochodnie. Po chwili wszystkie wyleciały przez okno i w komnacie zrobiło się ciemno. Gdyby nie dogasający żar z kominka, pomieszczenie zalałaby całkowita czerń. Mutanty zapiszczały radośnie i rzuciły się do przodu. Liczyły na to, że człowiek nie zdoła ich zobaczyć. Kiedy cztery szczury zwały się na posadzkę z rozplatanymi brzuchami, reszta zorientowała się, że olbrzym nie jest zwykłym człowiekiem. Mutanty zatrzymały się i najbardziej barczysty z nich warknął:

– Nie zwiedzisz nas, szczurze... Ludzi może oszkapisz, ale z nami ci nie wyjdzie...

– Obrażasz mnie, nazywając szczurem – syknął Human, opuszczając niby przypadkiem szablę.

– Tylko mutanty widzą w nocy – wtrącił z ponurą miną szczur z odciętymi palcami u lewej dłoni. – Skąd się tu wzięłeś, zdradziecka gnido?

– A głównie ci do tego – burknął Human i jeszcze bardziej opuścił szablę. Zerknął przy tym w okno, obawiając się pojawienia kolejnych napastników.

Ten z odciętymi pazurami zaatakował pierwszy. Skoczył do przodu, mierząc w gardło olbrzyma. Trzej pozostali próbowali trafić w brzuch. Tarcza przyjęła pierwsze uderzenie, miecz ugrzązł w drewnie, po czym zablokował pozostałe sztychy. Human rzucił tarczę w twarz najbliższego mutanta, kucnął i ciął go po pachwinach. Pozostali nadziali się na trzy szybkie młynki, prujące im na strzępy pyski. Kopnięcie odrzuciło ich aż do okna. Siła trafienia była tak wielka, że jeden ze szczurów wypadł z przeraźliwym piskiem na zewnątrz. W tym momencie drzwi do komnaty puściły i w progu ukazali się żołnierze księcia Syriusa. Human oparł się z ulgą o ścianę i spokojnie obserwował atak. W świetle przyniesionych pochodni posadzka wyglądała jak w rzeźni. Po kilku cięciach walka dobiegła końca.

– Dobra robota – pochwalił Humana nowy dowódca żołnierzy Syriusa. Olbrzym poznał go zaledwie dwa dni wcześniej. Zapamiętał tylko, że nosił śmieszne imię – Lalola. Jednak tylko imię miał zabawne. Reszta wyglądała ponuro i groźnie. Zbójce rysi i długie, czarne włosy nadawały Laloli wygląd młodego żebraka lub szalonego wędrownego akrobaty.

Human pochylił się nad rannym szczurem i odezwał się, patrząc mu w oczy:

– Skąd wiedzieliście?

– Żebyś zdechł... – syknął szczur.

– Porwali twojego kompana – wtrącił z boku Lalola. – To nas trochę zmyliło...

– Kto was nasłał? – po raz drugi zapytał Human.

– Śmierć wam pisana, a nie podboje – zaskowyczał głośno i jadownicie mutant. – Pora wytłuc tę waszą gadzią rasę i wyrównać krzywdy...

Olbrzym uklęknął na jedno kolano i chwycił szczura za ubranie pod szyją. Powoli uniósł go do góry. Pysk tamtego znalazł się blisko twarzy olbrzyma i prawie natychmiast rozległo się głośne kłapanie zębami. Trzask wyłamanych kłów zadźwięczał pod sufitem komnaty. Lalola wysunął klingę spomiędzy zakrwawionych warg szczura i z satysfakcją wytarł ją o jego ubranie.

– Macie, panie, pewne oko – podziękował olbrzym i przysunął mutanta blisko żaru w kominku. – A ty, szczurze, zaczniesz gadać albo ci palenisko w bebechach zmieszczę... Ciąłem cię głęboko, będzie war, oj, będzie war...

Mutant zobaczył, że jedna z dopalających się szczap zbliżyła się do jego krwawiącego brzucha i ze strachu wpadł w drgawki. Lalola zapalił fajkę i przyglądał się poczynaniom olbrzyma. Żołnierze wynosili trupy mutantów, a służba zabrała się za zmywanie posadzki. Kiedy rozżarzony koniec szczapy dotknął rany, szczur wyprostował się i jęknął:

– Stój! Będę gadał... Łapacza porwali dla pozorów... Dziecko ważne...

– Dla pozorów można wygarnąć ze dwie dworki – przerwał z powątpiewaniem Human. – Na co wam łapacz? Porachunki macie? Wyrok jakiś? Prywatę robicie za monety? Prawdy chcę, szczurze...

– Nie wiem – pisnął tamten ze strachem. – On pozór dał, nic więcej, panie... Dziecko miało być nasze...

Human opuścił go na posadzkę, przydepnął nogą jak kłodę i warknął:

– Co wiesz o dziecku?

– Gadają, że życie w nim mocne i śmierć usidla – wyjaśnił pośpiesznie mutant. – Starzy chcą się ratować, chorzy życia zaznać, poranieni łby podnieść...

– Legendę mi tu podajesz – stwierdził sucho Human. – Byle łąch wędrowny wyśpiewa mi to w karczmie...

– Życia ci nie wyśpiewa – zadrwił szczur.

Human odwrócił się do dowódcy i skinął głową, że skończył. Lalola pokazał palcem na mutanta i chwilę potem trzej żołnierze zabrali go na przesłuchanie.

– Księżę chce cię widzieć. – W komnacie pojawiła się Uka, najmłodsza kochanka Syriusa.

Była szczupłą, wysoka, a jej piersi sterczały jak pagórki. Zza długich czarnych włosów wyglądała proporcjonalna twarz z małym nosem i dużymi smutnymi oczami. Olbrzym polubił ją. Nie wywyższała się i zawsze znajdowała czas na krótki żart lub rozmowę. Należała do jednego z najstarszych i najlepszych rodów księstwa. Kochanką została z własnej woli. Pokochała starego Syriusa, zapatrzyła się w jego siwe włosy i chudą postać. Była mu wierna i nigdy nie dawała powodów do zazdrości.

– Prowadź, pani – uśmiechnął się Human i ruszył do wyjścia z komnaty.

– Jesteś zmartwiony – odezwała się cicho Uka. – Twój przyjaciel zniknął, ale pościg już wyruszył...

– Idalgo da sobie radę, pani – Human próbował sam siebie pocieszyć. – Gorzej, że nawała straszliwa idzie na księstwo. Ludy zwiedziały się, że dziecko u księcia i każdy chce je przywłaszczyć. Krepor już teraz rozbity, Pandab na kolanach przed szczurami, barbarzyńcy lada chwila zaatakują od morza, a pellegrisi zaczną polować jak nigdy dotąd. Życie, które ubija śmierć, warte jest wszystkich królestw świata, pani... I te psy o tym wiedzą.

Uka nie odezwała się. Stanęli przed rzeźbionymi ręcznie podwójnymi drzwiami do komnaty księcia. Zapukała. Klamka opadła na dół i jedna połowa drzwi uchyliła się. Kochanka weszła pierwsza i zbliżyła się do księcia. Siedział na potężnym drewnianym fotelu wyściełanym miękkim

płótnem. Wyglądał jak zasuszony flaming bez piór. Spod krzaczastych, siwych brwi wpatrywało się w olbrzyma bystre oko. Jeżeli w spojrzeniu mogła się mieścić władza i siła, to tak właśnie patrzył stary Syrius. Drugi oczodół był martwy. Tkwił w nim duży, idealnie oszlifowany diament. Jeden z największych, jakie kiedykolwiek znaleziono.

Human podszedł do fotela i skłonił lekko głowę. Zauważył, że nie spodobało się to dwóm żołnierzom pilnującym księcia. Byli grzeczni, ale w ich wzroku zatańczyły chłodne iskierki. Human uśmiechnął się półgębkiem i poprawił zakrwawioną rękojęść szabli.

– Doszło do mnie, że uratowałeś dziecko i jego matkę – odezwał się przyjaźnie książę. – Podobno twoja broń nosi stygmat ciemności... To stare dzieje, nikt już o tym nie opowiada. Czy to prawda?

– Tak, książę – potwierdził zdziwiony olbrzym. – Stygmat jest, ale nie wiem, jak go czytać... Z cyrku wyniosłem walkę, a czytacze nie umieli pomóc...

– Pomogę ci – uspokoił go Syrius. – Na moim nożu znajdziesz taki sam stygmat. Jest coś, o czym powinieneś wiedzieć... – Książę przerwał i pogłaskał dłoń Uki. – Mam tu czytacza, który ze starych pochodzi i w gwiazdach widzi. On dla mnie pewny, a ty zasłużyłeś...

Human wysunął ostrożnie szablę z pochwy i podniósł ją wyżej do światła. W migocącym ogniu pochodni wbił wzrok w sylwetkę kota, któremu w zależności od kąta patrzenia znikwały oczy. Nikt z ludzi, jakich dotychczas spotkał, nie potrafił tego wyjaśnić. Żelazo z dawnych kuźni kryło w sobie coś więcej niż kształt. Olbrzym wiedział, że dotychczas posługiwał się wyłącznie formą. Człowiek, od którego dostał kiedyś szablę, nie był zbyt rozmowny. Nauczył go sztuki walki, zapoznał z cyrkiem i odszedł. Kiedy umierał, pokazał Humanowi stygmat na kłindze i szepnął: –

Ślepiea niby zwykłe, co? Raz są, raz ich nie ma... Jak życie, jak to prawdziwe życie, chłopcze...

Human podniósł zdziwione spojrzenie na księcia. Wydawało mu się, że łączy ich jakaś tajemnica. Syrius też to wyczuł, ponieważ jego rysy nagle zmiękły i przez chwilę odsłoniły głęboko ukrytą łagodność. Kiedy odwracał oko w kierunku wyłaniającego się z cienia czytacza, znów patrzył twardo i czujnie. Jag, znawca gwiazd, przypominał zasuszony liść. Był niskiego wzrostu, chudy i przygarbiony. Podpierał się zwykłą drewnianą laską. Jego ubranie nosiło ślady częstych reperacji, a ciemny kolor zdradzał upodobanie do skromności. Zatrzymał się przed Humanem i bez słowa wziął szablę z jego rąk. Wystarczyło mu jedno spojrzenie na stygmat, by odwrócić głowę do księcia i szepnąć:

– To on, panie.

– A jeśli Blanko zginął i szabla poszła w obce ręce? – zapytał tak samo cicho Syrius.

– Stygmat ciemności działa tylko we właściwych rękach, panie – odparł spokojnie czytacz.

– Pewien jesteś? – nie ustępował książę.

Human milczał i ze zdziwieniem słuchał wykształconej dworskiej mowy. Wiedział, że rozmowa dotyczyła spraw, w jakie był wplątany, nie potrafił jednak niczego zrozumieć. Z niepokojem wpatrywał się w starczy profil Jaga.

– Widziałem trupy – wyjaśnił czytacz. – Patrzyłem na walkę...

– Jakże to, panie? – Human zareagował odruchowo. – Gapiliście się na komnatę, kiedy te ścierwa chciały mnie zarąbać?

– Czasami dobrze jest wiedzieć, na kogo patrzymy – odpowiedział mu z filozoficznym spokojem i uśmiechem na ustach Jag. Znów spojrzał na księcia: – To on, panie...

W komnacie zapadła cisza. Syrius wstał i podszedł do olbrzyma. Sięgnął po szablę i swój nóż. Porównywał stygmaty. Widać było, że starał się ukryć wzruszenie. Human również przyglądał się stygmatom i nadal niczego nie rozumiał. Jag wyjął z kieszeni suszone jabłka i włożył do ust. Jego szczęki poruszały się rytmicznie i silnie. Wydawał się całkowicie obojętny na to, co przed chwilą powiedział. Poza tym znów narastało w nim pożądanie. Znów jego ciało domagało się kobiety. Z trudem opanował słabość i nie zmienił wyrazu twarzy. Namiętność była chora i niebezpieczna. Dlatego musiał ją starannie ukrywać. W końcu książę podniósł spojrzenie na Humana i uśmiechnął się.

– Stygmaty zostały nacechowane. – Jego głos zabrzmiał tak, jakby dyktował list do innego królestwa. – Jeśli są prawdziwe, a na pewno są... Musimy to zrobić obaj – podał olbrzymowi szablę. – Trzymaj za ostrze i przyłóż stygmat dokładnie do mojego... – Książę również chwycił za ostrze swojego noża i oba stygmaty powoli dotknęły się. – Długo to trwało...

Jag położył dłoń na połączonych ostrzach i zacisnął ją w pięść. Zamknął oczy i stał w bezruchu. Dopiero teraz zaczęło się dziać coś dziwnego. Human obserwował ostrza, które powoli zmieniały barwę. Najpierw straciły połysk i zrobiły się srebrne. Po chwili pojawił się odcień żółci. Kiedy wyłonił się kolor palonej pomarańczy, czytacz otworzył oczy i cofnął dłoń.

– Jesteś synem księcia Syriusa. Jesteś nim, chociaż byłeś przeznaczony śmierci... – powiedział z drzeniem w głosie Jag.

– Nie kpijcie ze mnie, panie – odezwał się nieufnie olbrzym. – Matki nie znałem, ojca... Pamiętam tylko mojego opiekuna. Zwali go Blanko...

– Blanko był zaufanym księcia – wyjaśnił pospiesznie czytacz. – Czy mogę mówić otwarcie, panie?

Książę odwrócił się i dał znak swoim żołnierzom, aby wyszli. Zrobili to bez słowa, chociaż zdarzyło się to po raz pierwszy. Słyszeli od swojego dowódcy, że taki rozkaz może kiedyś paść, ale nigdy nie myśleli o tym poważnie. Od urodzenia wychowywani byli dla księcia i żyli niemalże dosłownie w jego cieniu. Tego wymagało bezpieczeństwo. Tym razem zrozumieli jednak, że wydarzyło się coś wyjątkowego, że ich pan musiał się czuć naprawdę bezpieczny w otoczeniu czytacza i barczystego olbrzyma z szablą. Drzwi od komnaty zamknęły się.

– Mów, czytacz, mów prawdę mojemu synowi... – powiedział książę i powoli wrócił na swój fotel.

– Kiedyś, bardzo dawno temu, książę był młodzieńcem, który zakochał się w dziewczynie bez rodowodu i bez monet... – zaczął ze wzruszeniem Jag. – Młodość ma swoje prawa... Ukrywali swoją tajemnicę pod groźbą utraty gardła. Ja byłem tym, który uczył młodego księcia wszystkiego, co wiem... Poddałem się, zawiodłem zaufanie jego ojca. W tajemnicy pomagałem młodemu spotykać się i cieszyć życiem. Kiedy dziewczyna zaszła w ciążę, nie było odwrotu... Książę musiał to skończyć, inaczej oboje zostaliby rozerwani końmi. Zanim pożegnał dziewczynę, wybłagał na mnie przyrzeczenie, że wymyślę sposób, aby jego syn kiedyś się odnalazł. Ta stara szabla i ten nóż zostały zabrane z pola bitwy w Górach Asty... Obrobiłem je i wyryłem na nich dwa identyczne stygmaty ciemności...

– Ciemności... – powtórzył cicho Human. Stał nieruchomo i wpatrywał się w usta czytacza.

– Tak, chłopcze – potwierdził czytacz. – Zrobiłem to, ponieważ twoja matka nie była czysta...

– Panie – szepnął z lękiem w oczach olbrzym. – Co gadacie?

– Miała we krwi mutanta. – Skrzypnięcie fotela księcia zabrzmiało jak okrutne potwierdzenie prawdy. – Ktoś, gdzieś, kiedyś spłodził mutację,

którą nosiła również twoja matka... Piękna i mądra... Kocia mutacja, chłopcze. Jeśli wiesz, co to oznacza, to...

– Mutant ze mnie – stwierdził spokojnie Human. – Blanko miał rację. Kryć mi to kazał i w nocy ślepego udawać. Gadał, że człowiek, tylko trochę spaprany... Dobry był z niego przyjaciel... A moja matka? Żywa?

– Kiedy cię powiła, Blanko jej pomagał – kontynuował Jag. – Monety dostał od księcia i musiał sobie radzić. Szpiegów nie brak. Ukrywali się w Pandabie, wędrowali przez Lasy Orchy, mieszkali w Lombardii i żyli w osadach nad jeziorami... Blanko opiekował się twoją matką do końca. Miałeś rok, kiedy barbarzyńcy z Szybgadii najechali zameczek na pograniczu Pandabu i krainy karłów. Walka trwała długo. Blanko próbował się z wami przebić, ale zagarnęli was poza murami... Opowiadali mi potem wędrowni żebracy, że jakiś mąż bez znaków i z szablą przebił się przez blisko stu barbarzyńców i z dzieckiem uszedł. Długo jeszcze śpiewali pieśni o nieznanym, który posiadał sztukę walki jak niewielu znanych mistrzów. Twoja matka padła w największym starciu. Kiedy ostrze topora rozrąbało jej plecy, Blanko chwycił cię pod pachę i przebijał się dalej. Nigdy nie widziałem człowieka, który tak robił szablą albo mieczem. Rodzina to była mistrzów, a on z niej najlepszy...

Human odszedł do okna i ukradkiem otarł łzę. Pamiętał pozorny chłód i obojętność Blanka. Przypominał sobie brak odpowiedzi, kiedy pytał o matkę lub ojca. Stary szermierz skłamał, że znalazł go na trakcie i przygarnął. Dopiero teraz Human zrozumiał, dlaczego to robił. O takiej wierności i oddaniu dla swojego pana słyszał wyłącznie w pieśniach. Blanko poświęcił się wychowaniu syna księcia Syriusa. Zniknął tak, jak należało. Uchronił głowę księcia i chłopca. Kiedy monety skończyły się, nigdy nie poprosił o nowe. Zatrudnił się w wędrownym cyrku i tak spędził swoje życie.

Do drzwi komnaty ktoś zaczął się dobijać. Księżę ukrył wzruszenie i głośno zawołał:

– Wejść!

Posłaniec z Kreporu przypominał więźnia, którego po kilku latach wyciągnięto z lochu. Był brudny, pokrwawiony i śmierdział z daleka. Poza tym słał się ze zmęczenia. Stał przed Syriusem na rozedrganych nogach i próbował się pokłonić. Nie zdołał jednak utrzymać równowagi i runął na posadzkę komnaty. Dwaj strażnicy księcia natychmiast podnieśli go i przytrzymali. Żaden z nich nawet się nie skrzywił. Human z trudem zrobił to samo. Smród podartego i gnijącego ubrania rozniósł się po całym pomieszczeniu. Księżę skinął ręką, że gotów jest wysłuchać wieści. Pozwolił również wszystkim zostać. Posłaniec zamknął oczy i odtworzył z pamięci treść wiadomości:

– Król ukrywa się w górach. Mutanty idą na księstwo. Uderzenie małych oddziałów przygotowane. Głód, zniszczenia i mordowanie szlachetnie urodzonych. W razie napadu na zamek król zaatakuje tyły szczyrów.

Księżę dał znak i strażnicy wynieśli zasypiającego im na rękach posłańca. Syrius podszedł do okna i zapatrzył się w dal. Było widno, a powietrze wydawało się wyjątkowo przejrzyste. Na horyzoncie wiły się wstążki dróg, odcinały się ostro kontury gór i olbrzymie połacie lasów. Księżę pokiwał głową ze smutkiem i spojrzał na Jaga. Diament w martwym oczodole błysnął w świetle pochodni. Znamca gwiazd odpowiedział podobnym spojrzeniem, po czym oparł Humanowi rękę na ramieniu.

– Mutanty zaatakowały księstwo – odezwał się pewnym głosem.

– Jakże to, panie? Posłaniec... – Olbrzym próbował dać wyraz swojemu niedowierzaniu.

– Dymy widać – wtrącił Syrius. – Szczury zaczęły nas palić. Twój przyjaciel w rękach losu. Nam pora zabrać się do obrony. Zostaniesz czy pojedziesz?

Human nie zastanawiał się nawet nad odpowiedzią. Pokłonił się i ruszył do drzwi. Na progu odwrócił się i uśmiechnął.

– Trza go odbić – powiedział zdecydowanie. – Blanko mawiał, że przyjaciel jest jak krew. Kiedy jej nie ma, życie ulatuje... Wrócimy, panie, wrócimy szybko. Może nawet jaką watahę skrzyknjemy po drodze. Byle tylko żyw był...

– Dam ci ze dwóch konnych – zaproponował książę.

– Nie trzeba, panie – odmówił zdecydowanie olbrzym. – Samemu łatwiej się uwinąć...

Na zamkowym korytarzu spotkał Tantrę z dzieckiem na ręku. Dotknęła jego twarzy. Końce jej palców delikatnie przesunęły się po czole, oczach i policzkach. Kobieta była poważna i skupiona. Human miał wrażenie, że wcale go nie zauważa, że robi coś, o czym zwyczajny świat opowiadała tylko w bajkach. Stał spokojnie i pozwolił jej skończyć. Wreszcie cofnęła dłoń i cicho odezwała się:

– Twoja śmierć może się powtórzyć tylko raz... Mój świat zmienia się, powiększa i pokazuje obrazy, które nigdy tutaj nie powstały... Nie wiem, dlaczego, nie wiem, po co... I słowa są jakby nie moje i w środku nie to samo... Pamiętaj, że twoja śmierć może się powtórzyć tylko raz... Mój syn, mój Ryjad, rośnie razem ze mną. Wróć do nas... Barwa twojej szabli też jest inna... Może jego czerwone oczy zapatrzą się w twoją szablę? Czy słyszysz ten obcy głos?

– Pora na mnie – stwierdził lakonicznie Human. – Idalgo ma moje życie, a ja mam jego. Zostań tutaj i chroń się... Wszystko dziś zgłupiało, nawet czas...

– Czekamy na was... – Tym razem Tantra mówiła normalnie. – Ja i mój syn. Może tak właśnie miało być? Sami najlepiej będziecie wiedzieli...

Zamek przygotowywał się do obrony. Mieszkańcy gorączkowo pomagali żołnierzom znosić na mury dodatkowe kamienie, strzały i dzidy. Na dole, na głównym placu zamkowym, rozstawiano olbrzymie kadzie, w których miała się gotować woda. Oficerowie Syriusa rozdawali broń najsilniejszym mężczyznom. Nieliczne kobiety, te, które potrafiły strzelać z łuku, dostawały po kilkadziesiąt strzał i miejsce na murach. Nawet dzieci włączyły się do przygotowań. Mali chłopcy zbierali niewielkie kamyki, upychali nimi kieszenie i przysięgali sobie, że trafią nimi wroga. Human zauważył również, że kilkanaście doskonale wyszkolonych oddziałów konnych zajmowało pozycje z boku obok stajni. Rozpoznał barwy, które pamiętał u Pinta. Na czele konnicy Syriusa stał już ktoś nowy. Barczysty, śniady mężczyzna, z krótko ostrzyżoną brodą i srebrną obrozą na szyi. Human nie wiedział, co to oznaczało, ale przeczuwał, że było to coś wyjątkowego.

Przy bramie natknął się na Maquiego, który po dotknięciu dziecka wyzdrowiał i powrócił do dawnej siły. Stary zwiadowca siedział na koniu, poprawiał zapięcia czarnej kurtki i wkładał czapkę z metalowymi ochroniaczami na uszy. Olbrzym nie musiał zgadywać, dlaczego go tutaj spotkał. Skinął tylko głową i to wystarczyło. Maqui wyjechał z nim poza bramę zamku.

– Jest tylko jedna droga – odezwał się Maqui, kiedy znaleźli się w lesie.
– Stary trakt...

– Śmierci szukasz? – zdziwił się Human. – Nie znam żadnego, który dał radę tym wykrotom. A sam nie próbowałem, bo...

– Pojedziemy brzegiem – przerwał zwiadowca. – Najwyżej pellegrisi nas dopadną. Na tych mamy miecze i konie. Chyba że na szczury chcesz się

wypuścić...

Human nie odezwał się. Spojrzał tak, że Maqui zrozumiał. Natychmiast skręcił konia w stronę traktu. Jechał pomiędzy drzewami z ręką wiszącą wzdłuż ciała i wysoko uniesioną głową. Jego szyja kręciła się bez przerwy we wszystkich kierunkach. Zwiadowca wachał powietrze, wypatrywał śladów wroga i nasłuchiwał. Olbrzym jechał za nim w znacznej odległości i również starał się wyczuć niebezpieczeństwo. Słońce prażyło bezlitośnie, a brak wiatru jeszcze wzmacniał upał. Gdyby nie gałęzie, obaj już dawno zatrzymaliby się na odpoczynek i poszukali strumienia.

Na granicy z Kreporem natknęli się na oddział zwiadowców. Mutanty poruszały się ostrożnie, starając się nie wejść na trakt. Jeźdźców było ośmiu. Human rozpoznał wśród nich człowieka. Wydawało się, że szczury go słuchały. Poruszał się trochę niemrawo, widać było, że rany ma płótnem owinięte i słabo jeszcze wygojone. Human nie mógł wiedzieć, że Waldo dołączył do mutantów, wkupując się koroną znaną przy siodle konia, którego skradł Bathy. Maqui zza drzew obserwował zbliżający się oddział i naciągał kuszę. Dziwił się, że szczury odważyły się zapuścić tak blisko starej drogi. Domyślił się jednak, że mógł to być wpływ człowieka. Handlarz niewolników nawet z daleka wyglądał groźnie. Oddział zatrzymał się w pobliżu kryjówki Maquiego. Waldo podniósł rękę i nakazał szczurom wachać powietrze. Robiły to zachłannie, tak jakby chciały przypodobać się swojemu zarośniętemu jak zwierzę dowódcy. W powietrzu pozbawionym podmuchu wiatru mutanty zdołały wychwycić zapach zwiadowcy. Kiedy jeden z nich rzucił się z mieczem w stronę drzew, za którymi czaił się Maqui, pozostałe z ciekawym piskiem pognały za nim. Na miejscu pozostał tylko Waldo.

Zwiadowca trafił szczura dokładnie w gardło. Kolejna strzała przebiła kurtkę drugiego mutanty. Maqui skręcił konia i rzucił się do ucieczki. Gnał

przez krzaki w stronę Humana. Olbrzym cierpliwie czekał, aż zwiadowca zatrzyma obok niego konia, a spomiędzy gęstwy wynurzy się pierwszy z pościgu. Szabla w kolorze palonej pomarańczy zawisła w powietrzu; Human gotował się do cięcia. Szczury, które galopowały jeden za drugim, nie spodziewały się żadnego ataku. Zwycięstwa w Kreporze sprawiły, że straciły czujność. Łeb pierwszego z nich jeszcze nie spadł na ziemię, kiedy dwa następne poleciały w dół. Pozostałe mutanty zauważyły Humana i z wściekłym charczeniem rzuciły się na jego szablę. Maqui zdążył już jednak naciągnąć kuszę i wystrzelić. Ostatni z pozostałych przy życiu szczurów próbował przebić olbrzyma sztychem, ale zanim ostrze doszło do celu, poczuł szarpnięcie i zobaczył swój miecz spadający na ziemię wraz z odciętą dłonią. Ból i przerażenie zlały się w jego mózgu w jedno. Na krótko. Zwiadowca dźgnął go mieczem w brzuch i kopnięciem strącił z konia. Obaj nie przyglądali się swoim ofiarom. Pognali konie, kierując się w stronę pozostałego przy życiu człowieka. Tamten nie uciekał. Stał spokojnie i sprawiał wrażenie kogoś, na kim piski i charczenie umierających szczurów w ogóle nie robią wrażenia. Na widok atakującego Humana wyciągnął miecz i przygotował do walki. Był jednak zbyt powolny, aby złożyć się chociaż do jednego cięcia. Olbrzym bez wysiłku wyłuskał mu z dłoni miecz i ogłuszył uderzeniem rękonożki. Było po wszystkim.

– Czegoś go nie ubił? – zapytał lekko rozdrażniony zwiadowca. – Od razu widać, że zdrajca albo najemny...

– Języka nam trzeba – wyjaśnił spokojnie Human.

Zeskoczył z konia i pochylił się nad nieprzytomnym handlarzem. Tamten zaczynał powoli dochodzić do siebie. Otworzył oczy i próbował wstać. Zakręciło mu się jednak w głowie i opadł na kolana. Na czole miał wielki guz, z którego ściekała krew. Waldo pomacał ranę i dotknął swoich

żeber. Był obolały i wściekły. Łypnął krzywo na Humana i splunął pod nogi Maquiego.

– Czego chcecie? – warknął ochrypłym głosem.

– Zawrzyj pysk, kundlu, bo ci go w mrowisko wepchnę – nie wytrzymał zwiadowca. Po śmierci Pinta stał się bardziej drażliwy i widział świat wyłącznie w czarnych lub białych barwach. Teraz robił wszystko, żeby kudłatego barbarzyńcy nie poczęstować sztychem i nie zostawić na pożarcie zwierzętom.

– Sam jesteś kundel – odszczeknął się hardo Waldo.

– Gadaj lepiej, skąd przybywasz... – wtrącił spokojnie olbrzym – Ile wojska i kto prowadzi? Co knują te szczurze ścierwa?

– Cmoknij mnie w rzyć – zaśmiał się ponuro handlarz.

– Może i cmoknę – odparł z nagłym zainteresowaniem Human. – Czas mnie goni, ale chyba cię cmoknę...

Maqui podniósł ze zdziwienia oczy. Ręce olbrzyma chwyciły handlarza za bary, poderwały do góry i z łatwością przytrzymały.

Waldo szarpnął się, ale ból w kościach sprawił, że natychmiast się uspokoił. Human podetknął koniowi pod paszczę pośladki handlarza i rozkazał:

– Ugryź...

Zwierzę szkolone do walki w tłoku zareagowało normalnie. Wielkie końskie zęby trzykrotnie wbiły się w pośladki handlarza. Waldo dopiero teraz zaczął się szarpać. Wył przeraźliwie i próbował bronić się nogami. Kiedy dostał kopniaka w krwawiące pośladki i zwałił się na ziemię, zrozumiał swój błąd. Jęknął cicho i z nienawiścią zacisnął zęby.

– Gadaj teraz – odezwał się Human, poklepując konia po szyi.

– Mutanty idą na starego Syriusa ze wszystkich stron. – Z zajadłą i złośliwą satysfakcją zaczął tłumaczyć Waldo. – Od wschodu, południa i

zachodu was duszą... A od północy płyną już łodzie Abotta z Szybadii... Mało wam? O dzieciaku wiem... Podobno życie wraca i choroby leczy. Nie utrzymacie go, szczury was zagryzą...

– Łapacza szukam – przerwał mu Human. – Idalga ze szponem na skroni...

– Dziewkę byś lepiej wychędożył... – zaśmiał się krzywo handlarz. – Szczury już go pewnie zepsuły. Słyszałem o nim, ale na oczy nie widziałem...

Human skinął głową w milczeniu, wyjął sznur i zarzucił handlarzowi na szyję. Zanim tamten zorientował się, o co chodzi, był już związany i zarzucony na koński grzbiet jak worek. Maqui wyrwał z ziemi kępę trawy i wetknął handlarzowi w gardło. Wiedział, co ma robić, i nie starał się okazywać niezadowolenia. Olbrzym wskoczył na konia i podjechał do zwiadowcy.

– Książę potrzebuje języka – szepnął, pochylając się nad Maquim. – Jeśli szczęścia nie zbraknie, to go znajdę. Pojadę przy trakcie...

Zwiadowca dosiadł konia i pociągnął za sobą wierzchowca ze związanym handlarzem niewolników. Miał przeczucie, że nie powinni się rozstawać. Polubił olbrzyma i wolałby go nie opuszczać. Drogi i lasy zapchane były wrogimi wojskami, a pellegrisi i setki przypadkowych band zagrażali każdemu samotnemu jeźdźcowi. Human odczekał, aż Maqui zniknie w gęstwinie, po czym ostro pognał w stronę Kreporu.

ROZDZIAŁ 12

Human poruszał się bardzo ostrożnie. Kilkakrotnie dostrzegał sunące na północ oddziały mutantów i starannie ukrywał się przed nimi w krzakach. Niekiedy w ostatniej chwili zbaczał z wąskich drózek przy starym trakcie i zatrzymywał się za drzewami. Szczury nie zauważały go. Były tak pewne siebie i tak bardzo pochłonięte marszem na księstwo, że nie zwracały uwagi na drobiazgi. Wszędzie widać było pośpiech. Czasami olbrzym trafiał na ślady walki i mijał jeszcze świeże trupy. Zwykle znajdował mutanty i strażników królestwa. Potyczki były zajadłe i nikt nie brał jeńców. Walczono do ostatniego przeciwnika. Human rozpoznawał cięcia zadane już po bitwie. Rannych, którzy przeżyli, dobijano, podcinając gardła.

Zdarzało się również tak, że Human wynurzał się z lasu, wjeżdżał na polanę i zatrzymywał wśród dziesiątków martwych ciał. Szczególnie zajadłe były boje szczurów z pellegrisami. Wówczas poodgryzane palce, ręce i nosy leżały prawie wszędzie. Porwane pazurami brzuchy i strzaskane na miazgę czaszki wleczono całymi kilometrami. Ani jedni, ani drudzy nie poddawali się. Tak walczyli tylko ci, którzy nienawidzili się bardziej od ludzi.

Po kilkunastu dniach Human zauważył, że las rzednie. Drzewa stawały się wyższe, a krzaki bardziej przejrzyste. Trudniej było znaleźć kryjówkę i łatwiej wpaść w ręce wroga. Olbrzym żuł suszone mięso i kłusem posuwał się do przodu. Domyślał się, że w pobliżu powinien znajdować się obóz mutantów. Na drogach napotykał coraz więcej wozów i kolumn z

niewolnikami. Wszystkich pędzono na wschód. Zwykle kobiety, dzieci i mężczyźni wędrowali w otoczeniu kilkunastu konnych szczurów. Szli tam, gdzie zamierzano ich wykorzystać i zabić. Jeńców było tak wielu, że mutanty przestały się o nich troszczyć. Rzadko podawały wodę, a jeszcze rzadziej jedzenie. Ludzie padali na drogach, umierali ze zmęczenia lub byli dobijani mieczami. Dzieci zostawały bez matek, ojcowie bez rodzin, a młode dziewczęta wybierano dla szczurów do zabawy. Niebezpieczeństwo wzrastało. Olbrzym wiedział, że stał się widoczny i w każdej chwili jakiś oddział mógł go zaczepić. Do tej pory chronił go mnisi habit, zdarty na drodze z trupa barczystego mutantu.

Pojawiły się pierwsze pagórki, oznaka, że wysokie góry Kreporu lada chwila mogły zarysować się na horyzoncie. Ziemia stała się skalista, a drzewa smuklejsze i wyższe. Human sypiał przytulony do konia, który kładł się posłuszenie na ziemi i nie wstawał, dopóki jego pan nie obudził się. Tylko dlatego przetrwał chłód nocy i mógł nie rozpalać ogniska. Żywił się wyłącznie zapasami suszonego mięsa i owoców, znajduwanymi w torbach zabitych szczurów lub strażników. Nie odzywał się do nikogo i nie odpowiadał na pytania. Wiedział, że zainteresowanie losem łapacza może im obu tylko zaszkodzić. Dodatkowo musiał uważać na przytroczone do siodła, starannie owinięte w koce, dwa miecze Idalga. Dla zmyślnego złodzieja nie było problemem wysupłanie broni, która dla znawcy mogła stanowić prawdziwy majątek.

Human schudł, a jego policzki zapadły się. Coraz częściej łapał się na tym, że podsłuchuje przypadkowych ludzi. Na drogach pełno było usługnych i głodnych donosicieli. Węszyli wśród sunących za mutantami taborów niewolników, jeńców i włóczęgów, których nawet szczury nie potrafiły zniszczyć. Wystarczyło zwrócić na siebie uwagę i jak spod ziemi pojawiał się oddział w habitach i z mieczami w dłoniach.

Krepor ugiął się, przegrał i płacił cenę za swoją dawną dumę i potęgę. Mutanty nie przebierały w środkach i na każdym kroku upokarzały mieszkańców królestwa. Na drogach zaczęły pojawiać się krzyże ze zwisającymi resztkami ludzkich ciał. Od czasu do czasu w spalonych wsiach i osadach olbrzym zauważał nagie dziewczki i młodzieńców w dybach. Kto chciał, chędożył ich dla uciechy i szedł zaspokojony dalej. Pogarda dla wszystkiego, co kreporskie, stawała się coraz bardziej widoczna.

Mutanty poczuły się pewnie i nie zasłaniały już szcurzych pysków kapturami. Bezcelnie i pogardliwie naśmiewały się z tych, które kapturów nie zdejmowały. Human wiedział, że niedługo może się spodziewać momentu, kiedy ktoś go odkryje. Z każdym dniem zbliżał się do głównego obozu. Po drodze minął pięć mniejszych, ale nigdzie łapacza nie znalazł. Dwa razy zapytał o przyjaciela wędrownych żebraków. Potwierdzili, że mijają ich oddział szcurów, które wiozły chudego, wysokiego mężczyznę ze szponem wytatuowanym na skroni. Za godziwą zapłatę i ze strachu przed jej utratą woleli trzymać język za zębami.

Kiedy Human dotarł do obrzeży obozowiska, słońce wyznaczało już środek dnia. W górach nie dokuczało tak, jak na nizinach. Łagodny wiatr studził ostre promienie i przynosił z sobą charakterystyczną, mdłą woń mutantów. Wokoło obozu rozłożyło się tysiące handlarzy, złodziei, kucharzy, przemytników, dziewczek, najemnych żołnierzy i bandytów, rzemieślników i włóczęgów, żebraków i wędrownych artystów. Błyskawicznie powstawały zajazdy i rodziły się nowe majątności. Krzyżowały się rasy i nikt niczemu się nie dziwił. Wrzaski, zdrada, bijatyki, donosicielstwo i pijaństwo opanowały północny kraniec gór Krepom.

Human zbliżył się do drewnianej, masywnej bramy prowadzącej do głównego obozu mutantów. Trzy pilnujące jej szczury snuły się smętnie tam

i z powrotem, wypatrując zachodu słońca. Wtedy właśnie mogli zejść z warty i nacieszyć się wojną. Olbrzym skrzywił się i pokiwał z pogardą głową. Palisada, którą otoczono obóz, nie pozwalała zajrzeć do środka. W otworach na górze poruszały się co najwyżej szczurze pyski, wypatrujące niebezpieczeństwa. Olbrzym oparł się o stragan z warzywami, pogłaskał konia po chrapach i poprawił kaptur. Materiał niewygodnie wrzynał się w kark, a widoczność ograniczała się do wąskiej szczeliny z przodu.

– Złaż z drogi, bo jeńców wiziemy! – Za plecami Humana rozległ się piskliwy głos.

Olbrzym odsunął się, rzucając spojrzenie na związanych sznurem ludzi. Wtedy poczuł, że w jego głowie wybucha ogień. Z wrażenia o mało nie zsunął kaptura. Na jednym ze zmęczonych wierzchowców siedziała Bathy, córka jubilera Herlinga. Poznał ją po włosach, pięknym profilu i kształtnej sylwetce. Dziewczyna była związana, jej ubranie podarte, a na twarzy zwracał uwagę duży siniak. Ręka Humana opadła gwałtownie na szablę. Olbrzym rozejrzał się po straganach i ocenił sytuację. Wszędzie panował tłok i snuły się szczurze patrole. Nie znał gór, nie widział lasu, w którym mógłby się schronić, i dostrzegał kusze, wiszące przy siodłach mutantów. Mimo tego gotów był zaryzykować i odbić dziewczynę. Zauważył, że obok niej jechał tak samo związany i znacznie bardziej pobity młodzieniec. Dopiero po chwili olbrzym uświadomił sobie, że podobnie jak księżę Syrius chłopak nie miał oka. Oczodół był pusty, a wokół zakrzepłej krwi wirowały setki drobnych muszek. Human rozpoznał barwy królewskich posłańców. Zrozumiał, dlaczego pozostawiono ich przy życiu. Z ręką na rękojeści szabli przyglądał się, jak konwój staje przed bramą obozowiska. – Paskudny widok... – Obok uszu Humana rozległ się spokojny szept. Olbrzym odwrócił się i spod kaptura spojrział na włóczęgę z wielkim kosturem w dłoni. Nie musiał zgadywać, że miał do czynienia ze ślepcem.

Oczy Glassa nie miały źrenic. Przypominały dwie wiśniowogranatowe dojrzałe śliwki.

– Jakże to ślepiec takie rzeczy widzi? – zapytał nieufnie. – Kpisz, człeku, czyś naprawdę zdrowy?

Glass uśmiechnął się łagodnie i pokazał palcem w górę. Odezwał się tak samo przyjaźnie, jak zaczął:

– Myślę sobie, panie, że obaj wążchamy to samo powietrze i tak samo czujemy jego ciepło... Świat ma w sobie ruch i tego nie da się zatrzymać. Wszystko, co znam, swojskie jest... Ja tylko rozpoznaję ruch, nic więcej... Wasz wymach też po swojsku idzie, a może i miejsca więcej zajmuje...

Human wysłuchał ślepego włóczęgi i nadal nieufnie zapytał:

– Pokręcony jesteś, prawda?

Tym razem twarz ślepeca zakrył szeroki uśmiech. Nawet jednokolorowe oczy lekko pojaśniały. Dotknął ramienia olbrzymia i ścisnął.

– Czujesz? – zapytał z odcieniem wesołości w głosie. Human z zaciekawieniem skinął głową. Zdziwienie walczyło w nim z irytacją. – Ja tak samo. – Ślepiec cofnął dłoń. – Widzisz ludzi i targ? – Human znów potwierdził. – Ja też... Zostawiają ślady... W powietrzu...

– Gadasz jak czytacz... – stwierdził Human. – Szpieg z ciebie żaden, bo mnie nie wydałeś... Nigdy cię nie widziałem, a gadasz, jakbyś mnie znał. W czary nie wierzę, ale śmierdzi mi to magią...

– Dla mnie słowa mogą być jak oczy – odparł włóczęga, wciągając nosem zapach pieczeni, dochodzącej na ognisku nie opodal. – Dziewczyzna rzekła mi o tobie i łapaczu. Szuka was, od kiedy jej ojciec gardło położył we własnym domu...

– Jubiler Herling zadźgany? – Głos Humana zdradzał niecierpliwość.

– Ten sam – potwierdził ślepiec. – Napadnięty, zadźgany i okradziony przez niejakiego Zdeba, dowódcę straży w Grwaldzie... Wieści szybko się

rozchodzą. Tamten z mutantami ponoć trzyma. Sam słyszałem, że córki Herlinga szuka, bo ładna i monety mogła zabrać...

– Zdeb – syknął pod nosem Human. – Znam to ścierwo. A ty kto? Skąd znasz dziewczynę?

– Broni twojej chcę dotknąć – odpowiedział zagadkowo włóczęga. – Nic tak nie gada o człowieku, jak jego miecz...

Human skrzywił się nieufnie, cofnął, po czym ostrożnie odchylił habit. Był przygotowany na atak i gotów skrócić ślepcowi kark, gdyby ten próbował wyszarpnąć znienacka szablę. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Glass delikatnie dotknął broni i przesunął po niej dłonią. Olbrzymowi wydawało się, że włóczęga przez moment wzruszył się i z trudem pohamował łzy. Dotykał rękojeści szabli tak, jakby po wielu latach witał się ze starym znajomym. Human pomyślał, że w ten sposób krzyczy tęsknota za młodością i być może utraconym wzrokiem.

– Stara robota – westchnął w końcu ślepiec i zabrał rękę z szabli. – Szabla... Niewielu teraz umie nią robić. Miecze wybierają, do sztychu się sposobią, a nie do cięcia... Szkoda, szabla szlachetniejsza. Gdzieś ją znalazł, panie?

– Skąd, człeku, wiesz tyle o broni? – odpowiedział pytaniem Human. – Może z Lombardii idziesz? Rzemiosłem się tam parałeś?

Włóczęga potrząsnął kosturem i zaśmiał się smutno. W twarzy miał coś, co nakazywało szacunek i dystans.

– Opowiedz mi kiedyś, jak ją zdobyłeś... – poprosił pozornie obojętnym tonem.

– Marny ze mnie temat do włóczęgi – uciął Human. – O sobie gadaj, o dziewczynie...

– Glass na mnie wołają... Starym traktem szliśmy do księstwa – odpowiedział bez cienia irytacji ślepiec. – Dobrze szło... Potem poszedłem

drogę wyniuchać i przejścia znaleźć... Wróciłem i było po wszystkim. Dopadli ich, związali i tutaj zaciągnęli. Nie miałem ich jak odbić. Dwóch wyznaczyli, żeby im w razie ataku gardła podcięli. Strzała by nie zdążyła... Pociągnąłem za nimi, ile sił starczyło... Szczury coraz większymi stadami chodzą. Wiedzą, że Krepor budzi się, jak to już przed wiekami bywało. Wolą chodzić w kupię... Dziewkę trza odbić, póki srom u niej cały, i tego posłańca. Chłopak młody, ale nosi w sobie ciężar starca. Tylko do broni mało pojętny...

– Gadasz jak żołnierz albo najmita. – Human wciąż nie mógł przyzwyczać się do ślepcy. – Mamisz mnie pewnie, dziwy opowiadasz i taniego chleba szukasz, Glass. U mnie go nie znajdziesz. Z biedą się kumam i tym się dzielić mogę...

Dopiero po chwili olbrzym zauważył, że mówi sam do siebie. Tajemniczy włóczęga gdzieś zniknął. Nie było go ani w pobliżu straganu, ani przy ognisku, skąd dochodził zapach pieczeni. Human wypatrywał żebraczego kostura, ale na darmo. Wokoło zbyt wielu jeździło konnych i widok zasłaniali.

Zbliżała się noc i Human musiał podjąć decyzję. Ze słów ślepcy wynikało, że dziewczyna nie została jeszcze ruszona i trzeba się było śpieszyć. Olbrzym wiedział, że w ciemnościach szczury dostawały szału i łatwo o wszystkim zapominały. Pijane i znudzone postojem szukały wrażeń, zaspokajając bez pohamowania chuć. Zdarzało się i tak, że orgia zamieniała się w bitwę, po której największe oddziały szczurów nie mogły doliczyć się nawet połowy żywych. Teraz była okazja. Znienawidzony łapacz, niewinna dziewczka i królewski posłaniec zapowiadali dobrą zabawę. Olbrzym musiał się śpieszyć.

ROZDZIAŁ 13

Stalowa klatka z trudem pozwalała na rozprostowanie kości. Idalgo siedział w niej dzień i noc. Czasami któryś ze szczurów przynosił mu jedzenie i wodę. Wydawało się, że mutanty zapomniały o nim i pozwolą mu umrzeć w męczarniach. Łowca kilkakrotnie próbował otworzyć wielką kłódkę wiszącą na grubej sztabie. Nie udawało się. Ciągłe podejrzewał, że jego porwanie łączyło się z jakimś tajemniczym planem. Pierwszego dnia rozpoznał Zdeba. Były dowódca straży w Grwaldzie z pogardliwym wyrazem twarzy obrzucił go stekiem wyzwisk i zapowiedział powolną śmierć. Łapacz nie reagował. Za wszelką cenę próbował sprowokować zdrajcę do mówienia. Tamten jednak albo nic nie wiedział, albo starannie się pilnował, ponieważ nie pozwolił z siebie niczego wyciągnąć. Potem pojawił się Nariaga. Mutant przyglądał mu się długo i w milczeniu. Łapacz zadał mu kilka pytań, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Dopiero przyjazd Bathy i Darta spowodował, że Zdeb zatrzymał się obok klatki i z zagadkowym uśmiechem przyglądał się zakuwaniu nowych jeńców. Dziewczyna i posłaniec zostali zamknięci w dyby zaledwie kilka kroków od klatki Idalga. Mutanty bardzo się starały, aby łapacz stracił swoją siłę i hardość. Strażnicy nie pozwolili więźniom nawet porozumiewać się. Cierpliwie stali obok klatki i gryźli tytoń.

Noc nie przyniosła niczego dobrego. Kiedy zapłonęły ogniska i rozpoczęło się pieczenie mięsa, z namiotu wyszedł Nariaga w towarzystwie pięciu siwych i zasuszonych mutantów. Nie przypominali wojowników. W

jasnych habitach pasowali raczej do sekty czytaczy niż do wojska. Mieli jasne oczy, białe wibrysy i starannie starte pazury. Wydawali się delikatni i nie przyzwyczajeni do niewygód. Patrzyli o wiele inteligentniej od przeciętnych szczurów, a w ich oczach kryło się coś groźnego. Najbardziej dziwił Idalga ich wygląd. Gdyby nie szczegóły ubrania, nie różniliby się niczym. Nariaga skinął ręką i wokół klatki pojawiło się kilkanaście innych mutantów. Natychmiast zapaliły pochodnie, umieściły je na wysokich dzidach, po czym zaczęły przynosić skóry, którymi wyznaczyły obszerny krąg. Picie, śmiechy i obmacywanie dziewczek dopiero się zaczynały. Szczury ściągały do pochodni i powoli formowały arenę. Iskry z ognisk sypały się teraz wyżej, płomienie świeciły jaśniej, a śpiewy brzmiały głośniejsze i pewniej. Nariaga spojrzał pytająco na siwe szczury. Nie zaszczyliły go nawet mruknięciem. Idalga zauważył, że dowódca mutantów starał się zachowywać bardzo grzecznie i łagodnie. Było w tym wiele nienaturalnej pokory i lęku. Łapacz po raz pierwszy w życiu widział hierarchię wśród mutantów.

- Mówią, że jesteś najlepszym szermierzem, jaki teraz chodzi po ziemi...
- odezwał się cienkim głosem jeden z siwych szczurów.
- Podobno masz zmysł i nie okazujesz strachu... – szepnął drugi mutant.
- Słyszeliśmy, że schwytałeś więcej łotrów niż liczy niejeden oddział...
- włączył się trzeci szczur.
- Czy chwytałeś także mutanty? – Pytanie zostało postawione spokojnie i bez cienia wrogości.
- To ścierwo zabiło więcej mutantów niż wyśpiewują po drogach – wtrącił ze złością Nariaga.
- A ilu wyśpiewują po drogach? – zapytał natychmiast stojący najbliżej klatki szczur.

Nariaga zmieszał się i podrapał w łepetynę. Rozejrzał się po otaczających ich mutantach i westchnął:

– Ze dwustu, a może i trzystu...

– Ilu? – To pytanie siwy szczur skierował wprost do Idalga.

– Nie wiem – odparł obojętnie łapacz. – Nie liczyłem.

– Masz dobry zmysł – pokiwał pyskiem mutant. – Zaraz sprawdzimy, jaki jesteś zdolny...

Idalgo przypatrywał się siwym szczurom i zastanawiał się nad słowami, które usłyszał. Były tak rzadko używane, że prawie wyszły z obiegu. Łapacz nie rozumiał, co oznaczało słowo „zdolny”. Domyślał się tylko, że dla niego nie było to nic dobrego. Rzucił wzrokiem na dziewczynę i posłańca, klęczących w dybach i obserwujących arenę. Zostawiono im miejsce, aby mogli wszystko widzieć. Zapach pieczeni snuł się coraz silniej w nasączonym dymem powietrzu, sprośne żarty i pełne napięcia wyczekiwanie stały się niemal fizycznie wyczuwalne. Tym razem niebo nie odsłoniło gwiazd, a księżyc tkwił zakryty głęboko za chmurami. Siwe szczury usadowiły się na pieńkach przykrytych skórami i dały znak Nariadze, że są gotowe. Wtedy z namiotu dowódcy szczurów wyszedł Zdeb, a za nim trzy olbrzymie mutanty. Różniły się od pozostałych szczurów wzrostem i muskulaturą. Były co najmniej o głowę wyższe i o połowę szersze w ramionach. Ich pyski nie przypominały zwykłych szczurów. Wystarczyło spojrzeć na nie uważnie, aby rozpoznać łeb dzikiego tygrysa. Gdyby nie lekko wydłużone szczęki i brak pręg, mieszanka byłaby bliższa człowiekowi niż zwykłemu szczurom. Idalgo skrzywił się i strzyknął śliną przez zęby. Wiedział już, co się szykowało. Siwe szczury sprowadziły do obozowiska legendarną rasę szczurów tygrysi. Łapacz słyszał o nich i wiedział, że są niezwykle trudne w mutowaniu. Wędrowni żebracy opowiadali mu kiedyś, że szczury tygrysie

są najbliższą ochroną Yca, cesarza mutantów. Ten, który je widział na własne oczy, drżał na samo wspomnienie. Twierdził, zaklinając się na życie, że potrafiły rozedrzeć człowieka lub mutantą jednym szarpnięciem. Uderzeniem miecza przecinały najtwardsze tarcze i wytrącały broń przeciwnikowi. Łapacz słyszał, że to właśnie szczury tygrysi stłumiły przed kilkoma laty bunt w kraju mutantów. Mimo że nie było ich wiele, bo około czterystu, stały całkowicie kilka tysięcy buntowników. Idalgo czekał, aż otworzą klatkę i dadzą mu do ręki miecz.

– Będziesz walczył – odezwał się siwy szczur. Tym razem mówił głośno i donośnie. W obozowisku zrobiło się cicho. Zamilkły pijane dziewczki, spoważniały najgłupsze szczury, odsunęły od siebie jedzenie najbardziej wygłodzone patrole. Wiedzieli, kim jest Idalgo, a niektórzy mieli okazję widzieć stosy trupów w spalonym zajeździe na pograniczu Kreporu i księstwa. Znali także ochronę swojego cesarza. Poza tym na piasku pospiesznie uformowanej areny chcieli zobaczyć krew.

– Będziesz walczył z Ablem – kontynuował czystym językiem siwy mutant. – Gdybyś próbował uciekać, zostaniesz zabity z kuszy. – Pokazał zakrzywionym pazurem osiem szczurów usadowionych z napiętymi kuszami na długich palach wokół kręgu. – Wypuścić go i dać miecz...

Kłódka od klatki opadła na ziemię i Idalgo opuścił ciasne wnętrze. Przeciągnął się, aż mu kości chrupnęły. Zobaczył wbity w Abła wzrok Bathy. Dziewczyna była przerażona. Nienaturalnie szeroko otwartymi oczami patrzyła na mutantą. Abel poprawił olbrzymi habit, wyjął z pochwy długi miecz i spokojnie przyjął pozycję do walki. Zachowywał się bez emocji. Jedyne jego oczy wbiły się w twarz łapacza i w ten sposób próbowały rozpoznać zamiary wroga. Tym razem człowiek nie zdradził się nawet najmniejszym gestem lub zmrużeniem powiek. Jego źrenice również pozostały takie same. Szczur tygrysi zrozumiał, że łapacz może być

niebezpiecznym przeciwnikiem. Jeden z siwych szczurów rzucił w ręce Idalga miecz i przezornie odsunął się do tyłu.

– Zabij go, Abel – rozkazał chłodno siwy mutant.

Cisza została przerwana przez odgłos kroków na piasku. Abel przygotował miecz do cięcia znad ramienia i zaczął obchodzić Idalga. Kiedy znalazł się na długość miecza, skoczył w bok i ciął, mierząc w szyję. Wtedy po raz pierwszy szczury zobaczyły, w jaki sposób legenda się potwierdza. Łapacz minimalnie cofnął tułów i ostrze przeszło o włos od jego szyi. Potem wykonał pchnięcie tak proste i nagłe, że niemalże prymitywne. Wypadł jedną nogą do przodu i dźgnął Abła pod prawą pachę. Szczur tygrysi nie na darmo jednak wzbudzał strach. Odbił się na ugiętych nogach i zanim czubek miecza dotknął jego ciała, opadł na ziemię metr dalej. Mutanty wokół areny zawyły z radości. O dużo za wcześnie. Łapacz wykonał mieczem gwałtowny ruch w dół, kucnął i zastygł w bezruchu. Abel z kocią zręcznością skoczył na niego, starając się trafić w środek ostrza. Siła uderzenia była straszliwa. Gdyby łapacz nie uchylił swojej broni i nie pozwolił ześlizgnąć się po niej mieczowi szczura, mógłby mieć wyrwany bark. Następnie wykonał ruch, którego nie wyobrażał sobie zwykły szermierz. Upadł na plecy i ciął poziomo na wysokości ud mutantą. Poczł, że ostrze przecina ciało, a przeciwnik nie ma siły odskoczyć. Mięśnie zostały przecięte. Szczur, widząc, że przegrywa, skupił całą swoją siłę na ostatecznym ataku. Przechylił się do przodu i z wyciągniętym przed siebie ostrzem spadł na leżącego łapacza. Rzut w bok, stanięcie na nogach i odcięcie głowy mutantowi trwało zaledwie chwilę. Kiedy olbrzymie ciało w drgawkach konało na piasku, a ciemna, buchająca z szyi krew zaszklila się w blasku ogniska, siwy mutant dał znak i do walki wkroczyły dwa pozostałe szczury tygrysie.

Podniecenie było tak duże, że nikt nie zwrócił uwagi na zniknięcie trzech mutantów z kuszami. Ze skrzyconymi karkami zostały odciągnięte w krzaki i porzucone. Czyjeś ręce nieomylnie i cicho pomagały łapaczowi. Atak dwóch olbrzymów z tygrysimi pyskami poprzedził wybuch spontanicznego pisku. Uderzyły o siebie metalowe kubki i polało się wino. Dopiero teraz Idalgo odczuwał skutki siedzenia w klatce. Bolały go ramiona i mięśnie nóg. Brak regularnego pożywienia i snu wywoływały zbyt prędkie zmęczenie. Jego oddech nie był tak równy jak zwykle, a stąpania nóg utraciły dawną pewność. Mimo to zdołał zauważyć, że liczba szczurów z kuszami zmniejszyła się. Wydawało mu się nawet, że dostrzega znikanie w ciemnościach kolejnego mutanta. Na więcej obserwacji nie miał czasu, ponieważ z tyłu, za ciasnym kręgiem szczurów skupionych wokół areny, rozległy się piski i szczęk broni.

– Tutaj! Tutaj go! – wrzeszczały mutanty i jeden przez drugiego pchały się w kierunku odgłosów walki. – To obcy!

Szczury tygrysie błyskawicznie rzuciły się na łapacza. Ostatni z łuczników wystrzelił, ale zrobił to dokładnie w chwili, gdy Idalgo przepuścił atak mutanta tygrysięgo i zasłonił się jego ciałem. W sercu tamtego utkwiała po sam bełt strzała. Jednocześnie łapacz poczuł na swoich plecach ostrze. Odskakiwał, kiedy sam czubek miecza rozciął mu skórę od łopatek do krzyża. Wtedy zobaczył Humana. Olbrzym przedzierał się do niego, wywijając swoją szablą i w szaleńczych unikach uchylając od ciosów. Był w habicie, a na jego ramieniu zwiślał koc, w którym znajdowały się dwa miecze Idalga. Siwe szczury błyskawicznie gdzieś zniknęły. Tygrys chciał dobić łapacza, ale zaczepił o przewracającego się szczura i nie trafił. Poza tym kilkadziesiąt przepychających się i wzajemnie się raniących wściekłych i pijanych mutantów nacierało za olbrzymem prosto na środek areny. Ognisko zostało zdeptane, bukłaki z winem porzucone, a mięso

wgniecione w ziemię. Łapacz zanurkował w tłum szczurów, kierując się do uwięzionych w dybach. Tygrys biegł za nim, po drodze roztrzając inne mutanty. Wystarczyła tylko chwila, aby Human oparł się plecami o Idalga i obaj znaleźli się w pobliżu dybów. Były roztrzaskane, a więźniowie zniknęli.

Tygrys skoczył na Humana akurat wtedy, gdy ten podawał łapaczowi koc z mieczami. Mutant był tak wściekły, że porzucił broń i chwycił olbrzyma pazurami. Wydawało się, że człowiek bez wysiłku zostanie rozdarty na strzępy. W ciemnościach nocy, żarze ogniska rozniesionym pod nogami i smugach dymu niewielu zdołało zobaczyć pokaz niezwyklej siły. Ci, co stali najbliżej, odczuli to na własnych pyskach. Human, widząc, że nie ma miejsca do cięcia, wypuścił szablę i dwiema potężnymi pięściami uderzył w łeb mutantu tygrysięgo. Trzask miazdzonej czaszki i mózg rozpryskujący się wokoło mówiły same za siebie. Legenda szczurów została zniszczona. Idalga, odzyskawszy swoje miecze, natychmiast ruszył do ataku. Nie czuł ran, które zadawały mu stojące najbliżej szczury, nie oglądał się i nie zwalniał tempa. Tylko dyscyplina, lata ćwiczeń i surowe życie pozwoliły mu odsunąć od siebie zmęczenie. Zapomniał o klatce, o przytłaczającej sile wroga, o Bathy, posłańcu i Kumanie. Wpadł w trans, który zdarzał się nawet największym mistrzom najwyżej parę razy w życiu. Kiedyś już tego doświadczył. Wówczas jednak był uczniem i nie mógł odczuć pełni smaku, jaki dawała walka, w której najmniejsze drgnienie przeciwnika wywoływało natychmiastową, szybką jak myśl, reakcję.

Human szedł za nim i wydawało mu się, że śni. Szczury ginęły jeden po drugim, nie potrafiły ustawić się w szyku i nie próbowały nawet dosięgnąć ich dzidami lub strzałami. Każdy chciał za wszelką cenę zabić łowcę i przejść do legendy. W końcu jednak nadeszło zmęczenie. Cicho i zdecydowanie. Ręce zaczęły się plątać, nogi potykać, a mięśnie szyi i

pleców odmawiać posłuszeństwa. Kiedy obaj znaleźli się przy bramie obozowiska, a przed nimi wyrosła kolejna ściana mutantów, zrozumieli, że zginą pod stosem rozwścieczonych szczurów, które z nienawiści pazurami wy drą im serca.

Dziesiątki drobnych ran, krwawienie i ciągły atak mutantów znów zmusiły Idalga i Humana do oparcia się o siebie plecami. Tym razem potrzebowali tego naprawdę. W każdej chwili mogli upaść. Łapacz dziękował w duszy losowi, że część szczurów biegła z pochodniami i dzięki temu mógł dokładnie widzieć wroga. Obaj czuli, jak ich krew miesza się z potem, a skóra piecze od gwałtownego tarcia.

– Czegoś wrócił! – krzyknął przez zęby łapacz.

– Po śmierć – zawołał bez cienia wątpliwości olbrzym. – Wróciłem, bo płynię we mnie... książęca krew...

– Wielki jesteś... i głupi... – odpowiedział łapacz, tnąc przez pysk szczura, który wgrzył mu się właśnie w nogę.

Odpowiedział mu śmiech i jęk, ponieważ miecz jednego z mutantów rozorał w tej samej chwili pierś Humana. Kiedy ręce łapacza po raz pierwszy nie zareagowały na sygnał z mózgu i ze zmęczenia bezwolnie zawisły w powietrzu, rozległ się dźwięk piszczałki i wszystkie szczury, natychmiast stanęły w bezruchu. Human i Idalgo osunęli się na kolana i ciężko oddychali. Było im wszystko jedno. Nie rozumieli, co się stało, i czekali na ostatnie ciosy.

Z ciemności wyłoniły się siwe szczury z pochodniami. Z podziwem patrzyły na drogę, którą przeszli walczący. Znów pojawiły się kusze i powrócił spokój. Idalgo i Human nie chcieli tak zginąć. Czekali na moment, w którym siły powrócą i pozwolą im po raz ostatni rzucić się na wroga. Najstarszy z siwych mutantów zatrzymał się kilka kroków od nich i bez cienia złości powiedział:

– Idzie za wami śmierć. Jak zaraza... To dobrze, to bardzo dobrze... Nie wiedziałem, że zobaczę jeszcze kiedyś starą sztukę walki. Jesteście chyba zapisani w gwiazdach... Kto by pomyślał, że czas legend przemija i znów możemy widzieć prawdę. Twój przyjaciel, łapaczu, ma dla nas taką samą wartość jak ty...

– Jaką wartość, szczurze? – syknął przez zęby Idalgo.

Mutant uśmiechnął się i potarł końcem palca wibrysy. Sprawiał wrażenie kogoś, kto wie zbyt wiele, aby ujawnić to w ciągu kilku chwil. Pozostałe siwe szczury patrzyły podobnie. Spokojnie i cierpliwie uznawały fakty, starając się dostosowywać je do własnych potrzeb. Human chciał wstać, ale ostrzegł go głos Nariagi.

– Chcesz zdechnąć, psie?

Olbrzym posłusznie opadł na kolana. Kusze, które widział w ciemnościach, nie dawały im żadnych szans. Na Nariagę nawet nie raczył spojrzeć. Zerknął spod oka na siwego szczura i spokojnie stwierdził:

– Rzekłbym, że krwi naszej chcesz się ochlać, mutancie...

– Zgadłeś – potwierdził zimno szczur. – Ty i twój przyjaciel będziecie nam służyć w przyszłości...

– Nieprawda – uciął krótko Idalgo.

– Wasza krew, wasze ciała, wszystko – kontynuował cierpliwie szczur. – Zostaniecie sklonowani...

– Nie wiem, o czym gadasz, ale śmierdzi mi to z daleka – odezwał się Human. – Nie dla mnie wasze sztuki i żywot...

– Dla każdego, człowieku, dla każdego – uspokoił go szczur. – Dasz tylko krew, trochę krwi, może nawet kroplę... Tam jest wszystko. Tak, jak tu stoisz... Może tylko myśli będą inne, bo nasze... Reszta zostanie.

– Swoich wam mało? – zapytał pogardliwie Idalgo.

– Sami wiecie, że szermierz to krew – odpowiedział z nutą nostalgii siwy mutant. – Przychodzi rzadko i cenniejsza bywa od monet. Znałem w swoim życiu tylko czterech mistrzów, a żyję dłużej niż ludzkie dzieci i dzieci ich dzieci. Czterech prawdziwych mistrzów miecza... Tylko jeden z nich pochodził ze starej szkoły. Niewielu dziś umie dotknąć szabli. A szkoda... Ty walczysz tak samo jak on... – pokazał zakrzywionym pazurem na Humana.

– Gadasz, że znałeś starego mistrza – zainteresował się olbrzym. – Trudno dać wiarę...

– Dwa razy go widziałem – odparł szczur. – Po raz pierwszy w Pandabie, gdzie przeprowadzał próbę szabli...

– Łziesz, mutancie! – warknął z wściekłością Human. – Żaden obcy nie może tego widzieć...

– Młody jesteś i porywczy. A ja nie jestem obcy... – Uśmiech starego szczura przypominał teraz tani obraz z podupadającego targu. – Przyjaźniłem się kiedyś z kimś takim i wiem.

– Jesteś szczurem i pozwoliłeś na próbę? Nie zabiłeś go? – zadrwił Human.

– Są szczury i szczury, człowieku – szepnął sentencjonalnie mutant. – Widzę, że wiesz o próbie szabli więcej niż twój przyjaciel...

– Wiem, ile trzeba. A próba nie u każdego w cenie... – skrzywił się pogardliwie Idalgo.

– Nic nie wiesz, łapaczu. – Tym razem głos szczura zabrzmiał twardo i z wyższością. – Nie ma próby miecza, a każdy, kto używa tej broni, co najwyżej u mistrza zdobywa szlify. Płodzicie się, wy, szermierze, jak ptasie gówna na trawie, a wasz kunszt coraz podlejszy... Chyba tylko ty jeden zostałeś z tych prawdziwych... Inaczej było z szabłą, łapaczu, całkiem inaczej. Stara szkoła wyginęła, bo zbyt trudna była próba. Niewielu z niej

wracało. Może twój przyjaciel jest ostatni? – Widząc wyczekujące spojrzenie łapacza, szczur dodał: – Dobrze, powiem ci to, o czym mogłeś tylko słyszeć. Starzy mistrzowie rzeczywiście wysyłali swoich uczniów do nas. Jeżeli potrafili przywlec z powrotem pięćdziesiąt naszych szczurzych łbów, wtedy dostawali szablę. Zgadza się?

Human pokiwał głową, jakby wracał do bardzo dalekiej przeszłości. Tylko on wiedział, ile łbów naprawdę przywozili starzy mistrzowie. Pamiętał również, ile odrąbał osobiście. Kraina mutantów była sprawdzianem, który kosztował życie wielu szermierzy.

– Ostatni raz widziałem go w boju przed wielu laty – kontynuował wspomnienia szczur. – Przebił się przez nasze szeregi na pograniczu Pandabu i krainy karłów. Kobietę i dziecko przeprowadzał... Ona zległa od topora, ale dziecko ocalił. Zrobił to, co ty dzisiaj... Sam jeden. Szkoda, że nie jego krew weźmiemy, szkoda. Ty nie dałeś rady, on się przedarł...

– Znałeś go? – Human z trudem ukrył wzruszenie.

– Tak – chichot siwego szczura zabrzmiał chorobliwie nienormalnie. – Dopóki go nie zdradziłem... Wy to nazywacie dobrym sercem. Darował mi życie i wygonił do swoich. Podobno już nie żyje...

Wtedy właśnie Idalgo zobaczył, jak znika ostatni z mutantów trzymających kusze. Czuł, że jego siły powoli wracają. Nabrał powietrza w płuca i głęboko odetchnął. Nariaga zauważył to i z lękiem spojrzał na Zdeba, który z odsłoniętym mieczem czał się najbliżej łapacza. Zdrajca z Grwaldu uspokoił go, pokazując palcem ostrze przygotowane do ciosu. Wydawało się, że tylko na nim stosy szczurzych trupów nie zrobiły wrażenia.

Nagle z tyłu w ciemnościach ktoś jęknął i ciężko zwałił się na ziemię. Wyraźnie było słychać świst miecza i tępy odgłos trafienia.

Potem wszystko potoczyło się jak we śnie. Idalgo poderwał się na nogi i zniecka odrąbał Zdebowi całą szczękę. Szczury znów zaczęły piszczeć, próbowały dosięgnąć Humana dzidami, ale było już za późno. Znów powstał młyn i zaczęła się walka. Tym razem jednak ktoś trzeci wprowadził mutanty w zdumienie. Wśród dziesiątków atakujących szczurów wyrąbał sobie przejście ślepiec. W rękach trzymał potężny miecz z czarnego metalu. Idalgo i Human zauważyli go w chwili, gdy ścinał łby siwym szczurom. Rzeź, która dopiero teraz się rozpętała, nie miała sobie równych w historii szczurzych wojen. Łapacz przebijał kolejne mutanty i kątem oka obserwował ślepcę. Po raz pierwszy w życiu zobaczył mistrza, który przerastał go pod każdym względem. Ślepiec poruszał się tak pewnie i tak szybko, że nikt nie był w stanie go zatrzymać. Wydawało się, że atakuje na ćwiczeniach, w których każdy krok był miesiącami powtarzany. Mutanty ginęły całymi grupami. Ślepiec wpadał pomiędzy ich miecze, wykonywał kilkadziesiąt błyskawicznych złożzeń i zostawiał za sobą trupy. Ostatni z siwych szczurów uciekał pomiędzy napierającymi mutantami, osłaniany przez Nariagę i jego straż. Kiedy ślepiec zrównał się z Humanem i Idalgim, walka dobiegała końca. Oddział liczący kilkaset mutantów leżał we krwi na ziemi, a niedobitki nadziewały się na ostatnie pchnięcia. Idalgo zauważył, że zza pobliskich drzew co chwila wylatywały strzały i trafiały poszczególne szczury. W świetle pochodni, które smętnie dopalały się na piasku, nie potrafił dojrzeć sprzymierzeńców, ale bez trudu domyślił się, kim byli. Po blisko godzinnej walce, kiedy ponownie zaczęli słabnąć, w obozowisku zaległa cisza. Zniknęły gdzieś niewolone dziewczęta, uciekły ostatnie szczury, dogasały pochodnie i ogniska. W pobliżu rżały tylko konie i trzymane w zagrodzie bydło.

– Piękna walka, panowie, piękna i dobra. – Pierwszy odezwał się ślepiec. – I powietrze było dziś takie rześkie...

Mimo wieku jego oddech wydawał się spokojny i równy. Idalgo i Human usiedli na ziemi i nie odzywali się. Obaj nie wierzyli, że było po wszystkim i wciąż są przy życiu. Widzieli, że ślepiec nieomylnie kieruje się w ciemność i po chwili wraca z długim kosturem w dłoniach. Miecz z czarnego metalu pasował idealnie do wnętrza kostura. Wystarczyło teraz złożyć drewno i broń zniknęła z oczu. Zza drzew wyszli Bathy i Dart. Wciąż byli pod wrażeniem. Kusze w ich rękach drżały, jakby obawiali się ponownego ataku szczurów.

Ślepiec wyprężył się i znieruchomiał. Wąchał powietrze. Human wpatrywał się w ciemność.

– Zabierają się – mruknął ślepiec. – Ściągają swoje ścierwo...

– Trupy? – zapytała ze wstrętem Bathy. W podartym ubraniu, z grubymi skórzanymi pasami na ramionach, wyglądała jak zbiegły z barbarzyńskiej niewoli galernik. Jej piersi falowały ze zmęczenia, a oczy odbijały żar dopalających się pochodni i ognisk.

– Szczury potrafią wyniuchać żywych – wyjaśnił Glass. – Zabierają rannych. Mają to z ludzi... Choć tyle dobrego w tej parszywej krwi.

Human podszedł do ślepca i położył rękę na jego ramieniu. Z trudem szukał słów.

– Zza grobu idziemy... – zaczął ochryplym głosem. – Masz nasze życie. Do oddania, ślepcze, do oddania...

Idalgo również podszedł do Glassa i też położył mu rękę na ramieniu.

– Masz nasze życie – powtórzył cicho. – Do oddania.

Glass uśmiechnął się kącikami ust i odparł:

– Wasza wola.

– Jesteś mistrzem... – stwierdził Idalgo, pochylając się nad gałęzią, którą wrzucił w żar najbliższego ogniska. Nikt nie poruszył się. Dart, Bathy i Human wyczuli, że będą świadkami niezwyklej rozmowy.

– Jestem tylko świadkiem miecza – sprostował Glass. Stał oparty o swój kostur i patrzył w rozpalający się ogień.

– Dawno o tym nie słyszałem... – Głos Idalga zdradzał wzruszenie. – Kiedyś, gdy zabrałem się do miecza, opowiadali mi starcy, że świadkowie są tylko w legendzie. Wychował mnie mistrz Fabio...

– Nie kłamał – wtrącił spokojnie ślepiec. – Świadców nie było.

– A ty? – zapytał, marszcząc twarz, Idalgo. – Gadasz, żeś świadek...

– Legenda jest jak woda. – Glass usiadł na ziemi przy ognisku, podniósł leżącego obok upieczonego prosiaka i odciął sobie dużą porcję. Wbił w nią zęby, aż chrupnęło. Bathy i Dart w milczeniu zrobili to samo. Tylko łapacz stał w miejscu i przyglądał się Humanowi. Obaj nie zrobili nawet kroku w kierunku jedzenia.

– Prości jesteśmy – szepnął olbrzym. – Gadaj tak, żeby nie było legendy...

Glass kiwnął głową i kontynuował:

– Legenda mnie wychowała, ryła mi w duszy jak woda skałę... Chciałem poznać świadka miecza i pójść jego drogą. Szukałem, pytałem, ale nic nie zostało w garści... Mistrz, u którego ćwiczyłem walkę, nauczył mnie wachać powietrze. Nie gadał, żeś ślepy i kozy paść mogę... Długo można by prawić. Dość, że odszedłem kiedyś na własną drogę. Wachałem powietrze, dotykałem wiatru, słyszałem ruch... Powoli, dzień po dniu i noc po nocy zbliżałem się do świadków miecza... Kiedy byłem gotowy, przyszli do mnie. Nie było ich czuć, nie było ich słyszeć... Rzucili mi na drogę ścierwo, które śmierdziało i mogło zadusić...

– Szczury – wtrącił sucho Idalgo. – Tylko one tak śmierdzą.

– Nie tylko, łapaczu – zaprzeczył Glass. – Świat śmierdzi, kiedy go nie ma kto czyścić. Czy to w stajni, czy zamku, zawsze trafi się śmieć, który

trza wyrzucić, bo zatruje resztę... Kiedy świat zaczął mi śmierdzieć, wtedy zostałem świadkiem miecza. Prawdziwym i nieprzekupnym.

Human spojrzał na kostur i ostrożnie poprosił:

– Miecz u ciebie czarny, kuty nie u nas, nie w Lombardii... Czy...

Ślepiec otworzył kostur i podsunął olbrzymowi pod nos.

– Stamtąd on. – Glass pokazał palcem w niebo. – Formowany z bryły przez dwadzieścia lat. Czarny metal, obcy. Sam go ukułem.

Human dotknął miecza i powoli wyciągnął go z kostura. Uderzyła go lekkość i kształt broni. Miecz był dłuższy od używanych zazwyczaj, bardziej płaski i wyważony. Human wykonał na próbę cięcie i zdumiał się szybkością, z jaką klinga przecinała powietrze. Podał broń łapaczowi, który dotknął rękojeści i nagle zamknął oczy. Wydawało się, że pomiędzy nim a mieczem toczy się jakaś rozmowa. Na czole Idalga pojawiły się krople potu, a szczęki mocno się zacisnęły. Poruszył się także Dart. Chłopak wstał i jak we śnie zbliżył się do miecza. On również położył rękę na rękojeści. Human odsunął się w stronę Bathy, która odruchowo, z lękiem przysunęła się bliżej ślepcy. Glass nie reagował, jadł prosiaka i sprawiał wrażenie kogoś całkowicie obojętnego na otoczenie.

– Co się dzieje? – zapytała cicho dziewczyna.

– Nie wiem – odparł tak samo cicho Human. Oboje wymienili spojrzenia, w których odnaleźli wrażenie swojego pierwszego spotkania. Dziewczyna opuściła szybko wzrok i znów zaczęła patrzeć na Idalga i Darta.

– Świat do nich gada – odezwał się ślepiec. – Czarny metal ma swoje tajemnice. Ja znam tylko jedną. Dlatego żyję jak świadek...

– Łapacza znam, ale ten młody zda mi się dziki i bez ogłady. – Olbrzym powiedział to na wpół do siebie. – Z tobą on, twój czy bezpański?

– Barwy nie widzisz? – odpowiedziała pytaniem dziewczyna. Wahała się, czy zdradzić tajemnicę Darta. Dopiero teraz poczuła, że boi się o tym mówić. Nie znajdowała także słów, które mogły oddać wszystko, co wiedziała. Dlatego zamilkła. W tym momencie Idalgo i Dart osunęli się na kolana i zaczęli cicho jęczeć. Wydawało się, że obaj doświadczają niehumanicznego bólu i strachu. Wtedy ślepiec sięgnął w ich stronę i dotknął miecza. Łapacz pierwszy otworzył oczy i spojrzał przytomnie wokoło. Dart potarł pusty oczodół i syknął:

– Padlina, zwyczajna padlina...

– O czym on gada? – zapytał z niepokojem Human.

– Płacze – szepnął ze wzruszeniem Idalgo. – Płacze, bo po latach odnalazł syna.

– On? – Human sprawiał wrażenie człowieka, który za moment wybuchnie głośnym śmiechem. – Przecież to osesek jeszcze...

– Czarny metal opowiedział mi smutną historię – zaczął łapacz i powoli usiadł przy ognisku. Bathy, nie spuszczając go z oczu, dorzuciła do ogniska kolejną gałąź.

– Śmierć mi zadali – wtrącił nagle Dart. – Mój świat skazał mnie na odtrącenie...

– Czary to jakieś czy legendę chcecie sprzedać? – zapytała z niepokojem dziewczyna. Tym razem wzrokiem ściągnęła Humana. Olbrzym usiadł przy niej, a ona udawała, że przypadkiem dotknęła go lekko ramieniem. – Znam go, wiem o jego świecie, ale nie chcę go rozumieć... – Pokazała palcem posłańca. – Gada o innym świecie, w duszę się wczepia i nie umiera. Przenosi się jak ten jemiół i wszystko wysysa.

– Zostawili mnie. – W oczach posłańca pojawiły się łzy. – Dawno temu, kiedy czas nas omamił, wysłali mnie tutaj i prosili o wieści... Straszliwa to siła sprawiła. Zostawiłem tu nasienie, które w dzieciach wyrosło. Czas nas

zgubił, w którym nic się nie działo. Tam, skąd jestem, wyłągł się smutek, wszystko stanęło i przestawaliśmy czuć. Kiedy nic się nie zmienia, nadchodzi śmierć lub szaleństwo... Jestem tutaj, bo uwierzyliśmy w szaleństwo. Czarny metal też jest szaleństwem. Ktoś przeprowadził go przez wiele światów i zgubił u was... To wieść, parszywa wieść nie wiadomo do kogo. Tfu! A on... – Dart nawet nie spojrzał na łapacza. – On jest moim synem...

– Wypal se drugie ślepie albo gorączkę kup na targu za monetę – podsumował cierpko Human. – Po drogach ci śpiewać, ludzi straszyć i dziewczki bałamucić...

Bathy spojrzała na niego ciekawie, jakby przeczuwała, że nagły gniew olbrzyma związany jest z jej osobą. Milczała jednak. Poprawiła się tylko na siedzeniu, oparła mocniej o ramię Humana i odkroiła kawałek prosiaka. W jej oczach zapłonęły ledwie dostrzegalne, sprytne ogniki.

– Jakże to? – Idalgo spojrzał bystro na Darta. – Rozum ci się pomieszał? Ja mam być twoim synem? Każdy kiep widzi, żeś młodziak przy mnie...

– Nie gap się na moje ciało – odparł posłaniec. – To tylko ścierwo, które mi przeszkadza. Tam, skąd przychodzę, myśl włada i uczucie. Nie ma rzeczy, nie ma wyglądów, brak jadła i picia...

– Parszywe to miejsce widać... – warknął olbrzym i spojrzał znacząco na Bathy. Dziewczyna jednak siedziała sztywno i nie miała ochoty na żarty. Czekala, aż Dart wytłumaczy wszystko do końca.

– Z mojego barłżenia dwoje się urodziło – ciągnął spokojnie Dart. – Chłopak i dziewczynka... bo później urodziła się Tantra, matka dziecka, które ponoć oddaje śmierć śmierci... Czarny metal zna prawdę i nie może się mylić. On jest moim synem, jest bratem Tantry. Jest... – Jedno oko Darta patrzyło trzeźwo i przenikliwie. – Jest wujem dziecka...

– Idalgo? – zaśmiał się Human. – Wujem?

– Idalgo... Tak cię zwa – pokiwał głową posłaniec. – Masz moją krew... Tfu! Jaką krew? Moje myśli, moje uczucia... To wlało w ciebie i woła. Widziałem, jak walczysz. Inaczej niż ten olbrzym, inaczej niż ten ślepiec... Tak może bić się tylko myśl, która została zakuta w więzy. Kiedy się składasz, widać niewolę, garb, przeklęte śmiertelne ściervo, to cielsko nienażarte. Myśl, którą przeniosłem z mojego świata, ryczy w tobie mój synu i szuka ratunku... Tfu! Przeklęty nasz los...

– Prawda to? – Łapacz zwrócił się z tym pytaniem do Glassa. Tamten zrozumiał go natychmiast.

– Nie wiem, ale walczysz inaczej... – zaczął bez przekonania. – Twój przyjaciel uderza jak szermierz, jak mistrz, który zadał już tysiące pchnięć. Przypomina wytresowanego psa. Jedyna różnica między nim a mną siedzi tutaj. – Ślepiec pokazał palcem głowę. – On przeszedł tresurę, poznał szkołę mistrza i tak został, ja uwierzyłem, że jestem świadkiem miecza. Pewnie dlatego nie znam wahania i litości...

– Czy chcesz rzec, że wiary mi brak i ducha? – zapytał wyczekująco Human.

– Nie wierzysz w miecz, tylko w swoją rękę, olbrzymie – wyjaśnił ślepiec. – Chwytasz czas i nie boisz się życia. Ja nie zauważam czasu, nie liczę dni ani zjedzonych pieczeni. Idę drogą miecza... Jeśli zło staje na tej drodze, wtedy idę dalej... Uderzam w nie i zabijam. Pellegrisi czyszczą świat z życia, a ja z nienawiści. Jestem zwyczajnym świadkiem, ślepcem z kosturem, który wędruje od Kreporu po horyzont i wszędzie znajduje robotę. Nie ma we mnie miejsca na samotność. Wszędzie na mnie czekają.

Glass umilkł i zapadła cisza. Idalgo odwrócił się i ruszył w stronę koni, które skubały trawę wokół żaru ognisk. Bathy poderwała się z ziemi i pobiegła za nim. Kiedy wstawiała, z jej ust wydobył się ledwie słyszalny szept:

– Chodź...

Dlatego Human również zniknął w ciemności. Skrzydełka nosa Glassa rozszerzyły się, jakby przewidywały coś niezwykłego. Dart zauważył to i zapytał:

– O czym tak dumasz, ślepcze? O dziewczkach?

– Przybywasz ze złego świata – Glass stwierdził to tak, jakby odgryzał kolejną porcję prosiaka. – Czarny metal nie lubi gadać. A dziś wrzeszczał na ciebie i odrzucał. Pamiętaj, że jestem świadkiem i nie przypadkiem czas rzucił nas w tę dolinę...

– Padlina ze mnie teraz, połąć dla wilków i kruków – zgodził się zrezygnowany posłaniec. – Zostawili mnie... Nie mają siły i zostawili mnie w nim... – poklepał się po ramionach. – Umieram, chociaż byłem nieśmiertelny...

– Ciesz się. – Kostur drgnął i ślepiec wstał. – Może dlatego żyjesz. Masz wybór, chociaż myślisz, żeś przegrał.

– Szkoda, że nie wlażem w ciebie – westchnął Dart. – Może wtedy miałbym jakąś szansę?

Świadek tylko skrzywił twarz i wyszedł naprzeciw łapaczowi. Kiedy wsiadali na konie, zaświeciło słońce. Dolina przypominała miejsce po napadzie barbarzyńców. Kilkaset szczurzych trupów leżało wokoło z odrąbanymi rękami, nogami i łbami. Widać było, że te z rozciętymi brzuchami próbowały uciekać, wlokąc swoje flaki aż do wykrwawienia. Idalgo jechał pierwszy i liczył ciała. Poznawał swoje cięcia i sztychy. Z zawodowej ciekawości szukał ciał, które trafił miecz ślepca. One również nosiły charakterystyczne ślady. Przeważnie były głębsze. Niektóre upadły tak, jakby je ktoś starannie ułożył. Łapacz przypomniał sobie obrazy widziane w Górach Asty. Miejscowi górale rysowali w drzewie tych, którzy zginęli poćwiartowani toporami na kawałki. Szpon na skroni łapacza

zmarszczył się. Kiedy zobaczył osiem potężnych mutantów z odciętymi w tym samym miejscu barkami, obejrzał się i mruknął z podziwem. Glass jednak nie zareagował. Siedział sztywno w siodle, a na jego twarzy nie drgał żaden mięsień. Tylko Human, Dart i Bathy odwrócili głowy i pokiwali nimi z podziwu. Każde cięcie Glassa odrąbało lewy bark, dokładnie przecinając połowę serca szczura. Czerwony piasek blisko ciała zdradzał, że krew w chwili śmierci wylatywała z serca jak chluśnięcie lawy.

Zza otwartej bramy wynurzyli się pierwsi ciekawi. Najpierw ostrożnie, potem coraz śmielej wchodzili na teren obozowiska. Ponuro i w milczeniu przechodzili ostrożnie obok jadących. Niektórzy klękali i dotykali czoła. W ten sposób dziękowali nieznanym za zwycięską walkę. Nadchodził ich czas. Teraz mogli się zemścić. Znali tylko jeden sposób: kradzież.

Na trakcie prowadzącym w stronę księstwa Idalgo rzucił za siebie pozornie obojętnie:

– Nariaga, siwy szczur i Zdeb uciekli...

– Zdeb? – zdziwił się Human: – Sam widziałem, jak odrąbałeś mu gębę.

– Zabrali go – odparł łapacz. – Jeśli żywot z niego nie ujdzie, straszny widok nam zada, to pewne. Człek bez gęby do jedzenia niezdatny, a i żarcie przy nim paskudne. Potwór to będzie i od zemsty nie odstąpi.

– Siwy najgorszy – wtrącił ślepiec. – Opowiadali, że rasy coraz lepiej krzyżują i granic nie uznają żadnych. Słyszałem, po co was trzymali... Teraz i mnie nie odstąpią. Śmierć nam pisana albo szczurza niewola. Ckni im się armia szermierzy, mistrzów i zabijaków posłusznych jak byle mutant. Ten pomiot, cesarz Yc, jest nienapasiony... Klonów naszych chcą, żeby panować. Siwy gadał, że wystarczy im byle kropla krwi...

– Nie darują? – zapytała niepewnie dziewczyna. Sposób, w jaki zerkała na Humana, zdradzał, o kogo obawiała się najbardziej.

– Nigdy – syknął Idalgo. – To wyrok... – Łapacz przyjrzał się nagle uważniej dziewczynie i dodał przez ściśnięte zęby: – Jechałeś do Kreporu, do przyjaciół?

Bathy tylko pokręciła przecząco głową.

– Jak zginął? – zapytał wprost Idalgo.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Opuściła głowę i zacisnęła usta. Łapacz nie zatrzymał konia i nie zwolnił, powiedział tylko ni to do siebie, ni to w powietrze:

– Herling był moim przyjacielem. Znów jesteś bezpieczna, dziewczyno.

– Zapomnisz – odezwał się cicho Human. – Kiedy straciłem Blanka, też myślałem o śmierci... Nie można się poddać. Zawsze to ciekawość świata zostaje, a może i więcej. Byle do księcia...

– Byle do dziecka – odezwał się głucho Dart.

Nie odpowiedzieli mu. Nawet na niego nie spojrzeli. Był obcy i nie ufali w jego przyjaźń. Przeczuwali, że nie zdradził im wszystkiego i w przyszłości może w nich uderzyć. Posłaniec nosił tajemnicę, która dzieliła dotychczasowy świat na pół. Czarny metal nie mógł kłamać. Był tak samo obcy.

ROZDZIAŁ 14

Zasuszony czytacz odłożył księgę i pokornie schylił głowę. Księgę Syrius ośmielił go skinieniem.

– Brakuje, panie – wyszeptał ze strachem czytacz. – Brakuje stron...

– Znam historię – uciął Syrius. – Jaki jest koniec?

– Te strony zaginęły podczas... – usiłował chaotycznie tłumaczyć starzec.

– Wiem – przerwał po raz drugi księgę. – Chcę znać koniec przepowiedni.

Czytacz sprowadzony aż z za krainy mutantów, z nieznanego państwa Migop, wahał się. Widział na sobie wzrok jasnowidza Jaga i wydawało mu się, że nie zdoła ukryć tajemnicy. Z zewnątrz dolatywały do niego odgłosy walki. Wiedział, że księstwo przetrwa i zwycięży. Widział na własne oczy, jak zabici w boju obrońcy zamku Syriusa budzili się ponownie do życia i stawali na murach. Wystarczył dotyk dziecka, którego matka ani na chwilę nie wypuszczała z rąk. Czytacz z Migopu nie wiedział jednak, że życie można było zwrócić tylko dwa razy. Potem nikt już nie potrafił zatrzymać śmierci. Bał się i za wszelką cenę próbował odejść. Jag przysunął się do niego, położył mu rękę na ramieniu i szepnął:

– Boisz się własnej wiedzy... Czy wierzysz w zmianę losu? Jeżeli znasz zakończenie przepowiedni, jeżeli czytałeś je, co każe ci ukryć prawdę?

– Jeżeli powiem wam prawdę, która nie jest dobra, czy wtedy cokolwiek się zmieni? – odpowiedział poważnie czytacz.

– Obaj wiemy, że przepowiednia jest jak oddech. – Pergaminowa skóra na twarzy Jaga napięła się. – Może być gorączkowy i chory... Może też być zwyczajny...

– Zmuscacie mnie do złamania przysięgi – zaczął z innej strony czytacz.

– Dokładnie – potwierdził sztywno książę. – Za oknem giną moi ludzie i chcę wiedzieć, co mam im rzec. Przepowiednia mówi, że księstwo będzie potężne i wszystkie inne kraje będą się go lękały. To za mało, żeby pójść spokojnie spać...

– Czytacz, który łamie przysięgę, śmiercią jest karany... – wykrztusił starzec.

– Za przysługę nie nagradzam śmiercią – odezwał się Syrius.

Czytacz nawet na niego nie spojrział. Wpatrywał się w oczy Jaga. Tylko oni znali tajemnicę przysięgi. Śmierć musiała nadejść, aby powstrzymać zarazę. Zdrada rodziła chorobę, która zjadliwsza była od trucizny. O tym nie mogli jednak księciu powiedzieć. W spojrzeniu czytacza z Migopu zawarte było nieme pytanie. I strach przed śmiercią.

– Chodź – Jag pociągnął go w kąt komnaty. Książę nie zareagował. Przyglądał się w milczeniu bliźnie na swojej lewej ręce. Kiedy czytacz poczuł za plecami zimną ścianę, Jag cicho szepnął:

– Mów. Śmierć niech będzie moja...

– Dobrze, powiem ci – zgodził się z westchnieniem ulgi starzec. – Bądź gotów... – Zamknął oczy i zaczął monotonnym głosem. – Księstwo zwycięży. Będzie najpotężniejsze od tysięcy lat... Nawet barbarzyńska Szybgadia i plugawa kraina mutantów znajdą się na kolanach... Książę zostawi następcę, który żelazne rządy wprowadzi... Potęga nie potrwa jednak długo. Następcą zostanie otruty, a księstwo oszaleje... Wtedy nadejdzie ktoś obcy i zacznie nowe rządy. Wojsko, które nie będzie bało się

śmierci, wyruszy na dalekie podboje. Dziecko dorośnie i w klatce zostanie uwięzione. Matka jego odejdzie nie wiadomo gdzie...

– Powiedziałaś, że będzie w klatce? – wtrącił chłodno Jag.

– Będzie – potwierdził czytacz. – Aż do zniknięcia...

– Dokąd pójdzie? – zapytał z niepokojem jasnowidz Syriusa. – Po śmierć? Czy w ogóle może umrzeć?

– W księdze zostało napisane, że odejdzie – pokiwał głową czytacz. – Nic więcej.

– A jego matka? – nie rezygnował Jag. – Jak zniknie?

– Tak samo. Nic więcej nie ma... – rozłożył ręce czytacz.

Obaj odwrócili się w stronę księcia. Powoli, krok za krokiem, wychodzili naprzeciw swojemu przeznaczeniu. Czytacz był bezpieczny. Mógł odejść. Zdradę zostawiał na zamku księcia. Teraz Jag powinien się bać i przygotowywać na śmierć.

– Złe wieści? – Pytanie księcia zabrzmiało jak wyrok.

– Złe, panie – zgodził się Jag. – Szkoda o tym opowiadać...

– Czy możemy coś zmienić? – zapytał z drżeniem w głosie Syrius.

– Nie wiem, panie – odparł Jag. – Jeśli powiem, co usłyszałem, będę musiał zginąć...

– Wiesz dobrze, że życie możesz odzyskać... – uspokoił go książę.

– Jedno życie nic nie znaczy, panie – zaczął z trudem Jag. – Przepowiednia nie daje odpowiedzi. To los, a na to nie ma lekarstwa. Księga widzi naszą potęgę, twoją śmierć, panie, następcę i obcego... Następcą zostanie otruty, a obcy uwięzi dziecko...

– Kiedy? – Diamentowe oko księcia błysnęło w świetle pochodni.

– Nie wiem... – Ostatni wyraz Jag prawie wykrzyczał.

Kilka sekund wcześniej drzwi komnaty otworzyły się cicho, po czym nieruchome, ciężkie powietrze przeciął świst topora. Książę został trafiony

dokładnie między oczy, a jego głowa rozprysła się jak tykwa. Diament wysunął się z oczodołu i potoczył po posadzce w kierunku Jaga. Dwaj żołnierze zareagowali zbyt późno. Drzwi zatrzasnęły się i ktoś przekręcił w nich klucz. Jag zapamiętał zabójcę. Rozpoznał włochatą czuprynę, brodę i ręce. Waldo, przekupny handlarz niewolników, nie chybił. Wyleczył się dzięki dotknięciu dziecka, opowiedział wszystko o planach mutantów i bez tortur znalazł się w ciemnicy. Jag nie domyślał się nawet, w jaki sposób zdrajca zdołał się stamtąd wydostać.

Jedno spojrzenie wystarczyło, aby stwierdzić, że dla księcia nie było już ratunku. Dziecko zwyciężało śmierć tylko wtedy, gdy ciało pozostawało w całości. Tutaj nie było co zbierać. Roztrzaskana głowa przestała istnieć. Żołnierze rzucili się do drzwi i próbowali je sforsować. W końcu ktoś z zewnątrz przekręcił klucz i wydostali się z komnaty. Czytacz z Migopu leżał omdlały na posadzce, a Jag stał w oknie i zastanawiał się, jak powinien postąpić. Kiedy wbiegła Uka i rozległ się jej krzyk, czytacz odwrócił głowę i stwierdził:

– To prawdziwa śmierć. Będzie boleć...

– Kto, kto go zabił? – powtarzała zapłakana dziewczyna, klęcząc nad ciałem. – Gdzie byli żołnierze? Zdradziłeś go...

– Waldo – powiedział cicho Jag. – Ten pies skundlony z barbarzyńcami uwolnił się i przyszedł tu...

Czytacz z Migopu otworzył oczy i nieprzytomnie rozejrzał się dookoła. Powoli zaczął wstawać. Widać było, że jeżeli jeszcze raz spojrzy na zakrwawioną posadzkę, to zemdleje ponownie. Jag podał mu nóż księcia z ostrzem w kolorze palonej pomarańczy. Czytacz z lękiem cofnął dłoń.

– Zaraza albo śmierć, bracie – uśmiechnął się krzywo Jag. Nazwał go bratem, co miało podkreślić przynależność obu do rzadkiej i wymierającej rasy starych czytaczy.

Tamten zamknął na chwilę oczy, wziął nóż, zacisnął szczęki i z całej siły wbił ostrze w brzuch Jaga.

– Jeszcze raz... – wykrztusił Jag z zaciśniętymi z bólu zębami. Tym razem ostrze trafiło go dokładnie w serce.

W tym samym momencie Waldo zbiegł po schodach i znalazł się na dziedzińcu. W zamku unosiły się kłęby dymu. W olbrzymich garach gotowała się woda, na ogniskach obok pieczono owce, a kadzie ze smołą do strzał śmierdziały już z daleka. Wszędzie kręciło się mnóstwo ludzi. Kobiety opatrywały rannych, żołnierze nie ustawiali w strzelaniu do atakujących barbarzyńców, a pozostali mieszkańcy wnosili na mury kamienie i ciskali nimi w dół. Wszędzie było pełno krwi, jęków i nawoływań. Waldo ściągnął z trupa żołnierza z roztrzaskaną głową ubranie i przebrał się. Teraz przypominał oficera jazdy księcia Syriusa. Broń, którą znalazł u boku tamtego, również sobie przypasał.

Regularna bitwa, jaka od kilku dni toczyła się w zamku, powoli słabła. Obie strony zaczynały odczuwać zmęczenie. Mutanty, które ginęły pod murami całymi tysiącami, straciły większość swoich dowódców. Brak rąk do grzebania zwłok zabitych w każdej chwili groził zarazą. Nad okolicą zaczynał unosić się mdły odór rozkładających się ciał. Szczurom nie pomogło nawet nagłe wsparcie od morza. Barbarzyńcy, którzy zaatakowali o świcie kilkudziesięcioma łodziami, rozbili się o gąszcz płonących strzał i kamieni. Początkowa liczebna przewaga atakujących wyrównała się, kiedy zabici w walce ludzie Syriusa odzyskiwali życie. Tantra z dzieckiem na rękę nie próżnowała. Pojawiała się zawsze, ilekroć była wzywana. Mieszkańcy zamku przyzwyczaili się do jej obecności i tajemniczej siły dziecka. Początkowo omijali oboje w milczeniu, stopniowo jednak uznawali ich poświęcenie i odmienność za normalne. Czasami całowali matkę w rękę i dotykali czołami jej butów. Mimo walki i niedostatku czuli

się bezpieczni. Życia nie odzyskiwali tylko nieliczni. Ci, którzy zostali rozrąbani lub ściągnięci z murów i rozdarci hakami na kawałki.

Waldo nie wiedział, że od strony Kreporu uderzyły w tyły wojsk mutantów zebrane oddziały królestwa. Szczury musiały wycofać większą część swoich żołnierzy i ponownie odzyskiwać Krepor. Tym razem nie było to łatwe. Zdrada nie skutkowała, a nagłe ataki nie wchodziły w grę, ponieważ wszystko znajdowało się w ich rękach. Teraz żołnierze Kreporu zniecka odzyskiwali stracone osady i zamki.

Waldo wszedł na mury z wielkim kamieniem i udawał, że zamierza go rzucić na wspinających się barbarzyńców. Podstępnie zepchnął w dół dwóch żołnierzy księcia, a trzeciego zranił nożem w plecy. Kiedy obrońcy zorientowali się, że mają przy sobie zdrajcę, rzucili się w jego stronę. Handlarz nie mógł dłużej czekać. Odbił się i skoczył w morze. Zetknięcie z wodą o mało go nie zabiło. Zimne fale przeniknęły go aż do kości i prawie natychmiast wywołały dreszcze. Przeklinał w duszy tę drogę ucieczki, ale nic lepszego nie wymyślił. Wynurzył się tuż przed dziobem podpływającej pod mur łodzi. Znowż zanurkował i po chwili chwycił się za burtę.

– Gdzie, psie Syriusa! – Usłyszał ryk brodatego barbarzyńcy z ustami przypominającymi rozdeptany placek. Zanim ostrze miecza odcięło mu dłonie, cofnął się, po czym błyskawicznie uderzył przedramieniem w opadające na burtę ostrze. Pękło jak drzazga nadepnięta butem.

– Stój, jestem Waldo! – ryknął, widząc kolejny zamach barbarzyńcy.

– A ja jestem Janos i odrąbię ci łeb! – odpowiedział mu z pogardą barbarzyńca i wykonał drugie cięcie.

Handlarz odpłynął od łodzi i próbował dostrzec sylwetkę Abotta. Król barbarzyńców stał na największej łodzi i klął, miotając się z wściekłości we wszystkie strony. Wymachiwał przy tym toporem i raz po raz nakazywał swoim ludziom wspinać się na mury. Nie obchodziło go to, że już przeszło

połowa z nich leżała martwa na dnie morza. Waldo płynął w jego stronę i modlił się, aby nikt go nie zauważył. Kilkakrotnie omal nie zginął od kamieni ciskanych z góry. Kiedy podpłynął pod łódź i chwycił za drabinę prowadzącą na pokład, zobaczył wychylającego się Abotta z toporem gotowym do rzutu.

– To ja, Waldo! – okrzyk przypominał spazm w chwili agonii.

Ręka barbarzyńskiego króla znieruchomiała w ostatnim momencie. Poznał handlarza i na jego twarzy pojawił się wredny uśmiech. Waldo wspiął się na pokład i opadł przed tamtym na kolana.

– Gdzieś się podziewał, wszawy kundlu? – warknął Abott. Jego ludzie spode łba przyglądali się przybyszowi. – Co to za parszywe łachy masz na karku? Z Syriusem teraz trzymasz?

– Panie, uciekłem od niego – tłumaczył pospiesznie Waldo. Wiedział, że w każdej chwili cierpliwość barbarzyńcy może się skończyć i nastąpi wówczas wybuch szału.

– Miałeś mi przywlec dzieciaka... – przypomniał ponuro Abott. – Może stary Syrius cię przepłacił, co?

– Panie, on nie żyje – zawołał histerycznie Waldo. Był sprytny i potrafił udawać.

– Kto? – zainteresował się barbarzyńca.

– Książę Syrius... Ubiłem go toporem.

Na łodzi zapanowała cisza. Barbarzyńcy z ciekawością zaczęli przyglądać się handlarzowi. Nie ufali mu.

– Powiadasz, żeś ubił Syriusa... – powiedział głośno Abott. – Toporem... A coś tam robił, śmierdzieliu?

– W ciemnicy byłem – odparł nieco pewniejszym tonem handlarz. – Na chlebie i wodzie... Nie przykuli mnie, to i strażnika obaliłem. Łeb mu wywichnąłem i zdeptałem na miazgę...

– Dziecko w zamku? – zapytał podejrzliwie Abott.

– Podobno – odparł ostrożnie Waldo. – Nie widziałem...

Kopniak, który otrzymał od króla barbarzyńców, odjął mu mowę. Jego krocze zafalowało z bólu, a w ustach pojawiła się gwałtowna suchość. Upadł na deski łodzi, nie wydając z siebie głosu. Tylko przyspieszony, świszczący oddech zdradzał, że jeszcze żył. Czuł pod palcami, że można zaczyna mu nabrzmiewać.

– Ty padlino! Ty ścierwi pomioście! Ty gadzie oślizły... – charczał z pianą na ustach Abott. – Miałeś mi przywlec dzieciaka. W zamku byłeś i własną rzyć ratowałeś? Ty wyrodku zasrany! Bez dzieciaka...

– Panie... – wysyczał wreszcie Waldo. – Przysięgam na gardło, że nie było jak...

Podkuty but Abotta spadł na nogę handlarza i zaczął ją miażdżyć. Twarz Walda stała się czerwona i wydawało się, że zaraz wybuchnie. Barbarzyńcy czekali tylko na znak, żeby odciąć handlarzowi głowę.

– Pójdiesz tam i robotę wykonasz – zdecydował z nienawiścią barbarzyńca. – Wolałbym cię hakami rozedrzeć, ale zły czas nastał i dlatego dam ci szansę. Masz tam wrócić i dzieciaka przywlec...

– Nie ma drogi, panie... – próbował oponować handlarz. – Wszędzie krew i przejścia zabite... Żołnierze Syriusa życie odzyskują i śmierć za nic mają... Bogowie nas chyba przeklęli...

– Zawrzyj pysk, obierzyno! – huknął na niego Abott. – Wrócisz tam i sprytem się wykręcisz. Od bramy pójdiesz... – Topór niebezpiecznie podniósł się do góry i Waldo zamilkł, zanim cokolwiek powiedział. – Weźmiesz czterech moich ludzi w powrozach i zawleciesz do zamku... Jeśli Syrius rozplątany, jak gadasz, to wpuszczą was, a ciebie za swojego uznają. Języka im trzeba, to pewne... Czyś pojął wszystko, co rzekłem, psie?

Handlarz nie dyskutował. Podniósł się z desek i nerwowo masował sobie obrzmiąłą mosznę. Przekrwionym wzrokiem potoczył po czerwonych, naznaczonych dziesiątkami blizn gębach wojowników Abotta.

– Zarąbią ich, panie – odezwał się ostrożnie. – Na tortury wezmą i zarąbią...

– Zwykła rzecz w tym fachu – uciął Abott. – Przynajmniej reszta się nie wykruszy... A kto wie, może dzieciak ich ożywi? Wy czterej, zostawić broń i w powrozy...

Barbarzyńcy wskazani palcem ugięli się jak pod naporem huraganu. Ogolone głowy pochyliły się ku deskom łodzi, a topory bez marudzenia upadły pod nogi króla Abotta. Na ich twarzach widać było przerażenie. Waldo skrzywił się z satysfakcją i splunął za burtę. Wiedział jednak, że dla niego powrót do zamku był niemożliwy. Widziano go, kiedy rzucał toporem w księcia, i to właśnie przekreślało powodzenie podstępnej akcji. Abott zachowywał się tak, jakby w ogóle o tym nie myślał. Waldo zawahał się, po czym najspokojniej, jak potrafił, zapytał:

– A jeśli mnie rozpoznają? Paru mnie widziało...

– To wyprują ci flaki i zrzucą z muru – zarechotał Abott. – Ryby się nażrą...

Handlarz skinął głową, że zrozumiał. Barbarzyńca popatrzył z góry na ludzi, których przeznaczył na stracenie. Kudłate, zmierzwione czupryny i zacięte usta upodobiały ich do drewnianych figurek prymitywnych ludów ze wschodu. Niskie czoła świadczyły o braku wyobraźni, a potężne barki o drzemiącej w nich zwierzęcej sile. Widać było, że gotowali się na śmierć. Abott rozejrzał się po pozostałych swoich ludziach i donośnie zawołał:

– Krwi mi się chce! Nasi bracia żłopiają wodę nie na darmo... Syrius zdechł. Ten oto handlarz niewolników rozwalił mu czerep toporem, a teraz

wróci tam i wykradnie im dzieciaka... Jego matkę możesz se wychędożyć...
– Śmiech zadudnił po pokładzie. – Jak zdążysz...

Waldo poprawił miecz przy boku i podniósł spod nóg Abotta siekiere.

– Poręczniejsza będzie – powiedział pod nosem. – Byle mnie od morza wpuścili... Mogą mostu nie opuścić...

– Opuszczą – stwierdził z przebiegłym uśmiechem Abott. – Zadmijcie w trąby do odwrotu. A ty, psie, masz mi przywlec dzieciaka albo znaleźć cię i rzyć przypalę pochodnią...

Waldo nie zdążył odpowiedzieć, ponieważ poczuł, jak w jego mózg wbija się gwałtownie czerń. Zakręciło mu się w głowie, po czym niewidzialna jasność wypaliła mu wolę. Kiedy otworzył oczy, był już całkowicie innym człowiekiem. Siekiera sama znalazła się w górze i obuchem spadła na lewy burt Abotta. Król nie zareagował. Z otwartymi ze zdziwienia oczami obserwował drugie uderzenie, które trafiło go w prawe ramię. Całkowicie odmieniony Waldo wyszarpnął miecz i ciął nim po twarzach stojących najbliżej barbarzyńców. Czterech z nich przewróciło się i bluznęło krwią pod własne nogi. Okrzyki wściekłości zamarły w gardłach pozostałych, gdy zobaczyli, że ich król stoi nieruchomo z ostrzem miecza na gardle. Waldo chwycił go od tyłu i trzymał w żelaznym uścisku.

– Won, bo zarżnę go jak barana! – ryknął donośnie handlarz. – Do brzegu, byle szybko...

Barbarzyńcy powoli dotknęli wiosł i skierowali łódź do niewielkiego rybackiego portu. Atakujący zauważyli niebezpieczeństwo i przestali walczyć. Wycofywali łodzie na bezpieczną odległość i czekali na błąd Walda. Tamten jednak znał swoje rzemiosło, ponieważ ani na sekundę nie odsuwał ostrza od szyi Abotta. Oparł się plecami o krótki maszt i nie spuszczał barbarzyńców z oczu.

– Ani mi się waźcie skakać... – charczał przez zęby król. – Ten pies wypatroszy mi gardło, zanim zdążycie pierdnąć... Czego chcesz?

– Każ im odpłynąć do Szybhadii – rozkazał Waldo. – I to już...

Abott wykrzywił się, jakby wbijano go na pal, i syknął z wściekłością:

– Do domu... Macie odpłynąć...

– Jeśli knuć będą, wypruję ci bebechy i lisom rzucę w lesie... – ostrzegł cicho handlarz.

Dobili do portu. Waldo wydostał się tyłem na drewniany pomost, ciągnąc za sobą Abotta. Sapał przy tym z wysiłku i zdenerwowania. Kiedy łódź z wojownikami Abotta oddaliła się, handlarz ruszył w stronę oddziałów mutantów. Kręciły się w oddali, przygotowując kolejne natarcie. Z daleka widać było, że zostały silnie przerzedzone i w pośpiechu formowały szyki. Waldo odgadł, że niektórzy wycofywali się do lasu, inni czaili się do skoku na mury. Prowadził przed sobą Abotta i modlił się, żeby nie natknąć się na zdziczały podjazd lub zabłąkaną strzałę. W oparach mgły, dymu i błocie posuwał się do przodu. Z bliska mógł ocenić, ile setek szczurów oddało życie na przedpolach zamku Syriusa. Leżały całymi kupami. Zabite dzidami, strzałami lub kamieniami miotanymi z olbrzymich katapult. Niektóre miały rany od miecza. Tuż obok nich leżeli zabici żołnierze księcia. Handlarz odgadł, że jazda Syriusa nie próżnowała. Wypadki były nagłe i krwawe. W bezlitosnym boju poginęły nawet szlachetne, latami szkolone konie. Trupy zaściełały prawie całą ziemię wokół zamku.

– Puść mnie, a dam ci monet, ile zechcesz... – wycedził przez zęby Abott.

Im bliżej szczurów, tym większy strach opanowywał barbarzyńcę. Zbyt dużo miał na sumieniu, aby łądzić się, że mutanty nie rozpoznają go i darują życie. Przez całe lata zapuszczał się do ich krainy, palił ją, grabił i

porywał mieszkańców w niewolę. Silni byli, wytrwali i karni. Sprzedani daleko poza granicami Kreporu, Wizydonu, Lopmellii czy w Górach Asty posłusznie uprawiali pola, budowali zamki, chaty lub obszerne obronne budowle. Wystarczyło im dać do syta wziętych w niewolę dziewczek, a zapominali o buntach i stawali się łagodni jak baranki.

Oddział szczurów musiał zauważyć obcych, ponieważ pięć postaci w habitach ruszyło w ich stronę. Po drodze wyciągali miecze. Kiedy zatrzymali się przed Waldem, smród szczurzego potu, moczu i odchodów uderzył handlarza w nozdrza. Abott również zmarszczył nos i zakasłał. Nie odezwał się jednak. Zżuł w ustach przekleństwo. Mutant z pyskiem owiniętym płótnem pokazał mieczem na Abotta i zapytał:

– Śmierci szukasz, czyś słowem chroniony?

– Od Nariagi jestem – odparł spokojnie Waldo. – Ogarnęli nas Syriusowi, wybili, a mnie udało się uciec... Zamek wasz, a starego przepełowiłem...

Mutant łypnął na handlarza i powiedział:

– Ruszaj. A tego gada skądś znam... – Szczurzy pazur skierował się na Abotta. – Ktoś ty, że miecz na gardlenosisz?

– Nikt ważny, panie... – Barbarzyńca dopiero teraz zaczął się naprawdę trząść ze strachu. Handlarz zaśmiał się głośno i pogardliwie. Szli za koniem, a miecz na szyi naciął już skórę i lekko zabarwił się na czerwono.

– Łżesz, gnido! – stwierdził nieufnie jeden ze szczurów. – Za takie gadanie mogę cię powiesić za jaja na tamtych drzewach...

– Panie... – zaczął Abott, ale ostrze miecza mutantu dźgnęło go lekko w brzuch.

– Za „pana” karzemy długo i boleśnie... – syknął szczur. – A za...

Mutant przerwał, ponieważ z lasu wyłonił się oddział wiozący na wozie długie pale z zatkniętymi na ich wierzchołkach ludzkimi głowami. Waldo i

Abott zatrzymali się, podobnie jak eskortujące ich szczury. W milczeniu przyglądali się zakrwawionym głowom. Kiedy pale zostały wbite w ziemię, a twarze zabitych skierowane w stronę zamku, Waldo zduszonym głosem zapytał:

– Co to za ludzie? Ani barwy nie mają, ani odznak...

Powracające z wozem mutanty spojrzały na niego spode łba, a jeden z nich burknął:

– Cesarza im się zachciało. Krwi naszego Yca... Gap się, może rozpoznasz swojaka, kundlu... Ten najwyżej, to graf. Wołali na niego, Donahue... Kwiczał jak prosię, kiedyśmy mu gardziel na żywca piłowali...

– Zdrajca?

– Gorzej – odpowiedział mutant i splunął na ziemię. – Nasłany przez Krepor. Daleko zaszli, ścierwa...

– Za daleko – zawołał przez ramię drugi mutant. – Na szczęście szczury tygrysie ich wypatroszyły...

Oddział z pustym wozem oddalił się i Waldo poczuł na plecach lekkie kopnięcie. Obejrzał się z irytacją i pociągnął ze sobą Abotta. Mutanty stały się nagle rozdrażnione i agresywne. Widać było, że widok zatkniętych głów nastroił je do walki. Weszli do lasu i zbliżyli się do rozłożystego namiotu z kozich skór. Wokoło panował gorączkowy ruch. Większość szczurów zwijała swoje obozowiska, ustawiała się w kolumny marszowe i wycofywała na południe. Zostawali tylko konni. Przed namiotem Waldo dostrzegł Nariagę i starego, siwego szczura. Pogrążeni byli w rozmowie. Za ich plecami, przy wejściu do namiotu, stały cztery mutanty tygrysie. Dopiero teraz Waldo zauważył, że na koniach siedzą prawie wyłącznie szczury z tygrysimi paszczami. Oni zostawali. Otaczali namiot i przygotowywali się do natarcia. Handlarz rzucił na ziemię Abotta, przydepnął mu plecy i głęboko odetchnął. Ruchem ręki dał znać, że

chciałby porozmawiać z Nariagą. Szczury obrzuciły go lekceważącym spojrzeniem i odjechały, zostawiając dwa spośród siebie przy jeńcach.

– Z Nariagą chcę gadać – odezwał się głośno Waldo. – Zna mnie i poręczy...

– Za kogo mam ręczyć? – zawołał od niechcienia dowódca szczurów. Najwyraźniej usłyszał i rozpoznał przybysza.

– Waldo jestem! – odkrzyknął z godnością handlarz. – Z oddziałem mnie wysłałeś...

– Zbliź się, kmiecie! – krzyknął Nariaga, po czym szepnął coś do ucha siwemu mutantowi. Obaj roześmieli się piskliwie.

Waldo pociągnął za sobą Abotta i rzucił go pod nogi Nariadze. Oddychał tak, jakby hamował wściekłość.

– Perłę ci przywiódłem, panie Nariaga – odezwał się z naciskiem handlarz. – Długo musiałyś węszyć, żeby takiego ptaka schwytać...

– W gębie jesteś mocny, handlarzu – uciał dowódca szczurów. – Warto ci wyparzyć kark, żebyś spokorniał. Zważ, co pleciesz, bo stoisz przed jednym z naszych mędrców...

– Mędrzec on czy nie mędrzec, rozum swój na pewno ma – odparł, pocierając ostrze miecza o brzuch leżącego Abotta.

– Pewnie mam – zaśmiał się jadowicie siwy szczur. W jego małych oczkach pojawiły się niebezpieczne ogniki. Gdyby Waldo był inteligentniejszy, wiedziałby, że siwe mutanty niczego tak nie cenią, jak poczucia własnej godności. Wyłącznie pochlebstwami i ślepym posłuszeństwem można było utrzymać się przy nich na służbie. Słowa handlarza zaryły się w mózg szczurzego mędrca i pozostawiły tam krwawiącą ranę. Nariaga odgadł, co się stało, i otwartą ręką zdzielił handlarza w twarz. Tamten zatoczył się, ale jego miecz nawet nie drgnął.

Kątem oka widział cztery tygrysie szczury, które nie spuszczały z niego zimnego spojrzenia.

– Teraz możesz gadać – syknął Nariaga.

Waldo chciał odpowiedzieć, ale jego uwagę skupił człowiek z obwiązaną szmatami i liśćmi twarzą. Wydawało mu się, że rozpoznał czoło i oczy kogoś, kogo znał. Człowiek ów szedł powolnym krokiem w ich stronę. Kiedy znalazł się kilka kroków przed nimi, Waldo rozpoznał go i zaśmiał się wrednie.

– Zdeb... Dowódca straży w Grwaldzie... Kto ci tak mordę oskrobał?

Zdeb również rozpoznał handlarza, bo wykonał rękami bliżej nieokreślony gest. Waldo jednak doskonale to zrozumiał.

– Nie, nie... – zarechotał. – Sam się pocałuj w rzyć... Ciekawe. Kto cię tak sięgnął? Mistrz to musiał być, nie ma co...

Siwy szczur łypnął na handlarza po raz drugi. Nariaga odruchowo oparł rękę na mieczu, a szczury tygrysie poruszyły lekko wąsami. Handlarz jednak nie przerywał.

– Szczękę zostawiłeś na ostrzu Idalga. – Głos Walda zabrzmiał jak wyrok. – Stałeś, kpie, na drodze mistrza i urwało ci ten zdradziecki ryj...

– Rzeknij jeszcze słowo, a zobaczysz na piachu swój własny – przerwał mu z piskiem siwy szczur. Jego sierść nastroszyła się, a biały habit zaczął drżeć. Wielkie ręce szczurów tygryskich opadły na rękojeści mieczów. Waldo zamilkł na moment, po czym pokazał na Abotta.

– Poznacie? – zapytał z satysfakcją. – Abbott, król barbarzyńców...

Reakcja siwego mutantu była natychmiastowa. Pochylił się nad leżącym i pisnął:

– Co z twoim wojskiem?

– Cofają się... – wycharczał barbarzyńca.

– To źle – stwierdził krótko szczur. – My także musimy się cofać. Krepor odżył i zaatakował... Dziecko nam potrzebne, życie i mutacje...

Ostatnie słowa mutant wypowiedział na wpół do siebie. Nie zważał na miecz Walda, na zdziwionego Nariagę i stąpającego niemrawo z nogi na nogę rannego Zdeba. Był poruszony i wściekły. Podniósł wzrok na handlarza i wprost zapytał:

– Po coś go przywłókł?

– Na handel – odrzekł poważnie Waldo. – Głowę ratowałem i plan mam...

– Gadaj – ponaglił go Nariaga.

– Usiekłem Syriusa, że i dzieciak mu nie pomoże – wyjaśnił handlarz. – Jego ludzie są jak cielsko z urwanym czerepem, z cesarzem chcę gadać...

Siwy szczur zacisnął szczęki i zabulgotało mu w gardle.

– Z kim? – Nariaga nie pytał, raczej groził.

– Z Ycem – odpowiedział dosadnie Waldo. – Chcecie mieć dzieciaka i zamek, to prowadźcie do cesarza...

Zapadła cisza. Handlarz wiedział, że ważyły się jego losy. Nie robiło to jednak na nim wrażenia. Postawił wszystko na jedną kartę i wiedział, że powinno mu się udać. Pierwszy poruszył się Zdeb. Pokiwał obwiązaną głową, chwiejąc się jak kukła. Nariaga udał, że tego nie zauważył. Siwy szczur odwrócił się nagle i bez słowa ruszył do olbrzymiego namiotu. Wszedł do środka, a czterej strażnicy oblizali tygrysie wąsy.

Po kilku minutach z namiotu wyłoniła się głowa cesarza Yca. Handlarz z odrazą wpatrywał się w maleńkie, szczurze oczka i zwisające z pyska grube fałdy skóry. Cesarz mutantów był mały, karłowata powyginany i nieproporcjonalny. Jego brzuch był nienaturalnie wzdęty, a policzki przypominały uszy słonia. Waldo domyślił się, że ma do czynienia z ustawicznym biesiadnikiem i żarłokiem. Nawet teraz Yc gryzł mięso

opieczone na bawolej kości. Zbliżył się do handlarza i pogroził mu kością przed nosem. Tuż obok niego z mieczami przygotowanymi do uderzenia posuwały się cztery szczury tygrysie. Waldo starał się nie poruszać. Trzymał ostrze swojego miecza na gardle Abotta i przyglądał się legendarnemu cesarzowi mutantów. Yc spuścił właśnie wzrok i spokojnie żuł odgryziony kawałek mięsa.

– Tak skończyłeś... – szepnęła ochryplym, grubym głosem cesarz.

– Też tak skończysz – odparł z drwiną Abott.

– Graf Donahue już tak myślał – stwierdził sucho Yc. – Jego głowa siedzi na palu...

– Czuję, że coś jest nie tak... – zaczął ostrożnie Abott. – Ludzie zachowują się dziwnie. Wojna nie toczy się zwyczajnie... Dziecko wzbudziło coś jeszcze. Nie wiem co, ale wcale mi się to nie podoba... Zwyczajny, stary świat gryzie ziemię, Yc. Gadam ci to jako król i jako jeniec. Też nie wierzyłem w parszywy los...

– Chcę go tam zabrać – odezwał się Waldo. – Wtedy mnie wpuszczą.

– A co mi do tego? – zapytał podejrzliwie cesarz.

– Jeśli dacie mi konia i białą szmatę na kiju, to bramę uchylą – wyjaśnił Waldo.

– A na co ci ja? – naciskał lekko poirytowany Yc.

– Ktoś powinien mnie pożegnać... – Waldo tyle tylko zdążył powiedzieć, ponieważ na jego twarz spadło uderzenie ręki Nariagi.

– Zamilcz, wszo! – ryknął dowódca szczurów. – Do cesarza gadasz.

– To wiem – odparł Waldo, rozmasowując sobie obolałe policzki. – W zamku powinni wiedzieć, że cesarz wysyła mnie z podarunkiem. Trzeba ich przechytryć...

– Może i masz rację – pokiwał głową Yc.

Cesarz nie zdążył skończyć, ponieważ z boku doleciał złowróżbny pomruk mutantów tygrysich. Wszyscy spojrzeli w kierunku czterech wozów, na których piętrzyły się zwłoki zabitych szczurów. Wjeżdżały właśnie na polankę w pobliżu namiotu. Jeden z przybyłych mutantów podbiegł do cesarza, skłonił się i z pewnej odległości zaczął mówić:

– To nasi poborcy... Znaleźliśmy ich na trakcie. Tam, gdzie rozstaje... Zda mi się, że ich oddziały rozbite, a oni wysłani do nas na złość, panie...

– Poborcy? – zdziwił się Yc. – Wszyscy?

– Co do jednego, panie – potwierdził szczur. – Prawie setka... Zadźgani i z odciętymi łapami...

– Nigdy nie słyszałem, żeby poborcy tak płacili. – Refleksja cesarza wywołała na twarzy Walda uśmiech.

– Trzymaj pysk na wodzy, handlarzu, bo sam stracisz łapy – warknął do niego Nariaga. Zdeb tylko pokiwał głową, że się zgadza. Zmęczony drogą szczur skłonił się przed cesarzem i odszedł w stronę wozów.

– W Kreporze poborca bierze swoje raz do roku i więcej nie szuka – kontynuował Waldo. – Wiadomo, ile i po co... Myślałeś, Yc... – Handlarz uchylił się przed uderzeniem Nariagi i zaklął: – Gównu z ciebie, a nie wojownik, Nariaga... – Cesarz uspokoił swojego dowódcę gestem. – Myślałeś, Yc, że puścisz swoje szczury ze smyczy i zagarną wszystko? Żarcie, zapasy, monety? Był czas, kiedy królowie próbowali tutaj brać więcej niż trzeba i poląła się krew. Wyrznęli wszystkich poborców...

– Kto? – przerwał cesarz.

– Zgromadzeni – odpowiedział Waldo. – Tylko tyle o nich wiadomo. Są, patrzą i nie pozwalają na kradzież...

– Poborca to nie złodziej, psie – odezwał się Nariaga.

– Gorzej, jeśli umiaru nie zna – odciął się handlarz. – Wtedy przypomina padlinę, która o zapachu bredzi...

– Niech będzie. – Cesarz podjął decyzję i skinął głową do swoich czterech szczurów. – Dać mu konia, białą szmatę i niech jedzie... W nocy, z pochodnią... Zanim bramę zamkną, macie być w środku.

Mutanty tygrysie tylko poruszyły wąsami. Widać było, że rwały się do walki, a monotonna straż mocno je zmęczyła.

– Tutaj masz siedzieć – rozkazał handlarzowi Nariaga, widząc plecy odchodzącego do namiotu cesarza. – On też – pokazał Abotta. – Dać im żreć i nie spuszczać z oka. – Ostatni rozkaz skierowany był do zsiadających z koni przybyłych właśnie mutantów tygrysi. Skinęły tylko głowami i po chwili otoczyły Walda i Abotta ciasnym kręgiem. Czyściły broń, jadły, rozpałały ogniska i nie spuszczały wzroku z ludzi.

Waldo poczuł, że znowu ktoś próbuje wdrzeć się w jego myśli. Wiedział, skąd ten ktoś przychodził i czego chciał. W ciele handlarza żadne porozumienie nie było możliwe. Gdyby spróbował odejść, uwolnić się i powrócić do swoich, spotkałaby go kara. W krótkich chwilach wolności, kiedy znajdował się poza ciałami, mógł porozumieć się ze swoimi i odnaleźć w nich strach. Nigdy wcześniej czegoś podobnego nie doświadczali. Wyglądało to na zarazę przywleczoną z tej ziemi. Waldo otrząsnął się, ale strach nie mijał. Istoty, z którymi żył w równoległym czasie, za wszelką cenę domagały się jego kontaktu z dzieckiem. Pustka, jaka wtargnęła w tamten świat, zniknięcia i brak porozumienia groziły zagładą. W czasie trwającym bez końca nikt nie chciał pogodzić się ze śmiercią. Nie rozumiano jej i nie chciano rozumieć. Pętla czasu owinęła się wokół niewidzialnego i coraz częściej zabijała. Handlarz otarł pot z czoła i szeptał sobie w duszy, że po zmroku dotrze do dziecka i wykona swoją misję. Nie miał zresztą drogi powrotu.

ROZDZIAŁ 15

Dłoń na piersi Bathy znieruchomiała. Dziewczyna również leżała sztywno i starała się nie drzeć. Czekala na to wystarczająco długo. Ich mały oddział posuwał się do przodu starym traktem. Glass zapewnił ich, że tak będzie bezpieczniej i szybciej. Nie mieli zresztą wyjścia. Szczury nie zrezygnowały z nich. Genetycznie stanowili niezastąpiony materiał. Ich klony mogłyby w przyszłości opanować każde królestwo. Mogłyby też walczyć ze sobą. Idalgo, Human i Glass wyobrazili sobie potyczkę, w której byłiby swoimi własnymi przeciwnikami. To nie mógł być świat, o jakim marzyli i w jakim żyli. Ślepiec zapewnił ich, że nie byli wyjątkami. Mutanty rozpoczęły klonowanie mistrzów miecza już przed laty. Nie było ich jednak wielu, a kolejne próby nie owocowały całymi oddziałami. Klony umierały bądź ginęły w walce. Nie wystarczyło posiadać gen, trzeba było również mieć nauczyciela. Tylko wówczas udawało się stworzyć mistrza. Białe szczury dobrze to rozumiały. Ludzie byli inni i nie można było kierować nimi jak szczurami. Klony nie chciały słuchać rozkazów, poszukiwały przyjaźni i niezależności. W każdym geście i słowie próbowały odnaleźć jakąś filozofię.

Dzień i noc mutanty krążyły wokół grupy uciekinierów i starały się znaleźć dogodny moment na atak. Nie ryzykowały jednak uderzenia wprost. Zrezygnowały z jakiegokolwiek walki na miecze. Przez pierwsze dni Idalgo myślał, że próbowały ostudzić ich czujność. Później uznał, że czekały na większy oddział szczurów, aby zaatakować ich podczas snu i po

prostu zadusić własnymi ciałami. Kiedy pierwsza strzała trafiła w drzewo, tuż obok głowy Humana, Idalgo nie miał wątpliwości, że polowanie zmierza ku końcowi. Przeciwno łukom i kuszom nie mieli najmniejszych szans. Zdradziecki strzał mógł paść w każdej chwili. Dlatego już po pierwszym strzale poderwali konie do biegu i skierowali się za Glassem w stronę starego traktu. Była to jedyna droga ocalenia.

Strzała, która trafiła Darta w ramię, nasączona została trucizną. Ofiara zasypiała prawie natychmiast po trafieniu i budziła się po kilkunastu dniach. Kiedy Dart spadł na ziemię, wyglądało na to, że został ugodzony śmiertelnie. Nikt nie powstrzymał konia i nikt nie próbował wracać. Była ciepła noc, wokoło rozlegały się odgłosy milionów owadów, a księżyc oświetlał drogę. Strzały padały z obu stron. Przestały, kiedy wjechali za Glassem na stary trakt. Otoczyła ich cisza i opary. Wjechali w mgłę i natychmiast zwolnili. Pościg się urwał. Bathy z lękiem rozglądała się po mlecznych konturach widocznych prawie na wyciągnięcie ręki. Starła się jechać tuż za Idalgim. Co pewien czas oglądała się i sprawdzała, czy Human nadal za nią podąża. Nie wiedzieli, że strzała nie zabiła Darta. Posłaniec skręcił kark kilka sekund później, uderzając głową o korzenie przydrożnego dębu.

Nocleg na starym trakcie przypominał napięcie przed walką. Tylko Glass zachowywał się tak, jakby od początku wiedział, co się stanie. Był spokojny i cicho pogwizdywał. Przed snem rozpalili ognisko, wyłowili z nory dwa króliki i w milczeniu upiekli je nad ogniskiem. Glass tylko raz zapytał ich o Darta. Kiedy Bathy opowiedziała wszystko, co na ten temat wiedziała, trzech mężczyźni pokiwali tylko głowami i sięgnęli po króliki. Dopiero późno w nocy, kiedy przykryli się skórą i ułożyli do snu, Bathy usłyszała cichy szept Humana:

– Wierzysz w te sztuczki?

– Wszystko widziałam... – odparła równie cicho.
– Po co on tu przyszedł? – Pytanie zabrzmiało niemalże retorycznie.
– Wiesz przecież... – Głos dziewczyny stał się nagle miękki i zmysłowy.
– Dziecko... – stwierdził bez wahania olbrzym. – Świat zgłupiał. Całe królestwa srają po nogach byle tylko dopaść więcej żywota...

– A ty? – zapytała z nutą kokieterii.

– Ja? – W pierwszej chwili odpowiedział pytaniem. – Ja gapię się tylko na dobro. Dziecko ma siłę, ale jest jak... Ślepe w łapach łotrów.

– Zimno ci? – szept Bathy stał się prawie zachęcający.

– Oni śpią? – Human spróbował dostrzec w ciemnościach twarze Glassa i Idalga.

– Ja nie śpię... – Dziewczyna powiedziała ze zniecierpliwieniem. Human przysunął się w jej stronę, a jego ręka wślizgnęła się pod jej przykrycie. Początkowo natrafił na grubą kurtkę. Po chwili wcisnął palce pod materiał i dotknął pasów z monetami. Były twarde i ciężkie. Ze zdziwienia przestał poruszać ręką.

– Obroża? – syknął Bathy do ucha.

– Nie całkiem... – uspokoiła go.

Wtedy odważył się na więcej i po chwili jego palce objęły jej biust. Przez bluzę nie wyglądał na duży. Dopiero teraz Human mógł docenić jego urok. Pierś z trudem mieściła się w szerokiej dłoni. Kiedy Bathy pocałowała go, postanowił wykorzystać noc i dłużej nie zwlekać. Miał tylko nadzieję, że jego towarzysze naprawdę zasnęli i nie wstaną nagle, aby dorzucić drew do ogniska. Na szczęście żaden z nich nawet nie drgnął.

Na trakcie byli już trzeci dzień. Czasami musieli się wycofywać, czasami gwałtownie zatrzymywać lub po prostu zbaczać do lasu obok. Ślepiec prowadził ich sobie tylko znanymi ścieżkami. Jego instynkt ostrzegał wszystkich przed raptownymi oberwaniami ziemi, nagłym

uderzeniem pioruna czy nieprawdopodobnie mocnym strumieniem wody wybuchającym spod ziemi. Taki strumień mógł bez trudu rozerwać koniowi brzuch. Glass wyczuwał także wulkaniczne ciekły, które spływały z wielkich głazów i paliły trawę w ciągu paru sekund. Od czasu do czasu zdarzały się deszcze, przekształcające się w mgnieniu oka w twarde, gradowe kule i rażące niczym ciosy maczugi. Stary trakt żył swoim własnym życiem. Wydawało się, że myśli i kieruje losami ludzi, którzy ośmielili się przekroczyć jego granice. Idalgo wyczuwał, że pomiędzy ślepych włóczęgą a drogą toczy się nie wypowiedziana wojna.

– Słyszysz nas? – zapytał podczas przejazdu przez rzekę przecinającą trakt.

– Zauważyłeś... – pokiwał głową Glass. – To smok, bestia, która nie wiadomo, skąd się wzięła...

– Ta droga? – zdziwił się Human.

– Może tu właśnie świat nosi swój dział? – Ślepiec mówił, nie zatrzymując konia. Z fantazją gestykulował za to rękami.

– Dział świata tutaj? Gardło dam, że zwidy jakiegoś cię męczą, Glass... – Olbrzym roześmiał się sztucznie.

– Wszystko ma swoje miejsce – kontynuował rzeczowo ślepiec. Nie zwracał uwagi na trzask gałęzi, powtarzający się coraz częściej i coraz bliżej jadących. – Nasza ziemia, nasze niebo i nasze gwiazdy mają swoje miejsce. Koń ma swoje miejsce, jego gnaty, kiedy zdechnie... Nawet twoje cielsko mięknie, gnije i zamienia się w błoto... A broń, a ruch tygrysa, bawoła czy kury? W tym powietrzu, w tej ślepej jak ja dziurze siedzi to piekielne coś, z czym nie umiemy pogadać. Wiem to. Wisi nade mną jak ten kruk w zimie... Dział może mieszać i czas, i różne światy. Sprzed tysiąca, dziesięciu albo i więcej lat. To wir, który bywa, że kogoś lubi, a bywa...

– Dzika ziemia – wtrącił beznamiętnie łapacz. – Dział... Zalatuje mi to zdradą...

– Zdrada... – zastanawiał się głośno Glass. – Może i zdrada. Jest jak kocioł z wrzątkiem, który na jednych się wylewa, na innych nie... – Trzask rozległ się bardzo blisko. – Jeśli skoczy, tnijcie...

Idalgo zobaczył tylko cień lecący w stronę dziewczyny i mokre łuski lśniące na potężnym łbie. Bestia poruszała się na czterech nogach zakończonych długimi pazurami. Sprawiała wrażenie zmutowanego warana. Najbardziej przerażające były jej rozmiary. Ten waran mógł mieć co najmniej piętnaście metrów. Poruszał się jednak znacznie szybciej od innych osobników tego gatunku. W jego ruchach kryło się coś wężowego. Kiedy zsuwał się ze skały, wydawało się, że w powietrzu leci olbrzymie drzewo.

Human zaledwie zdążył wyrwać z siodła Bathy i odskoczyć na koniu do przodu. Waran uderzył w wierzchowca dziewczyny i zmiażdżył mu brzuch. Łuskowate cielsko poślizgnęło się na wnętrznościach konia i uderzyło łbem o pobliską skałę. Idalgo ciął warana w ogon, ale za płytko i po chwili został odrzucony wraz z koniem kilka metrów dalej. Glass zeskoczył na ziemię i ostrożnie zaczął zbliżać się do bestii. Nikt nie zdążył zauważyć, kiedy mistrz wyciągnął miecz. Głowa i ciało ślepcy były napięte, a nozdrza głęboko wciągały powietrze. Idalgo jednym sztychem dobił swojego konia ze złamaną nogą, po czym znieruchomiał. Human i Bathy również znieruchomieli. Olbrzym zrobił to jednak dopiero wtedy, gdy stanął ze swoją szablą za plecami Glassa.

Waran otrząsnął się i odwrócił przodem do ślepcy. Zęby wielkości ludzkiej głowy ociekały śliną, a długi rozdwojony jęzor drżał z niecierpliwości. Glass stał nieporuszony aż do chwili, gdy waran znalazł się przed nim na długość miecza. Wtedy właśnie jęzor uderzył ze straszliwą

siłą. Wydawało się, że jego rozdwojony czubek trafi ślepcą w szyję i po prostu ją odetnie. Potem uderzył Glass. Najpierw schylił się i ciął z dołu pomiędzy oba końce rozwidlonego jęzora. Kiedy jeden z nich odpadł, ślepiec był już przy samym pysku. W tej samej sekundzie odrąbał waranowi jęzor. Bestia była tak zdziwiona, że nie zareagowała od razu. To kosztowało ją utratę oka. Wówczas jaszczur wpadł we wściekłość. Szarpnął się do tyłu i brocząc krwią, spróbował dosięgnąć zębami nóg Glassa. Być może paszcza zamknęłaby się na goleni, gdyby nie Human, który doskoczył do karku warana i z całej siły ciął w niego. Szabla zazgrzytała o łuski i kości. Waran osunął się na ziemię i zaczął w konwulsjach drapać pazurami trawę. Ogon zdążył jednak zatoczyć łuk i strącić z niewielkiej skały kilka obluzowanych kamieni. Stoczyły się z hukiem i spadły na zabitego konia Idalga.

Jaszczur znieruchomiał. Ślepiec uśmiechnął się do siebie i filozoficznie stwierdził:

– Teraz i ty masz wroga...

– Przyzwyczailem się – odparł beznamiętnie Human. Oczami szukał wzroku Bathy. Rzeczywiście patrzyła na niego. W jej spojrzeniu odnalazł ślad czegoś nieznanego.

– Nie opowiadam ci ani o ludziach, ani o szczurach – kontynuował spokojnie ślepiec. – Twoim wrogiem jest teraz stary trakt.

– Dziwne to. – Olbrzym pokiwał sceptycznie głową. – Myślisz, że droga wywacha, co zechce? Niby jak? Pożera przecież każdego, kto na nią wejdzie...

– Obojętni giną na tym szlaku jak szczapy w ognisku – wyjaśnił ślepiec. – Wchodzą i płoną...

– Niejeden pewnie próbował walczyć... – zauważył Human.

– I gryzie ziemię – podsumował sucho Glass.

– Popaprane te twoje prawdy, Glass. – W głosie olbrzyma pojawiła się nutka znudzenia.

– Atak na starym trakcie zawsze kończy się śmiercią. – Ślepiec przestał się uśmiechać i spoważniał. – Z drogą nie można wygrać... Chyba że...

– Skąd to wiesz? – odezwał się zaintrygowany Idalgo.

– Można z nią walczyć, jeśli uzna cię za przeciwnika – dokończył Glass.

– A kiedy uznaje? – zapytał bez zainteresowania Human.

– Jeśli złamiesz zasadę „głowa za głowę” – wyjaśnił ślepiec. – Stara droga nie uznaje pomocy. Ty złamałeś zasadę i zostałeś jej wrogiem. Po prostu zrobiłeś źle... Teraz będziesz ją słyszał...

– Mówisz, panie, że Human nie powinien cię ratować... – Dziewczyna ni to zapytała, ni to stwierdziła.

– Nie wiesz nawet, ile znaczy to, co rzekłaś... – Glass zbliżył się do konia i wspiął na siodło. Idalgo bez słowa usadowił się za nim. Olbrzym także dosiadł swojego wierzchowca, zabierając ze sobą Bathy. – Tutaj na starym trakcie czas i prawo mają dużo znaczeń... – ciągnął ślepiec, ruszając do przodu. – To tak, jakbyś pokazał palcem miejsce własnej śmierci... Sam wiesz, że z drogą nie można wygrać. To dział, dział czasu i prawa... Teraz możesz go zrozumieć, możesz słyszeć i... bać się.

Human rzeczywiście zaczął inaczej patrzeć na stary trakt. Nie zwracał już uwagi na Bathy, ale koncentrował się na dźwiękach i wrażeniach, jakie do niego docierały. Droga była jak szept, który dolatywał z wiatrem. Ukazywała obrazy i wypowiadała słowa. W jednej chwili mogła ostrzec przed tropikalną dżunglą lub mroźnym lodowcem. I nigdy nie wiadomo było, czy mówiła prawdę. Zapowiadała bagna, lasy, wrzosowiska, rzeki, góry i pustynie. Rzucała w pamięć najrozmaitsze bestie i mutacje. Przerażała pogodą, która wahała się od huraganu przez powódź do trzęsienia ziemi. Olbrzym odczuł siłę i doskonałość traktu, zrozumiał jego

niebezpieczeństwo i nieprzewidywalność. Wiedział już, że uczestniczył w pojedynku, który dla jednej ze stron był zabawny i bezlitosny.

Glass, który odczuwał to samo, oglądał się co pewien czas. Musieli odgadywać, kiedy droga zapowiadała ich śmierć, a kiedy tylko chciała ich przestraszyć. Ślepiec stwierdził, że nie była to już ta sama gra, co poprzednio. Droga komplikowała swoje niespodzianki, dostosowywała je do nich obu, rozgrywała pojedynek, który – czuli to – coraz bardziej ją wciągał i fascynował. Human zaczął zdawać sobie sprawę, że kiedyś nastąpi koniec, że będą musieli zjechać z traktu i nastąpi ostateczny atak. Wierzył, że Glass również o tym pomyślał. Kiedy ich spojrzenia skrzyżowały się, zrozumieli, iż sens ucieczki uległ gwałtownej zmianie. Stali się widocznym celem. Otaczał ich świat potężniejszy od jakiegokolwiek na zewnątrz. Nadeszła pora, aby go opuścić. Musieli jednak przechytryć siłę, która narzucała im swoje prawa.

Glass jakby odgadł myśli Humana, ponieważ powoli, przebiegle zaczął zbliżać się do granicy traktu. Wiedział, że nie może tego zrobić od razu. Był pewny, że nie powinni także zbyt długo zwlekać. Ostrzeżenie nadeszło szybko. Przed koniem Glassa wyrósł nagle splątany, kłujący gąszcz. Ślepiec ściągnął wodze i ciął po krzakach mieczem. Wyrąbywanie ścieżki nie było proste, tym bardziej z konia. Human zeskoczył i spróbował rąbać gałęzie. Droga odpowiedziała skałą. Zrozumieli, że wzięła ich w kleszcze i nie zamierza wypuścić. Zrezygnowali i ruszyli kłusem dalej, wzdłuż swojego prześladowcy. Zrobiło się przyjemnie, ciepło, a ziemia stała się równa i wygodna do jazdy. Wydawało się, że trakt o nich zapomniał.

Uratował ich przypadek. Na granicy traktu z lasem, kiedy poruszali się po równej jak stół łące, pojawił się oddział szczurów tygrysich. Widać było, że od dłuższego czasu polowali na uciekinierów. Wjechali na trakt i ruszyli do ataku. Idalgo i Bathy zeskoczyli z konia i przygotowali się do walki.

Dziewczyna naciągnęła kuszę i strzeliła do pierwszego szczura. Z charczeniem zwałił się na ziemię, a jego wierzchowiec pognał wprost na Bathy. Idalgo wskoczył mu na siodło w chwili, gdy Glass i Human starli się z pierwszymi mutantami. Trakt zamilkł. Wydawało się, że on także ciekawy był wyniku walki. Dziesięć szczurów tygryskich próbowało roznieść przeciwników na strzepy. Human i Idalgo nie mieli wątpliwości, że natrafili na zupełnie obcy oddział. Rozkaz białego szczura i Nariagi nie zdążył do nich dotrzeć.

Bathy zastrzeliła drugiego mutantą i zdobyła dla siebie konia. Teraz objeżdżała walczących i czekała na dogodny do strzału moment. Widziała krew na plecach Humana. Pazury szczura rozorały olbrzymowi łopatkę. Na nodze Glassa również rosła czerwona plama po tygryskich zębach. Idalgo poczuł nagle na swojej głowie łapę z pazurami i wydawało się, że jego twarz zostanie zmiażdżona i wyciśnięta jak soczysty owoc. Łapacz zdążył jednak wykonać odruchowe cięcie i łapa szczura spadła na drogę. Glass zamarkował zwanie, uchylił się i pozwolił nadziać się obu mutantom na własne miecze. Bathy aż zatrzymała z wrażenia wierzchowca. W tym momencie znaleźli się na granicy traktu. Kiedy Human przeciął jeszcze jednego szczura na pół i rzucił się do ucieczki w las, pozostali ruszyli za nim. Stara droga nie zdążyła zareagować. Wypluła z siebie strumień lawy, ale było już za późno. Rozpalona do czerwoności struga trafiła w plecy mutantów. Trzy z nich spadły z konia ze zwęglonymi ciałami. Resztki lawy osmały kilka krzaków i powoli wsiąkły w ziemię.

Bathy uciekała pierwsza. Tuż za nią gnał Human, potem Idalgo i Glass. Gałęzie uderzały ich po twarzach, kaleczyły skórę, ale nie zwracali na nie uwagi. Potężne konie mutantów instynktownie wybierały łatwiejszą drogę i ułatwiały pogoń. Kiedy znaleźli się na niewielkiej polanie, dziewczyna zwolniła, zatoczyła koło i przygotowała kusze do strzału. Jej towarzysze

zawrócili w miejscu i uderzyli na niczego nie spodziewające się, wyjeżdżające z lasu szczury. Gdyby związali się w walce, w ciągu kilkunastu sekund zostaliby zabici. Rój strzał wystrzelonych z pobliskich krzaków spadł na mutanty. Idalgo skrzył w ostatniej chwili konia i pognął z powrotem do Bathy. Human i Glass pochylili się i cudem uniknęli trafienia. Pellegrisi wypadli z krzaków i rzucili się na mutanty. Niektórzy próbowali ścigać dziewczynę, ale zginęli pod mieczami łapacza i olbrzyma.

Po dwugodzinnej jeździe dziewczyna zaczęła zdradzać oznaki zmęczenia. Wszyscy byli głodni i spragnieni. Jechali bocznymi drogami, omijali posterunki szczurów i wypatrywali ludzi. Wszędzie panowała tajemnicza cisza i pustka. Wyglądało na to, że wojska Kreporu zostały wzmocnione przygraniczną ludnością i skierowały się na mutanty atakujące księstwo. Opustoszałe osady, domy i karczmy zdradzały, że Krepor ciągnął za sobą również kobiety i dzieci. Zbliżał się czas zemsty i każdy chciał nasycić swoją krzywdę.

Przez cały czas Glass miał wrażenie, że ktoś nie spuszczał ich z oka. Mimo ciszy i spokoju ślepiec wyczuwał niebezpieczeństwo. Czaiło się przy nich od chwili ucieczki ze starego traktu. Jednak ani wiatr, ani najmniejszy dźwięk nie potwierdziły tego. Glass zatrzymał konia przy na wpół spalonej karczmie w pobliżu czerwonego kamieniołomu i zsunął się z siodła. Spojrzał na Idalga i odezwał się cicho:

- Czuję, że ktoś ma na nas wyrok. Warto by się rozejrzeć...
- Wyrok? – zdziwił się Human. – Niby za co?
- Za stare sprawy – odparł z przebiegłym uśmiechem Glass.
- Zwidy – ocenił krótko Idalgo. – Mój pazur na łbie mi to smędzi...
- Zło jest jak parch – podsumował refleksyjnie ślepiec. – Najpierw pokazuje się mały ślad. Potem zasypuje wszystko. Zżera człowieka w całości, jednego po drugim...

– Chcesz nam coś pokazać? – zapytał bez przekonania Human.

– Po co? – odparł wzruszając ramionami Glass. – Samo przylezie. Powiedziałem wam tylko, że jest tutaj... Piekielnie nie napasione...

Bathy przywiązała konia do belki i weszła do karczmy. Za dużo miała wrażeń i tajemnic wokoło. Oddała się Humanowi i zaczynała tego żałować. Nie tak wyobrażała sobie miłość. Wierzyła, że będzie piękna, burzliwa i ciekawa. Okazała się pospieszna, niepewna i przytłumiona strachem przed wrogiem. Olbrzym nie zwracał na nią uwagi, nie starał się o najmniejszą chociażby rozmowę, unikał spojrzeń. Nie rozumiała tego i zaczynała marzyć o chwili, gdy znajdzie się sama. Romantyczne spotkanie i ucieczka nie bawiły jej. Nadeszła tęsknota i pierwsze objawy obojętności. Idalgo wydawał się obcy i zimny, Glass całkowicie obojętny. Dziewczynie zaczynało brakować kogoś bliskiego, kogoś, z kim mogłaby szczerze porozmawiać. Dlatego przestała zwracać uwagę na swoich towarzyszy i sama weszła w rozwalone drzwi karczmy.

– Tych dwóch chyba poznaję – usłyszała nagle gruby głos z kąta, dokąd nie dochodziło światło.

Nie krzyknęła, nie drgnęła ani nie zemdlą. Po prostu obojętnie odwróciła głowę w stronę głosu. Przy stole siedział człowiek, o którym z wyglądu nic dobrego nie mogłaby powiedzieć. Jego ubranie, zarost i pijany wzrok świadczyły za siebie. Jeszcze jeden włóczęga, oceniła w duchu. W tym momencie do izby weszli Human i Idalgo. Natychmiast dostrzegli obcego, bo ich dłonie znalazły się na rękojeściach broni.

– Spocznijcie, panowie – uspokoił ich obcy. – Jestem Raptus... Nie poznajecie mnie? Pazur żeście mi w zajeździe pokazywali... Na granicy z księstwem... Sporo szczurów ubiliście. Gotowało się tam jak w kotle... Było tego ścierwa z pół izby. Sam parę zadźgałem... Pamiętacie mnie, panie łapacz?

– Wieści jakieś masz? – przerwał mu Idalgo.

– A jakże by nie! – zawołał przemytnik. – Krepor w uderzeniu. Mutanty rozbite, a księstwo zalatuje od tyłu... Książę Syrius ubity...

– Co? – Human poszarzał na twarzy. – Gadaj, co wiesz...

– Plotą ludzie, że toporem rozłupany – odrzekł z głupawym uśmiechem Raptus. – Handlarz niewolników im zbiegł i tak się pożegnał...

– Kto? – Human odwrócił się do rozbitego okna i zżuł w ustach przekleństwo.

– Kto? – Przemytnik najwyraźniej bawił się zdenerwowaniem olbrzyma.

– Handlarz, panie... Zarośnięty jak mała. Znane na pograniczu bydlę...

– Kto? – Tym razem głos Humana zdradzał brak cierpliwości.

– Waldo – wyszeptał z drzeniem przemytnik. – Ten pies, Waldo...

– Książę na pewno ubity? – zapytał z boku Glass.

– Nie inaczej, panie – potwierdził Raptus. – Topór przepołowił mu mózg, że i zbierać nie było co... Waldo wprawny, nie chybił...

– Zawrzyj pysk – syknął Human. – Dość nagadałeś.

Human odwrócił się i wyszedł z karczmy. Idalgo ruszył za nim. Tylko Glass i Bathy zostali z Raptusem. Ślepiec usiadł pod ścianą i skrzyżował nogi. Za plecami położył kostur. Kiedy zamknął oczy, wydawało się, że umarł. Przemytnik obserwował go spod oka, sięgając do kieszeni i machinalnie gryząc orzechy. Dziewczyna ze smutkiem w oczach obserwowała przez okno olbrzyma. Nie obchodził jej w tej chwili ani dziwnie zachowujący się Glass, ani napotkany przypadkiem przemytnik.

Ciszę przerwał jęk ślepcy. Bathy wystarczyło tylko jedno spojrzenie, by domyślić się, co zaszło. Raptus trzymał w rękach kuszę, a w piersi ślepcy tkwiła długa strzała. Siła trafienia była tak ogromna, że grot przebił plecy i utkwiał w ścianie. Dziewczyna rzuciła się do drzwi.

– Zdrajca! – krzyknęła, wybiegając na zewnątrz karczmy.

Idalgo skoczył do środka z mieczem gotowym do uderzenia. Przemytnik jednak już na nich nie czekał. Wybiegł przez otwór w ścianie i dosiadł przygotowanego do ucieczki konia. Usłyszeli tętent błyskawicznie wpadającego w cwał wierzchowca.

– Zabił go... – wyszeptała Bathy. – Zabił Glassa...

Human jednym skokiem wspiął się na siodło i ruszył w pościg. Nie miał jednak szans, ponieważ zwierzę było zmęczone i głodne. Po krótkim biegu olbrzym zrezygnował i zawrócił. Przed karczmą zastał Idalga i Bathy, mocujących w siodle dającego oznaki życia Glassa. Ślepiec opadł na kark konia, ale jego oczy były przytomne. Łapacz kończył przywiązywanie sznurów, oplatających krwawiące ciało. Bathy po raz ostatni sprawdzała, czy płótno z jej bluzki ściśle przylega do rany.

– Czaił się, to pewne – powiedział ze źle ukrytą wściekłością Human. – Ktoś go nasłał...

– Wytrzymasz? – Idalgo nachylił się do twarzy Glassa.

– Co chcesz zrobić? – odpowiedział z wysiłkiem ślepiec.

– Dojechać do zamku księcia – odparł łapacz. – Tam jest dziecko... Sam widziałem, jak okiełznało śmierć... Wystarczy, że cię dotknie...

– Wytrzymam... – szepnął Glass. – Wytrzymam nawet, gdybym miał umrzeć... A ta zaraza... Ten parch nie napasiony... jest tutaj... Nie zakończył roboty...

Bathy spojrzała ze zdziwieniem na Idalga. Specjalnie omijała wzrokiem Humana. Postanowiła go ignorować i więcej nie dopuścić do poufałości. Wyczuwała, że w olbrzymie ścierały się dwie natury. Jedna prosta i łagodna, a druga zimna i obca.

– Albo zdążymy, albo on umrze... – stwierdził Idalgo, wspinając się na siodło. Jedną ręką trzymał przedłużone wodze konia ślepca. – Po drodze trza dobrze patrzeć... Jakby co, to po gardłach i konie bierzemy...

Human skinął głową i ruszyli. Olbrzym gnał pierwszy. Za nim galopował łapacz, wiodąc za sobą konia z Glassem. Na końcu jechała Bathy. Tym razem nie zwracali uwagi na ewentualnych maruderów z wojsk mutantów, na pellegrisów czy przydrożnych bandytów. Idalgo jechał tak pewnie, jakby zamierzał wjechać do księstwa bez spotkania wroga. Wybierał najprostszą i najczęściej używaną drogę.

W miarę zbliżania się do granicy pojawiali się ludzie z wozami, tobołami i wszystkim, na czym można było zarobić. Spalone domy, bieda i głód wyganiały całe rodziny w poszukiwaniu szansy przeżycia. Human nie zwalniał, z daleka gwizdał i pokazywał szablą, że mają mu zrobić przejście. Ludziom wystarczyło spojrzenie, aby zrezygnować z wszelkiego oporu i szybko zjechać na bok. Brudni, zarośnięci i pokrwawieni jeźdźcy nie wzbudzali zaufania.

Kiedy konie zaczęły robić bokami i upuszczać z pysków płaty piany, natknęli się na królewskich strażników. Było ich około trzydziestu i osłaniali najdalej wysunięte posterunki króla Kreporu. Human zatrzymał konia tuż przed nimi.

– Koni nam trzeba! – krzyknął w stronę dowódcy strażników. – Nasze na wymianę! Rannego wieziemy...

– Szaleju się obzarłeś, kpie jeden, że rozkazy nam rzucasz? – zawołał ze złością jeden ze strażników.

– Nie pora gadać – odparł Idalgo. – Swoi żeśmy, a z niego życie uchodzi... Dźgnięty zniecka... Oko miejcie na przemytnika Raptusa. Albo szalony, albo zdrajca...

– Może łiesz? – skrzywił się dowódca.

– To łapacz, panie – zawołał nieśmiało z tyłu jeden z jego strażników. – Widziałem go kiedyś w Ghatcie... Przywiódł ze trzy szczury na stracenie...

Dowódca pokiwał głową i zgodził się.

– Konie zamienić i siodła! – ryknął z całej siły. Widać było, że ulżyło mu. Nie lubił podejmować niepewnych decyzji. – A kogo to wieziecie?

– Glassa – odezwała się Bathy, przekładając siodło na wypoczętego konia krzywonogiego strażnika z rudym zarostem. – Ślepy on, ale mieczem robi jak mistrz...

Brwi niektórych strażników uniosły się w górę w grymasie niedowierzania. Idalgo i Human nie zwracali na to uwagi. Dziewczyna również zamilkła. Kiedy odjeżdżali, dowódca zawołał za nimi:

– Powołajcie się na Kamana! Może bez glejtu was puszcza!

Human tylko uśmiechnął się pod nosem. On najlepiej wiedział, jakiego glejtu potrzebowali. Teraz rozciągnęli wierzchowce w pełnym cwale. Łapacz oglądał się czasami za siebie, jakby chciał sprawdzić, czy ślepiec jeszcze tam jest i żyje. Na trakcie zrobiło się tłoczno. Olbrzym zjechał na wąską ścieżkę, po której nie mogły jeździć wozy. Gwizdem ostrzegał wędrowców i rwał do przodu. Po pewnym czasie wjechali do obozu królewskich wojsk. Zza potężnego bala, który przegradzał ścieżkę, wyłonił się strażnik z kuszą.

– Od Kamana! – zawołał, zwalniając galop, Human. – Do księcia!

Strażnik zawahał się tylko przez chwilę, po czym skinął głową, że mogą objechać bal i ruszać dalej. Znów pognali konie, starając się minąć obóz brzegiem. Rozłożysta polana na granicy usiana była namiotami i ogniskami. Co chwila od strony księstwa nadjeżdżał zmęczony i zakrwawiony oddział, a na jego miejsce wyruszał nowy. Z daleka słychać było odgłosy bitwy. Krepor uderzył całą swoją potęgą. Idalgo zauważył w obozie wszystkie rodzaje wojsk królewskich, a Human ciągnące się daleko poza polanę inne namioty. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Wystarczyło, że nosili miecze i byli ludźmi. Ktoś taki mógł być tylko wrogiem mutantów.

Wjechali w niewielki lasek, przecięli płytką rzekę i znaleźli się na polu bitwy. Dopiero teraz łapacz mógł ocenić, jak szalony realizowali plan. Przed nimi rozciągał się wielotysięczny szereg zwartych w walce wojsk. Była to przeszkoda, której nie mogli ominąć.

Idalgo ruszył galopem w stronę lasu. Tam walka była mniej zażarta. Mutanty i wojska Kreporu ścierały się po krzakach i między drzewami. Pas zieleni przebiegał przez granicę i prowadził w pobliże zamku księcia. Human i Bathy, która teraz prowadziła konia z rannym Glassem, jechali tuż za łapaczem. Dziewczyna trzymała w ręku napiętą kuszę i starała się nie tracić z oczu walczących. Omijali po drodze leżące na ziemi trupy ludzi, mutantów i koni. Wszędzie poniewierały się chorągwie, broń i beczki po winie. Gdzieś tam stał zaryty w błocie wóz bądź kareta. Teraz służyły do transportowania jedzenia, broni, kobiet, dzieci lub rannych. Kiedy jeźdźcy znaleźli się pod drzewami, a zielone korony zakryły nad nimi słońce, poczuli odór potu i mdlący zapach krwi. Chwilę potem zobaczyli plecy strażników Kreporu. Klnąc ochryple i zapamiętane, wyrąbywali solne drogi w szeregach sznurów. Po czerwonych płaszczach z łatwością można było rozpoznać doborową jazdę króla. Mutanty dwoiły się i troiły, ale napór i wściekłość żołnierzy Kreporu były tak wielkie, jakby wpadli w amok i zapomnieli o własnym strachu przed śmiercią.

Idalgo i Human rzucili się w wir walki, robiąc przejście wierzchowcom Bathy i Glassa. Strażnicy Kreporu początkowo nieufnie rzucali w ich stronę spojrzeń, ale widząc skutki ich ataku, wydali okrzyk uznania i jeszcze silniej natarli na mutanty. Pisk i szczełk mieczy dudnił w uszach. Dziewczyna jechała z tyłu pomiędzy końmi Humana i Idalga. Nie wiedziała dlaczego, ale wciąż się jej wydawało, że ktoś nie spuszcza z nich oczu. Nawet w kłębowisku walczących ciał miała wrażenie zagrożenia. Mimo najlepszych chęci nic nie mogła dostrzec. Obaj mistrzowie zachowywali się

jak straceńcy. Wiedzieli, że życie ślepcy wisi na włosku. Wyczuwali granicę, poza którą śmierć mogła na dobre zabrać przyjaciela. Liczył się czas, każda sekunda.

W końcu przedarli się przez skłębione oddziały i wypadli na wąską dróżkę, wijącą się wzdłuż małego strumienia. Ich twarze i ubrania zbryzgane były krwią. Idalgo pokazał mieczem kierunek i przyspieszył. Konie znów zaczęły upuszczać z pysków białe płaty piany. Wtedy Bathy usłyszała cichy świst i zobaczyła, jak w plecy Humana wbija się długa strzała. Olbrzym zachwiał się, ale nie spadł z siodła. Wyraźnie starał się nie zwalniać biegu. Dziewczyna krzyknęła z przestraszeniem i pognała za nimi. Rozglądała się, próbowała zauważyć niebezpieczeństwo, ale na nic to się nie zdało. Dolatywał ją tylko szczęk mieczy i ochryple wrzaski. Widziała plecy Humana i czerwoną plamę krwi rysującą się coraz wyraźniej na skórzanej kurtce. Strzała utkwiała nad lewą łopatką. Ból i osłabienie musiały być straszne, ponieważ olbrzym schował szablę i skoncentrował się wyłącznie na jeździe.

Przy brodzie natknęli się na śpieszący z odsieczą oddział mutantów. Jechały gęsiego. Ściana krzaków po obu stronach dróżki uniemożliwiała im okrążenie wroga. Były tak zaskoczone pojawieniem się ludzi, że nie zdążyły wyjąć mieczy. Pierwsze dwa szczury spadły z przebitymi sercami. Pozostałe zderzały się jeden po drugim z Idalgim. Dziewczyna modliła się w duszy, aby ścieżka nie rozszerzyła się. Widziała, jak Human osunął się na koński kark i wpił palcami w grzywę. Strzała w jego plecach tkwiła nadal, chociaż jej koniec odłamał się w trakcie jazdy, uderzając w jakąś gałąź. Bathy obejrzała się za siebie, stale czując obecność kogoś obcego. Znów niczego nie zauważyła. Przeciwnik musi być bardzo sprytny, pomyślała ze złością. Ani razu nie rzucił jej się w oczy. Dziwiło ją również to, że nikt z

walczących mutantów lub żołnierzy do tej pory go nie zabił. Postanowiła uprzędzić kolejny atak.

Podjechała do konia Humana i przywiązała do jego siodła wodze od konia Glassa. Miała nadzieję, że olbrzym miał jeszcze przebłąski świadomości i nie odłączy się od Idalga. Zatrzymała swojego wierzchowca i spróbowała go zawrócić. Ścieżka była jednak za wąska. Przesiadła się więc tyłem do kierunku jazdy, wsunęła w zęby dodatkową strzałę i z napiętą kuszą czekała na przeciwnika. Upływały minuty, a na ścieżce nikt się nie pojawiał. Idalgo, Human i Glass odjechali już tak daleko, że nie słyszeli nawet odgłosów walki. Dziewczyna niemal dotykalnie poczuła samotność. Pośród krzaków i drzew spadła na nią cisza i strach przed nieznanym. Nadal jednak instynkt podpowiadał jej, że na ścieżce czai się coś groźnego. Dotknęła konia łydkami i poczekała, aż ruszył. Zwierzę jakby rozumiało, że odwrotny sposób siedzenia jeźdźca jest tylko chwilowy i nie ma powodu, aby tracić cierpliwość. Posłusznie, krok za krokiem, posuwało się śladem Idalga, omijając co chwilę świeże trupy mutantów.

Bathy zauważyła obcego w momencie, gdy wyłonił się zza zakrętu. Jechał kłusem. Wystarczył jej rzut oka, żeby rozpoznać przemytnika Raptusa. On również był zaskoczony jej widokiem. Próbował zatrzymać konia, ale było już za późno. Zdecydował się więc na atak. Wyciągnął miecz i w milczeniu, jak duch, rzucił się na Bathy. Widziała jego zacięte usta i wbite w nią zdecydowane spojrzenie. Wiedziała, że musi podjąć walkę. Na ścieżce nie miała żadnej szansy ucieczki. Ściągnęła wodze i zatrzymała wierzchowca. Kuszy nie podnosiła. Nie chciała uprzędzić przeciwnika. Kiedy znalazł się w odległości kilkunastu kroków od niej, wycelowwała i błyskawicznie strzeliła. Natychmiast naciągnęła strzałę wyjętą z ust i uwolniła cięciwę. Dopiero teraz mogła ocenić trafienia. Ciało Raptusa chwiało się w siodle, a jego miecz wysunął się z dłoni na ziemię.

Koń, nie czując determinacji jeźdźca, zwolnił i zatrzymał się blisko Bathy. Uspokoila go dotknięciem ręki.

– Suko... – wyjęczał przemytnik, próbując wyszarpnąć z siebie piersi jedną ze strzał. – Dziewko sprzedajna... Powinienem cię ubić na początku...

– Zdechniesz w niesławie, zdrajco – wyszeptała z przejęciem dziewczyna. Jej spokój powoli mijał. Zaczynała się bać. – Czegoś na nas polował?

– Pokaż rzyć, to może... ci powiem. – Przemytnik nie mógł pohamować krwi wypływającej mu z ust.

– Nająłeś się za monety, tchórze – odezwała się Bathy. – Bałeś się stanąć do walki... Kto ci płaci?

– Pomóż mi... – wyszeptał, krzywiąc się z bólu, Raptus. – Dam ci monety...

– Co? Ty mi dasz monety? – zadrwiła dziewczyna, podnosząc kurtkę do góry i odsłaniając na piersi pasy z zaszytymi monetami.

– Na, gap się... To ja mogę ci dać monety, parchu jeden. Mogę kupić kilka tysięcy takich jak ty i sprzedać ich barbarzyńcom do kopalni. Widzisz te pasy? Każdy aż kapie od monet... To ja ci zapłacę, jeśli prawdę rzekniesz... A może i opatrzę, gdzie trzeba...

– Ile? – wycharczał z pożądaniem w oczach przemytnik. – Ile tego masz?

– Starczy – odpowiedziała chłodno dziewczyna. – Kto cię nasłał?

– Ile dasz, dziewczko? – Pytanie przypominało jęk umierającego. Brzuch przemytnika mokry był od krwi.

– Pięćdziesiąt monet. – Bathy powiedziała to z naciskiem. Wiedziała, że suma była zawrotna i przemytnik musi ją zaakceptować. Spojrzał na nią, z wysiłkiem opierając się rękami o łęk siodła.

– Nie zwodzisz? – upewnił się nieufnie.

– Zdradą się nie pasę – uspokoiła go cierpko.

– Niech będzie... – zgodził się, czując ogarniającą go słabość.

– Zdeb płaci... Dawny dowódca strażników z Grwaldu. Chciał ich krwi i dostał ją...

– Co mu zawinili? – dopytywała się, zagryzając wargi Bathy.

– Szczenę mu odrąbali... – zarechotał pod nosem przemytnik. Nawet w takiej chwili lubił żartować z czyjegoś kalectwa. – Ja tam znam też inny powód... Mogę powiedzieć... Tylko dorzucisz jeszcze z dziesięć monet, samko...

– Dorzucę – potwierdziła skwapliwie dziewczyna.

– Bał się klonów... – szepnął przemytnik. – Mutanty chciały ich klonować... Samych mistrzów... Tych od miecza... Zdeb bał się, że nie będzie miejsca dla takich jak on, że straci robotę... Ta wszą trzęsła się ze strachu przed tym, że szczury zaczną kiedyś sprzedawać klony i wszystko tutaj zapełni się Glassami, Idalgami albo Humanami... Takimi samymi... Wtedy koniec ze służbą w Kreporze, Szybgadii, Pandabie czy Sagdenii... Kamienie przyszloby żreć zwyczajnym żołnierzom... Dlatego mnie najął...

– To wszystko? – upewniła się Bathy, naciągając spokojnie kuszę. – Złaż z konia...

Sama zeskoczyła na ścieżkę i pomogła przemytnikowi zsunąć się na ziemię. Wodze jego konia przywiązała do siodła swojego wierzchowca, po czym spokojnie wskoczyła na siodło. Bez słowa ruszyła przed siebie. Raptus wyciągnął za nią zaciśniętą pięść i nienawistnym, histerycznym głosem zawołał:

– Suko! Okłamałaś mnie! Dawaj monety!

Bathy nawet nie spojrzała za siebie. Dość miała widoku krwi i człowieka, który zabijał z ukrycia. Zostawiła go na ścieżce i wierzyła, że nie dożyje nocy. Mimo kłamstwa nie czuła wyrzutów sumienia. Przemytnik

był dla niej nikim. Równie dobrze mogła obiecać coś garnkowi czy guzikom od kurtki.

Po blisko mili ścieżka kończyła się i rozpoczynał rzadki las. Tam właśnie natknęła się na zaczajonego w krzakach Idalga. Za plecami łapacza stały spokojnie wierzchowce, na których zwisały ciała Glassa i Humana. Dziewczyna zeskoczyła z siodła i ostrożnie zbliżyła się do Idalga. Bez słowa pokazał jej palcem przed siebie. Odsunęła ręką gałąź i ze strachu o mało nie krzyknęła. Trzy potężne mutanty tygrysie przywiązywały do dwóch nagiętych drzew nogi ubranego w o wiele za dużą zbroję pellegrisa. Wyglądał na przerażonego. Widać było, że dostatecznie długo żył na świecie, aby wiedzieć, co dla niego szykowano. Szczury najwyraźniej chciały go rozerwać na strzępy pomiędzy drzewami. Dziewczyna rzuciła spojrzenie w stronę łapacza. Na jego skroni marszczył się wyraźnie wytatuowany szpon. Wysokie czoło świeciło się w ostatnich przed zachodem promieniach słońca.

– Węszyć ci się zachciało, pellegrisie – mruczał pod nosem jeden z mutantów.

– Może go trochę nadgryziemy? – rzucił drugi, sięgając po sznur.

– Świeży lepiej trzaśnie – ocenił chłodno trzeci z nich, najwyższy i najpotężniejszy.

– Dobrze nagięta brzoza może sponiewierać... – mruczał dalej pierwszy mutant, ostrząc pieszczotliwie miecz na niewielkim kamieniu. – A flak wyrzuci nawet na pół mili...

Bathy naciągnęła kuszę i czekała na znak Idalga. Wiedziała, że łapacz ze sobą walczy. Z jednej strony czuł nienawiść do pellegrisów, z drugiej pogardę dla szcurów. W schwytanym karle było jednak coś przyjaznego, coś, co wzbudzało współczucie i sympatię. Poza tym wyglądał tak niewinnie, że oboje niemalże uwierzyli, iż wcześniej nigdy nikogo nie mógł

napaść i zamordować. Musieli się pospieszyć. Glass wydawał się od dłuższego czasu martwy, a Human przestał się poruszać. Idalgo skinął głową i strzała z kuszy ugodziła największego szczura w szyję. Próbował głośno krzyknąć, ale z jego gardła wydobyło się tylko piskliwe syczenie. Łapacz przedarł się przez krzaki i ciął po plecach najbliższego stojącego mutanta. Ostrze jednak ześlizgnęło się po metalowej osłonie i sekundę później na ramieniu Idalga pojawiła się krew. Trzeci mutant nie zdążył nawet wykonać cięcia, ponieważ druga strzała przebiła mu brzuch. Zwalił się na ziemię z przenikliwym wyciem. Dziewczyna doskoczyła do niego i dobiła go pchnięciem noża. Nie czuła żadnych emocji. Walczyła jak w transie. Kątem oka zobaczyła, że lekko ranny łapacz cofa się, pozwala mutantowi wykonać głębokie pchnięcie, po czym chwyta jego miecz pod pachę, skręca gwałtownie ciało, przeciągając w tej samej chwili ostrzem po gardle szczura. Z tętnicy tamtego buchnęła struga krwi, zalewając Bathy rękaw kurtki. Oboje pochyłili się nad przywiązany do drzew pellegrisem. Teraz wystarczyłyby dwa szybkie cięcia i byłoby po nim. Drżał i patrzył bystro na ich broń.

– Co tu robisz, pellegrisie? – zapytał Idalgo, odcinając go od drzew. Dwa kolejne cięcia wyzwoliły wygięte, cienkie pnie, które z furkotem gałęzi wyprostowały się na wysokość kilkunastu stóp.

– Na wygnaniu jestem... – odparł cicho pellegris. Rozcierał przy tym ścierpnięte nadgarstki. – Wołają na mnie Writ. Moi mnie pogonili...

– Słyszałem, że wasi nie wyganiają – wtrącił nieufnie Idalgo. – Ścinają łepetynę i po wszystkim. Coś chyba kręcisz...

– Wygnali, panie, na pewno wygnali – zaprzeczył z lękiem Writ. – Ja jestem z tych, co to leczą, a nasi takich nie mordują.. Zawsze to po drogach mogę swoim pomagać. To nic, że wygnany...

– Puścisz go? – zapytała z wyczekiwaniem w głosie Bathy. Coraz bardziej intrygował ją zimny i zdecydowany charakter łowcy. Jego wizerunek zmienił się jednak w jej oczach od czasu, kiedy się spotkali po raz pierwszy. Miała wrażenie, że ojciec wielu rzeczy jej o swoim przyjacielu nie powiedział, a niektóre wręcz ukrył.

– Możesz iść – stwierdził krótko Idalgo i odwrócił się w stronę krzaków, za którymi stały konie. – Czas na nas. Zaraz noc, a im bez dziecka śmierć pisana... Do zamku trzeba dotrzeć przed północą...

– Byle bramę otworzyli... – zaniepokoiła się dziewczyna.

– Mutanty wszędzie, panie – wtrącił pellegris, przysłuchując się rozmowie. – Do zamku nie wejdziecie, nie otworzą... Nikomu nie otwierają, bo zdradę wietrzą. Szczury tygrysie chcą ich podejść i wziąć od jednego uderzenia, panie. W zamku ubili księcia i...

– Wiem – uciął Idalgo.

Wskoczył na konia i skierował się prosto w kierunku zamku. Nie miał wątpliwości, że za wąską ścianą lasu znajdował się obóz mutantów tygrysi, oblegających zamek Syriusa. Oboje schwycili wodze i pociągnęli za sobą Glassa i Humana.

– Panie! – Głos pellegrisa zabrzmiał silnie i zdecydowanie. – Znam drogę do zamku...

Bathy pierwsza powstrzymała konia. Łapacz wykrzywił się sceptycznie. Pellegris jednak podbiegł do nich i pokazał na ziemię.

– Jest przejście... – wyszeptał, rozglądając się na boki. – Pod głazami... Trzeba tylko odsunąć i można iść. Do samego zamku, pod murami, aż do studni na dziedzińcu... Poprowadzę, panie. A oni już... trupy, panie. Znam swój fach... Zimni oni i...

– Prowadź...

Ciemności, jak zawsze, pojawiły się nagle. W jednej chwili wszystko schowało się w czerni i przez kilkanaście chwil nie mogli nic zobaczyć. Stali cierpliwie w miejscu i wpatrywali się tam, gdzie powinien być Writ. Pellegris wiedział, że wzrok ludzi jest słabszy od jego, dlatego nie poruszył się, dopóki nie usłyszał głosu łapacza:

– Widzę cię, Writ. Prowadź...

Karzeł wzruszył ramionami, widząc jak Idalgo i Bathy ciągną za sobą ciała przyjaciół. Nie odezwał się jednak. Mimo wpajanej od dzieciństwa nienawiści do ludzi, mimo chęci oczyszczenia świata z życia i zrobienia miejsca dla bogów, Writ nie zatracił zdolności trzeźwego myślenia. Może dlatego nie nadawał się do egzystowania w społeczności pellegrisów. Nie potrafił przestrzegać praw własnego gatunku. Zawsze starał się patrzeć szerzej, oceniać po swojemu i unikać stadnych reakcji. Nie za to go jednak wygonili.

– Trafisz? – zapytał cicho łapacz, obserwując kluczącego pomiędzy drzewami pellegrisa. W każdej chwili mogli natknąć się na oddział straży mutantów. Łapacz do tej pory czuł szczypanie w zranionym ramieniu. Widział już pierwsze ogniska. Paliły się, okalając zamek w pewnym oddaleniu. Wreszcie wjechali pomiędzy kilkanaście masywnych głazów. Gdyby nie małe rozmiary, miejsce przypominałoby wąwóz. Na ziemi zachręściły setki drobnych kamieni. Writ zbliżył się do najmniejszego z głazów i skinął ręką. W świetle księżyca widzieli go wyraźnie. Zeskoczyli z siodeł i podeszli bliżej.

– Tam jest taka dziura... – zaczął pellegris, sięgając pod głaz. – Wystarczy nacisnąć mocniej... Zaraz, zaraz... Mech... Była tutaj... O, jest... Wkładam rękę w dziurę i naciskam. Wtedy głaz się trochę odsuwa, panie...

Wielki kamień rzeczywiście drgnął i chrzęszcząc, odchylił się na bok. Bathy ze zdziwieniem przetarła oczy. Pierwszy raz była świadkiem

mądrości legendarnych przodków księstwa. Idalgo odwrócił się i przeciął więzy przytrzymujące ciało Glassa. Rzucił na ziemię skórzaną płachtę, na której miał zwyczaj sypiać w chłodne noce i ułożył na niej ślepego. To samo zrobił z ciałem Humana. Olbrzym, kiedy go kładł na skórze, lekko westchnął. Writ natychmiast znalazł się przy nim. Dotknął nieprzytomnego, wykrwawionego ciała, po czym zrezygnowany szepnął:

– Nie da rady. On umiera... Nie dociągniesz go do zamku, panie.

– Ruszaj – rzucił zdecydowanie Idalgo i wszedł za pellegrisem w ciemną czeluść. Bathy, która zabrała z siodła ich rzeczy, ruszyła za nim. Jednak zanim weszła w ciemny korytarz, klepnęła konie po zadach i pognała je z powrotem do lasu. Tam nie wzbudzą niczyich podejrzeń, pomyślała. Trwała wojna i wszędzie kręciły się osiodłane wierzchowce bez jeźdźców.

Korytarz schodził łagodnie w dół. Bez schodów i nagłych nierówności. Łapacz sapał ciężko, ciągnąc ułożone na skórze ciała przyjaciół. Słyszał, jak zasuwa się za nimi głaz. Pellegris pogrzebał w kieszeniach swojego obszernego płaszcza z kieszeniami, skrzesał ogień i po chwili w korytarzu zapłonęła mała pochodnia. Idalgo z uznaniem zamruczał pod nosem i przyspieszył kroku. Nie chciał, aby jego wysiłek poszedł na marne. Nie znał się na śmierci, nie wiedział, ile czasu potrzebowała, aby całkowicie opuścić ciało.

Korytarz był prosty, a posadzka i ściany wyszlizgane, mokre od wilgoci. Jego wysokość z łatwością mieściła nawet kogoś tak wysokiego, jak Idalgo. Im bliżej było do końca, tym szybciej się poruszali. Wreszcie w oddali zobaczyli jaśniejsze światło. Przez otwór na końcu korytarza wpadało do środka światło księżyca. Pellegris powstrzymał łapacza ruchem ręki i ostrożnie wyjrzał przez otwór. Patrzył do góry.

– Studnia – powiedział normalnym głosem. – Wyjście jest w studni. Jeden krok i śmierć. Wykopali ją dawno, dlatego taka głęboka...

– A jak wyjdziemy do góry? – zapytała Bathy, spoglądając w niebo widoczne przez otwór studni.

ROZDZIAŁ 16

Walka ze śmiercią dopiero się zaczynała, a noc wydawała się do tego najlepszą porą. Światło w komnacie przygasło. Tantra ułożyła dziecko przy boku Jaga i zrobiła krok do tyłu. Obok niej stał Lalola, dowódca książęcych żołnierzy. Był człowiekiem ponurym, zamkniętym w sobie i krystalicznie uczciwym. Po śmierci Syriusa i Jaga objął chwilowo władzę w księstwie. Początkowe przerażenie i chęć poddania się minęły. Mieszkańcy zamku znów uwierzyli w siebie i zaufali swojemu dowódcy. Po nagłym wycofaniu się barbarzyńskich wojsk Abotta zostali sam na sam z mutantami tygrysimi. Odparli kilka ataków i przeprowadzili kilka szybkich wypadów. Wydawało się, że walka wchodziła powoli w fazę schyłkową. Wojska szczurów walczyły od kilkunastu dni w wielkiej bitwie na granicy z Kreporem, a doborowe oddziały cesarza Yca próbowały zdobyć zamek.

Dziecko Tantry usiłowało początkowo ożywić księcia, ale było to przedsięwzięcie ponad siły. Głowa starego Syriusa została nieodwracalnie roztrzaskana. W tym wypadku śmierć wygrała. Nie pomogli cyrulicy, czytaczki ani modlitwy. Książę musiał zostać pochowany. Ciało Jaga również zachowywało się dziwnie. Za każdym razem, kiedy Tantra kładła dziecko przy boku czytacza, usta zabitego zaczynały się poruszać i szeptały jakieś tajemnicze wyrazy. Życie wracało i odchodziło z chwilą zabrania dziecka. Tej nocy miała odbyć się kolejna próba. Matka i dowódca zamku z niepokojem obserwowali ciało czytacza i dziecka.

Pot na czole starego był czymś nowym. Wielkie krople zaczęły spływać po skroniach i twarzy. W pomieszczeniu uniósł się kwaśny, mdły zapach starczego ciała. Palce u rąk Jaga drgnęły, po czym rozległo się głośne westchnienie. Czytacz otworzył oczy i powoli uniósł się na łokciach. Stół, na którym leżał, zaskrzypiał głośno i przenikliwie. Tantra szybko zabrała chłopca i odeszła w bok, bliżej kominka. Dopiero teraz dziecko zaczęło cicho płakać i domagać się jedzenia. Wydawało się wyczerpane i apatyczne. Tantra po raz pierwszy widziała je w takim stanie.

– Panie, oddaję wam władzę w księstwie – odezwał się Lalola i pokłonił przed Jagiem.

Czytacz wstał ze stołu i majestatycznie rozprostował kości. Zrobił trzy przysiady i pokręcił szyją. Kości zatrzeszczały nieprzyjemnie. Czytacz obrzucił dowódcę zimnym spojrzeniem i odchrząknął. Sprawiał wrażenie kogoś, kto po długim picciu z trudem dochodzi do siebie. Pochylił się i sięgnął po swoją laskę. Kiedy oparł na niej ciało i zrobił kilka kroków wokół komnaty, spojrzął na Tantrę i pokiwał głową. Kobieta odpowiedziała mu milczącym wyczekiwaniem. Dziecko ssało jej pierś i cicho mlaskało.

– Księżę pochowany? – Pytanie Jaga zabrzmiało niemalże jak stwierdzenie.

– Pochowany, panie – odparł Lalola. – Na zamku, w lochach... Kamieniem obłożony, z honorami i bronią.

– Walczymy? – ciągnął chłodno czytacz.

– Abott odszedł, szczury na granicy z królewskimi się rzną, a my zaganiamy się z cesarzem Ycem i jego przybocznymi... – wyjaśnił cierpliwie Lalola.

– Syna księcia trzeba odnaleźć i ludzi powiadomić... – zdecydował pospiesznie Jag. – Czas nas goni, a na takie sprawy pora teraz najlepsza...

– Czy to prawda, że księżę miał syna? – zapytał ostrożnie dowódca.

– Prawda – potwierdził czytacz. – Sam widziałem, jak zabarwił szablę...

– Panie... – Lalola poruszył ustami, jakby chciał zzuć własne wargi, i dokończył: – Gadali, że on po matce mutant...

– Mutant on tylko przez domieszkę – odrzekł Jag, poprawiając końcem laski szczapę w kominku. – Ślad to marny i sprzed pokoleń... Koci gen w nim siedzi...

– Ludzie mogą szemrać... – ocenił półgębkiem dowódca.

– Krew księcia w nim płynie! – syknął ze złością czytacz. – Nikt lepszy nie mógł się nam trafić. Chłopak wie, co to bieda, zemsta i złość. Blanko go chował...

– Blanko? – Lalola zareagował z lękiem i szacunkiem. – Ten...

– Blanko – potwierdził Jag. – Mistrz miecza. Chodząca śmierć czy, jak kto woli, opiekun...

– Wiecie, co gadacie, panie – skłonił się dowódca i ruszył ku drzwiom. – Znamy go? Znamy naszego nowego księcia?

Jag uśmiechnął się sztywno i pokiwał głową. Podeszedł do drzwi i otworzył je szeroko.

– Mówią na niego Human – powiedział z naciskiem. – Human. Od dziś książę Human.

– Kiedy go ujrzymy? – Lalola nie ustępował. Jak każdy żołnierz potrzebował świata uporządkowanego i pewnego.

– Nie wiem – odpowiedział spokojnie Jag. – Poznacie go po szabli. Jedna chyba taka na świecie... Stara robota z ostrzem barwy słońca. Nowy książę... – Czytacz zawahał się, jakby szukał słów. – Nowy książę jest... olbrzymi. Ja mieszczę mu się pod pachą...

– Znam go... – wyszeptał z przejęciem dowódca. – Był w zamku... Potem odesłał Maquiego zwiadowcę z jeńcem... Panie, to dziwna historia. Ten gad, ten jeniec, ubił księcia i uciekł... Teraz mi oczy przetarło...

Lalola wyszedł z komnaty, zostawiając za sobą zapach rozgrzanej skóry. Chwilę później w drzwiach ukazała się sylwetka czytacza z Migopu. Szeroko otwartymi oczami patrzył się na Jaga i nerwowo skubał palcami brodę. Sprawiał wrażenie człowieka, który wie więcej o przyszłości, niż może wyrazić.

– Żyjesz – stwierdził lakonicznie.

– Żyję – tak samo zdawkowo odparł Jag.

– Czy jesteś pewien, że czas oszczędzi twoje pomysły? – zapytał poważnie czytacz z Migopu.

– Moje pomysły? – odpowiedział Jag, rzucając spojrzenie na Tantrę. Kobieta zajęta była jednak karmieniem dziecka. Wydawało się, że w ogóle nie zwraca uwagi na rozmowę dwóch czytaczy.

– Nałożnica księcia skryła się w bocznym skrzydle i nikogo nie chce widzieć... – ciągnął czytacz z Migopu. – Mówią, że zaciążyła...

– Próba krwi wszystko powie – odrzekł Jag. – Jeśli dziecko będzie księcia, to przepowiednia może się zmienić.

– Obaj wiemy, czy przepowiednia może się zmienić. – Tym razem czytacz z Migopu zbliżył twarz do ucha Jaga. – Wiemy o nie narodzonym więcej, niż niektórzy by chcieli... Boję się o ciebie, bracie. Ściągasz chmury, które dadzą czarny deszcz... Przypominam, że ci, którzy sprawiają czarny deszcz, giną dla czasu na zawsze...

– Zamilcz! – warknął z wściekłością Jag. – Świat może i ułożony, ale i my mamy coś do gadania... Tu mam własny świat... – Jag pokazał na swoją głowę. – Tam mogę robić z czasem, co zechcę... Mogę go nawet oślepić!

– Tfu! – splunął z lękiem na posadzkę czytacz z Migopu. – Bluźnisz i zapominasz... Szkoda, szkoda takich jak ty... Mam odejść, prawda?

– Masz odejść – potwierdził sucho Jag. Pochwycił spłoszone spojrzenie Tantry i spróbował się do niej uśmiechnąć. Pochyliła głowę i udała, że

niczego nie zauważyła. Czytacz z Migopu odwrócił się i powoli zaczął oddalać. W światłach pochodni dopalających się na długim korytarzu przypominał pokracznego żółwia.

Jag wyszedł z powrotem na środek komnaty i podniósł z małego stolika butelkę wina. Była omszała, a oplatające ją włókna trawy wilgotne i oślizłe. Jag wyszarpnął korek i drżącą ręką nalał wina do dwóch srebrnych kielichów. Podniósł je i podszedł do Tantry.

– Dziękuję ci, pani – powiedział najszczerzej, jak potrafił. – Dziękuję twojemu dziecku za życie. Nawet my, czytacz, nie umiemy omamić śmierci... Trudno złowić coś, co nigdy nie umiera. Twój syn ma władzę nad czymś wiecznym... Będę twoim i jego sługą do końca moich dni... Napijmy się i wypoczniemy. Jutro znów walka i czekanie, aż przepowiednia się spełni. To wino pamięta jeszcze czasy starych szabli... Jest słodkie, ma klar i zapach dawnej ziemi. Powąchaj, pani, a poczujesz winnice, które dawno już przeminęły... Co dziś dzieje się z rękami, które zbierały te grona? Z palcami, w których płynęła krew i miały czucie ślepeca? Wypluła je wszystkie wieczność... Tak jak nas kiedyś spróbuje...

Tantra wypila wino i oblizwała wargi. Poczwała smak, o jakim mówił Jag. Zrozumiała tęsknotę czytacza za nieśmiertelnością. W winie, które wypila, krył się bezmiar żalu i utraconych nadziei. W barwie krwi mieszkał oddech pól i ludzi skazanych od początku na zapomnienie. Spojrzała na swojego syna i uśmiechnęła się. Czas miewał swoje kaprysy i sprawiał niespodzianki. Tylko ona wiedziała, że moc jej syna dopiero zaczęła nabierać smaku. Wierzyła, że nie tkwiła w tym tylko ślepa siła. Oddała Jagowi kielich i w milczeniu wyszła z komnaty. Szumiało jej w głowie, a po ciele rozchodziło się przyjemne ciepło.

Czytacz odprowadził ją wzrokiem i dopił swoje wino. Później podszedł do drzwi i starannie je zamknął. Kiedy zbliżył się do kominka i kopnął

trzykrotnie w jeden z kamieni przy podłodze, ściana drgnęła i rozsunęła się z cichym skrzypieniem. Jag wszedł do tajnego przejścia i po chwili ściana znów znalazła się w poprzednim położeniu.

Korytarz był niski i czytacz musiał się pochylić, aby nie stukać głową w sufit. Dawni budowniczcy zadbali jednak o wentylację i równe podłogę. Musieli się bardzo śpieszyć, tworząc siatkę tajemnych przejść pod właściwym zamkiem. Jag wiedział, że wszyscy, którzy cokolwiek wiedzieli o korytarzach i znali ich rozkład, zostali zgładzeni zaraz po skończeniu pracy. Zaledwie kilku czytaczy znało tajemnicę i przekazywało ją sobie z pokolenia na pokolenie. Nawet dziedziczni książęta nie zostali dopuszczeni do wędrówki wszystkimi przejściami. Czytacz strzegł swoich wpływów i starannie pilnowali, aby atmosfera na zamku była zawsze zgodna z ich życzeniami. Zdarzało się, że nadmiernie ciekawy posłaniec zniknął bez wieści lub znajdowano go poza murami zjedzonego przez wilki. Podobnie kończyli niektórzy pretendenci do książęcego tronu i wrogowie czytaczy. Żaden bunt nie mógł się powieść w miejscu, które dzień i noc mogło być podsłuchiwane i obserwowane.

Czytacz miał poszczególne rozgałęzienia, przyświecając sobie małą pochodnią. Szedł pewnie i bez zastanowienia. Był jednym z ostatnich, którzy przeszli wszystkie korytarze i pamiętali mapy. Zniknęły kiedyś bezpowrotnie i nikt poza Jagiem nie wiedział, co się z nimi naprawdę stało. Pod skalnym nawisem czytacz zatrzymał się i włożył pochodnię w metalową obręcz. Podeszedł do starannie wykonanej ściany i odsunął lekko jedną z cegieł. Teraz widział wszystko dokładnie.

Tantra położyła dziecko do drewnianego łóżeczka i zaczęła zdejmować suknię. Robiła to powoli i niepewnie. Jag wiedział, że środek, który jej podał w komnacie księcia, zaczął działać i za chwilę kobieta mocno zaśnie. Wino przyspieszało reakcję. Kiedy suknia znalazła się na podłodze, Tantra

zachwiała się i z trudem wsunęła na szerokie łoże przeznaczone zwykle dla goszczących w zamku par. Czytacz zaślinił się na jej widok i dotknął podbrzusza. Był gotowy. Obserwował, jak kobieta próbowała przykryć swoją nagość skórą, i czekał, aż całkowicie znieruchomieje. Wtedy wszedł do jej sypialni, rzucił okiem na śpiące dziecko i w pośpiechu, podniecony jak nigdy wcześniej, zrzucił z siebie ubranie. Mimo wieku czuł przyływ żądz i siły. Przez moment patrzył na jej piękne i wypielegnowane ciało, po czym wziął ją, wydając z siebie jęki rozkoszy. Kiedy skończył i założył ubranie, poczuł na sobie uparte spojrzenie. Oblał go zimny pot i nieufnie odwrócił głowę. Przy drzwiach jednak nikogo nie zauważył. Rzucił okiem na uchylone przejście w kominku, ale tam również nikt nie stał. Sufit, okna i ściany nie ukrywały żadnego intruza. Mimo to Jag miał wrażenie, że wwierca się w jego myśli ktoś wyjątkowo groźny. Dopiero po dłuższej chwili czytacz zauważył otwarte szeroko oczy dziecka. Chłopiec patrzył na niego tak, jakby czytał wyrok śmierci. Był zbyt mały, żeby mówić, jednak jego wzrok krył w sobie dojrzałość tysięcy czytaczy.

– Co się gapisz? – warknął cicho Jag. – Nie bój się, nie będzie jej źle... Dawno wydobrzała i na pewno tego potrzebuje. Dorośniesz, to zrozumiesz...

Dziecko nawet nie mrugnęło. Patrzyło i to wystarczało, żeby Jag poczuł się nieswojo. Im dłużej usiłował powstrzymać strach, tym bardziej drżały mu ręce i nogi. Czytacz zobaczył nagle siłę, która obserwowała go oczami dziecka. Niezrozumiała, zimna i potężna moc informowała go w ten sposób, że nie ma przed nią tajemnic.

– Ona nic nie czuła. – Z gardła czytacza wydobył się cienki szept. Jak się obudzi, to niczego nie będzie pamiętać... Przecież nie chcesz mojej śmierci, prawda?

Dziecko nie reagowało. Tylko Tantra przekręciła się na bok, odsłaniając kształtne pośladki. Jag podszedł do niej i nie spuszczać oczu z dziecka, przykrył ją miękko wyprawioną skórą. Pogładził ją przy tym opiekuńczo po włosach.

– Widzisz, nic się nie stało... – szepnął i ruszył do ukrytego korytarza.

Mimo że ściana zasunęła się za nim i bez trudu zdołał przejść kilkaset stóp, nadal paliło go spojrzenie chłopca. Teraz, kiedy nasycił swoje żądze, myślał rozsądnie i mądrze. Wiedział, że zrobił coś złego. Nigdy wcześniej nie traktował tego w ten sposób. Wiele razy podstępnie dosypywał kobietom środków usypiających do wina i tak samo często korzystał z ich nieświadomych ciał. Tylko on domyślał się, ile dzieci spłodzonych z legalnych związków, ilu arystokratów we wszystkich otaczających księstwo kramach miało w sobie jego krew. Dzięki korytarzom i olbrzymiej zielarskiej wiedzy mógł cieszyć się niedostępnym pięknem zaledwie rozkwitłych dziewcząt i dawać dzieci bezpłodnym królom. Teraz jednak ogarnęło go przerażenie. Tantra należała do świata, którego nie znał. On wtargnął gwałtem w ten świat i prawie natychmiast został skazany. Zrozumiał, że tajemnica pokonania śmierci tkwiła głębiej, niż mógł sobie wymyślić ludzki mózg. Jednak tego, co zrobił, nie mógł już cofnąć. Przeznaczenie układało się poza wszelkimi wizjami. I wcale nie było takie, jak widzieli je przez setki lat czytacz.

ROZDZIAŁ 17

Tej nocy Waldo zrozumiał, że przebrał miarę. Cierpliwość cesarza wyczerpała się. Ilekroć handlarz podchodził z białą flagą pod mury zamku Syriusa i nagle zawracał, tyle razy w Ycu wzrastała wściekłość. Waldo cierpliwie tłumaczył, że stara się przyzwyczaić ludzi w zamku do swojej misji i przez to uspić ich czujność. Rozpoznali go i pragnęli jego śmierci. Nie otworzyli bram i nie wysłali po niego konnicy tylko ze względu na białą flagę. Jednak po kilku dniach takich igraszek ich honor mógł nie wytrzymać próby i zniknąć.

Cesarz stracił cierpliwość pierwszy. Zanim Waldo zdążył odejść od ogniska, dwa szczury tygrysie schwytały go pod pachami, uniosły w górę, po czym cesarz osobiście kopnął go z całej siły w krocze. Miał wprawę w tego rodzaju zabawach, ponieważ od lat ćwiczył je na jeńcach. Handlarz zwałił się na ziemię i zaczął gryźć z bólu trawę.

– Posłuchaj, psie. Albo jutro tam wejdiesz, albo twoje jaja zawisną na moim bucie. Potem każę ci je zezreć... – wymamrotał przez zęby cesarz i oddalił się ze swoimi szczurami do namiotu. Wyrok został wydany.

Waldo od trzech godzin obserwował spod oka drzemiącego w dybach Abotta i przygotowywał się do wyjścia. Czekał na odpowiedni moment. Kiedy księżyc zaszedł za chmury, wysunął się ze swojego legowiska i poczołgał w kierunku namiotu cesarza. W obozie panowała cisza. Mutanty nie piły, nie zadawały się z dziewczkami i wzajemnie nie zaczepiały. Trzymane żelazną ręką cesarza, zaskoczone atakiem Kreporu i upartą

obroną zamku, zrozumiały własne zagrożenie i przygotowywały do ostatecznej rozprawy. Wciąż wierzyły w zwycięstwo. Dlatego wcześniej kładły się spać i starały maksymalnie wypocząć. Yc osobiście zabił trzy szczury, które zamiast chronić obóz, zajęły się pić zrabowanego wina.

Waldo odczekał chwilę, po czym poczołgał się w stronę namiotu cesarza. Na tle granatowego nieba i tłących się ognisk widział sylwetki czterech strażników. Wolnym krokiem krążyli wokół namiotu Yca. Nosili metalowe napierśniki i opaski z wizerunkiem paszczy tygrysa na głowach. Ich dłonie cały czas trzymały rękojeści mieczy. Skórzana ściana namiotu nie przepuszczała światła i handlarz nie mógł wiedzieć, czy cesarz śpi, czy też chędoży jakąś dziewczkę.

Rosa na trawie szybko wsiąkała w ubranie Walda. Chłód nocy stał się dokuczliwy. Z daleka od strony zamku dolatywały śpiewy i muzyka. Mieszkańcy księstwa zaczęli świętować zwycięstwo. Ręce handlarza zacisnęły się na krótkim nożu. Liczył okrążenia szczurów wokół namiotu i czekał na odpowiedni moment. Nadszedł niespodziewanie prędko. Jeden ze strażników odszedł do ogniska, a pozostali zatrzymali się i sięgnęli po tytoń. Waldo przeczolgał się błyskawicznie do ściany namiotu, rozciął ją i wsunął do środka. Kiedy znalazł się we wnętrzu dusznego, śmierdzącego potem i skórą pomieszczenia, zeszywniał i w napięciu wsłuchiwał się w ciszę. Szczury niczego nie spostrzegły. Podobnie cesarz, który leżał na wznak pośrodku wielkiego legowiska i nierówno pochrapywał. W drewnianym stojaku pod ścianą paliła się mała pochodnia. Na skórach zakrywających ziemię leżały porzrzucone ubrania, miski i książki. Waldo dopiero teraz uświadomił sobie, że Yc był czytaczem. Zresztą wszyscy cesarze mutantów byli czytaczami.

Cesarz przekręcił się na bok i głośno pierdnął. Po chwili w nozdrza handlarza uderzył straszliwy smród. Gdyby nie natychmiastowe wtulenie

nosa w skóry, Waldo mógłby z wymiotować. Spod oka przyglądał się odkrytym plecóm cesarza. Cielsko szczura pokryte było brodawkami i kleszczami. Nad pośladkami rysował się fragment uciętego w dzieciństwie ogona. Blizna przecinająca łopatkę jaśniała na tle krótkiej sierści. Ślad po walce lub próbie skrytobójstwa, pomyślał handlarz. Uniósł się na nogach i zbliżył do śpiącego.

Przez chwilę bawił się ostrzem noża, po czym nagle klęknął i uderzył rękojeścią w skroń Yca. Mutant nabrał gwałtownie powietrza i zwiotczał. Waldo rozejrzał się i odnalazł wzrokiem sznurowadła do długich żołnierskich butów. Suszyły się na skórah przy wyjściu z namiotu. Wysupłał je i zaczął wiązać bezwładne ręce i nogi cesarza. Robił to beznamiętnie i z wprawą. Kiedy skończył, zarzucił sobie Yca na ramię, przyłożył nóż do jego gardła i wyszedł z namiotu.

Zobaczyli go zaraz po opuszczeniu skóry zasłaniającej wyjście. Pierwszy ze szczurów chciał skoczyć w stronę handlarza, ale zmroził go spokojny głos:

– Pociągnę mu po gardle i zdechnie...

Pozostałe trzy mutanty stanęły blisko Walda i zastanawiały się, co robić. Strach i łomot ich myśli prawie było słyhać. Gdyby nie nóż na gardle cesarza, z Walda zostałyby w ciągu kilku sekund jedynie kupa mięsa.

– Dawajcie dwa konie i przynieście Abotta – rozkazał zimno handlarz. – Jeden wasz skok i zrobię z niego ścierwo...

Mutanty nie odezwały się. Jeden z nich pobiegł po konie. Pozostałe tkwiły w bezruchu i patrzyły bystro na handlarza. Nie mogły uwierzyć, że coś takiego im się właśnie przytrafiało. Nigdy wcześniej nie spotkały człowieka, który tak obojętnie znosił ich obecność. Oczekiwały strachu, zdenerwowania lub przynajmniej drżenia rąk. Zachowanie handlarza przypominało im ostrzeżenia czytaczy. Od lat uczyli szczury, że bywali

ludzie nieobliczalni, w których nawet mutanty tygrysie nie wzbudzały strachu. Odwaga wyrastająca z szaleństwa nie mieściła się w głupich szczurzych łbach. Dlatego z takim trudem hamowały swoje emocje i powstrzymywały się przed cięciem w owłosioną gębę Walda.

– Nie ujdiesz daleko... – spróbował układow najwyższy ze szczurów. – Świat mutantów stanie ci w gardle jak kość psu. Nie zaznasz spokoju. Już jesteś padliną. Wytropimy cię nawet pod ziemią... Nigdy nie zgadniesz, czy dziewczka, którą bierzesz, nasza nie jest i krwi ci nie wypuści... Każda noc i każdy dzień będą jak trucizna. Żarcie przestanie ci smakować, kundlu...

– Ciemny jesteś, szczurze – wykrzywił się Waldo. – Nie dla mnie wasze śmierci, trucizny, knucia i strachy. Pluję na swoje ścierwo i pluję na wasze miecze. Co wy możecie wiedzieć o ciemności, o prawdzie, o wstrętach i całej tej zasranej pustce? Nic! Tak naprawdę to was nie ma... Mutant nie żyje, jest jak ława, która nie zrodzi innej, a co najwyżej zetrze jarzyć włóczęgi, złodzieja albo żołnierza. Wasze gówna też kiedyś zaczną gadać...

– Wyżrę ci serce – zasyczał z wściekłością mutant. – Czego chcesz?

Przyprowadzone konie były osiodłane. Na jednym z nich leżał związany Abott.

– Won stąd! – warknął Waldo. – Jak zechcę, to zatłukę ich kamieniami i rzucę, gdzie popadnie... Rano ma was tu nie być, szczury. Albo oddacie broń i konie i odejdziecie stąd, albo...

– Bez rozkazu nie... – próbował grać na zwłokę jeden ze szczurów.

– Szczeknij jeszcze, a odetnę mu jęzor – zagroził ostro handlarz. Podszedł do konia i przytrzymując za kołnierz Yca, wskoczył na siodło. Zanim mutanty sprężyły się do skoku, zarzucił cesarza przed siebie i chwycił za wodze konia, na którym leżał Abott. Nie oglądając się, ruszył ostro w kierunku zamku. Wiedział, że gdyby nie nóż spoczywający teraz w jego ręce, mutanty posłałyby mu w plecy śmiercionośną strzałę. Tętent koni

obudził pozostałe szczury, które podrywały się z ziemi, wybiegały przed namioty i z przerażeniem w oczach patrzyły na swojego nieprzytomnego cesarza. Waldo szybko przemknął przez obóz i wjechał w ciemności otaczające zamek. Zdał się na instynkt konia. Zwierzę czujnie pozostawiało z boku trupy szczurów i żołnierzy, omijało zabite wierzchowce i sterczące z ziemi kopie.

W świetle księżyca mury zamku przypominały wulkan, na którego zboczach zastygły nierówno długie jezory lawy. Potężne i grube narożne wieże wylaniały się na horyzoncie niczym zatknięte na monstrualnym hełmie bawole rogi. Ciemne, nierówne chmury gnane przez wiatr od morza zdawały się pękać w zetknięciu z masywną budowlą. Co pewien czas mury ożywały. Wystarczyło, że wypolerowana tarcza któregoś ze strażników natrafiła na światło księżyca. Z oddali widać było wówczas wyraźny i przyciągający uwagę błysk. Na najwyższej, wysuniętej głęboko w morze wieży płonął zwykle ogień. Wskazywał drogę zagubionym i poszukującym kierunku żeglarzom. Teraz nie widać tam było nawet najmniejszego odblasku.

Waldo kierował się w stronę morza. Miał nadzieję, że odpłynięcie wojsk Abotta ośmieli zamkową straż i mimo głębokiej nocy uda się mu dostać do środka. Wjechał na kamienny pomost. Kopyta głośno zadudniły, odbijając echo od murów zamku. Handlarz widział, jak w górze zapalają się pochodnie. Kilka z nich spadło obok niego. Zatrzymał się i cierpliwie czekał, pokazując w uniesionej ręce białą szmatę. W położonych niżej otworach pojawiły się głowy łuczników. Handlarz przełknął ślinę i łypnął na odzyskującego przytomność cesarza.

– Czego tam? – zawołał głos z najniższego otworu w murze.

– Dary wam wiozę! – krzyknął hardo Waldo. – Ten za mną to Abott! A ten tutaj to cesarz Yc! Zda mi się, że macie z nimi do pogadania!

Głos w otworze nie od razu się odezwał. Naradzali się. Straż zamkowa wietrzyła podstęp. Waldo nie przejmował się tym. Wiedział, że przynęta została zarzucona i ryba musiała wziąć.

– Stój tam i nie ruszaj się! – zawołał w końcu ten sam głos. – Obaczmy cię i poniuchamy!

– A niuchajcie sobie... – mruknął pod nosem handlarz.

Tym razem pochodni było więcej. Paliły się jasnym płomieniem i spadły blisko koni. Przestraszone zwierzęta tańczyły przez chwilę na pomoście, ale poklepane po szyi szybko się uspokoiły. Z murów zaczęli zsuwać się po linach dwaj strażnicy. Po chwili stali już przed Waldem i mierzyli go wzrokiem.

– Chyba cię znam... – odezwał się niższy z nich, blondyn z długimi i kręconymi włosami.

– Może i tak – skwitował obojętnie handlarz. – Dary sobie lepiej obejrzyj... Poznajesz?

Blondyn z obnażonym mieczem zbliżył się do Abotta, chwycił go za włosy i popatrzył w twarz. Obejrzał się z niedowierzaniem na drugiego strażnika.

– To ten pies, Abott... – stwierdził cicho, po czym zawołał do góry. – Nie łże! To naprawdę ten barbarzyński pomiot!

– Pospiesz się, bo nas szczury wywąchają i gówno z darów będzie – odezwał się lekko zniecierpliwiony Waldo. – Kazałem im iść precz, ale z nimi nigdy nie wiadomo... Kto wie, czy któryś się nie wścieknie i nie spróbuje uządlić...

– To Yc! – Tym razem zamkowy strażnik zawołał to z podziwem. – To cesarz!

– Gadałem przecież, że dary przywiozłem – podsumował niemalże obrażonym głosem handlarz.

W górze rozległ się chrobot łańcuchów i fragment muru zaczął się odsuwać. Handlarz pokiwał głową ze zdziwieniem. Zanim trącił konia piętami, usłyszał rozkaz:

– Złaż na ziemię, zostaw broń i do środka. O resztę się nie martw...

Waldo nastroszył się na początku, ale szybko uległ. Wiedział, że każdy opór skończyłby się jego natychmiastową śmiercią. A miał zamiar jeszcze trochę pożyć. Przynajmniej do czasu wykonania swojej misji. Posłusznie zeskoczył z siodła, oddał broń i ruszył przez wnękę w murze do zamku. Za nim wbiegli dwaj strażnicy, trzymając za wodze konie z jeńcami. Łańcuchy znów drgnęły i po chwili mur wrócił na swoje dawne miejsce. Handlarz z podziwem rozejrzał się dookoła, ale nigdzie nie zauważył żadnych urządzeń. Mechanizm uruchamiający tajne wejście ukryty był wewnątrz grubego muru.

Na dziedzińcu paliło się kilkadziesiąt pochodni i płonęły już ogniska. Mieszkańcy zamku zbierali się wokół nocnych gości. Waldo stał spokojnie i spode łba wypatrywał dowódcy. Zaszedł go z tyłu. Kiedy klepnął handlarza w ramię, wiadomo było, że jest kimś ważnym.

– To bardzo cenne dary, handlarzu – odezwał się chłodno Lalola. – Czego za nie oczekujesz?

– Gościny i... – przerwał nagle Waldo. Zobaczył starego czytacza. Tego, który stał obok księcia Syriusa, kiedy przed kilkoma dniami topór niosący śmierć przecinał powietrze komnaty.

– I? – podchwycił Jag, wyłaniając się z tłumu żołnierzy i zwyczajnych, przymusowych mieszkańców zamku. – Czego może chcieć taki dobrodziej?

– Panie – skłonił się Waldo. – To nie byłem ja...

– Co ten człowiek plecie, czytaczu? – wtrącił zdziwiony Lalola. – Pomerdany?

– Masz brata? Bliźniaka? – naciskał z perwersyjną przyjemnością Jag. – I jeden jest dobry, a drugi zły... – zadrwił bezlitośnie.

– Panie, proszę o posłuchanie – ukłonił się w pas Waldo. – Dary weźcie, a mnie wysłuchajcie...

– Kto wie, coś za jeden... – zastanawiał się głośno czytacz. Nie zwracał przy tym uwagi na coraz bardziej zaskoczonego Lalolę.

– Panie! Poznają go! – rozległ się nagle okrzyk z tłumu. – To on zabił naszych na murze! To zdrajca! Do studni z nim!

– Słyszałeś? – zapytał cicho czytacz.

– Wasz czas jest jak powróż. – Handlarz pochylił się do ucha Jaga i wycedził przez zęby. – Każdy może na nim zawisnąć... Nawet dziecko, które dało ci życie.

Jag drgnął. Jego rysy stwardniały. Znów był tajemniczym czytaczem, który mógł narzucać swoją wolę. Spojrzał bystro na Lalolę i rozkazał:

– Zabrać jeńców i zakuć. Rano wydamy wyrok. A ten idzie ze mną... – Jag pokazał palcem na handlarza.

– Panie, to zdrajca! – gorączkował się ktoś z tłumu.

– Może... – odkrzyknął z naciskiem Jag. – Ale dwa łby nam przywłókł, za które dobrze płacą... – Na dziedzińcu zapadła cisza. – Naszymi łbami! – dokończył Jag i popchnął handlarza w stronę jednej z wież.

Lalola odprowadził ich wzrokiem, po czym pokazał jeńców dłonią zakutą w potężną rękawicę. Yc doszedł już do siebie, ale nie odzywał się. Był przerażony, widząc wokoło żądne krwi twarze. Abott popadł w chwilowe zubożenie. Kiedy strażnicy wlekli ich do lochu, obaj patrzyli w niebo, jakby żegnali się z tym widokiem na zawsze. Tłum dopiero teraz zrozumiał, co zaszło. Zakończenie wojny było bliskie. Niektórzy zaczęli tańczyć i śpiewać. Po chwili na dziedzińcu wytoczono beczki z winem. Żołnierze przezornie odsunęli się od nich i weszli na mury. Stary książę

nauczył ich karności. Dla ludzi mógł być to czas radości. Samo życie się o to dopominało. Zbyt wiele padło ciał, aby nie cieszyć się z upadku śmierci. Nawet w zamku, gdzie życie było przywracane, śmierć zadawała nieodwracalne uderzenia. Potrafiła być potężna i bezlitosna. Taka, jak w chwili, gdy zabierała księcia Syriusa. Ludzie znali wieści z Kreporu i księstwa. Tam nie było dziecka i życie odchodziło na zawsze. Spalone domy, karczmy, porty i zamki potrzebowały ich. I właśnie dlatego próbowali się teraz cieszyć i zapomnieć.

Na korytarzu pachniało igłami sosnowymi. Wiszące na ścianach worki z szyszkami zagłuszały wilgotny i duszny powiew starości. Jag szedł pierwszy. Zaczął wspinać się po schodach wieży, a jego oddech stał się świszczący i nierówny. Nie oglądał się. Wiedział, że handlarz szedł za nim. Wystarczyło jedno zdanie wypowiedziane na dziedzińcu zamkowym, aby czytacz zrozumiał, że wraz z narodzinami dziecka świat wyrzucił z siebie coś jeszcze. Kiedy znaleźli się na górnym podeście, Jag skręcił w bok i poprowadził Walda wąskim korytarzem z małymi okienkami. Stary nie zapalił pochodni. W smugach księżycowego światła widać było drogę. Drewniana podłoga skrzypiała, a zimny morski przeciąg przenikał do kości. Gdyby nie mury i dach, Waldo gotów byłby pomyśleć, że znajdują się pod gołym niebem. Jag pchnął stare, kute jeszcze przed powstaniem zamku drzwi, i weszli do środka. Zapalił pochodnię zatknietą na ścianie. Pomieszczenie było niskie i zakurzone. W olbrzymiej sali stały półki z książkami bądź luźnymi kartkami. Wydawało się, że w miejscu tym od wielu lat nikt nie przebywał.

– Bywamy tu, bywamy – odezwał się czytacz. – A ten kurz... Cóż, można go zrobić.

Waldo zdmuchnął pył z drewnianego krzesła i usiadł. On również odczuwał, że dzieje się z nim coś dziwnego. Każde nowe życie, nowe ciało

i doświadczenia czyniły z niego kogoś obcego. Nie miał złudzeń, że jego świat pozostawił go samemu sobie. Zaczynał rozumieć, że pozbawiali go nawet możliwości decydowania. Tylko pozornie mógł realizować swoją misję. Drobne fakty sprawiły, że wyczuł ich obecność. Domyślał się, że musieli znaleźć nowe sposoby przekraczania ich świata, ponieważ coraz częściej zaczynał odczuwać strach. Robili coś, co łączyło jego myśli z życiem tych, których ciała wykorzystywał. Denerwowało go to i chciał, żeby wszystko szybko się skończyło. Miał wrażenie, że starzec z laską i w cerowanym ubraniu udzieli mu ważnych informacji. Czuł, że mieli ze sobą wiele wspólnego. Kiedy czytacz usiadł przed nim i spojrzeli sobie w oczy, Waldo odgadł, co to było. Tak samo się bali i próbowali odszukać wyjścia z labiryntu, w którym się znaleźli.

– Myślałem, że nigdy do tego nie dojdzie – zaczął cicho Jag. – Przepowiednia zaczyna wariować... A to źle, to bardzo źle, handlarzu, czy jak cię tam zwa...

– Dostałeś drugie życie, panie, i wiesz, że nie jest takie samo – odezwał się spokojnie Waldo. – Wiem o was więcej, niż bym chciał... – Handlarz poczuł, że nie panuje do końca nad tym, co mówi. – Dziecko było pomyłką... Nie my je wydaliśmy. Chcemy to naprawić...

– Jak naprawić? – Głos Jaga zabrzmiał o ton wyżej. Starzec nie miał już w sobie poprzedniego spokoju. – Co możecie zrobić, żeby wróciło stare prawo?

– Jeszcze nie wiemy – odrzekł, schylając głowę, Waldo. – To trudne, panie...

– Zaczęliście, to skończcie – parsknął z irytacją czytacz. – Nie trzeba było dotykać...

– Są błędy... – zgodził się handlarz. – Wiemy już, skąd nadchodzi strach. To ważne.

– Nie rozumiem – wzruszył ramionami czytacz. Położył laskę na kolanach i wpił wzrok w Walda.

– Jest ktoś jeszcze... – Handlarz powiedział to tak cicho, że prawie nie usłyszał własnego głosu.

Strach ścisnął ich obu w tym samym momencie. Zacisnęli dłonie i napięli mięśnie. Starali się jakoś wytrzymać. Gdyby nie obecność drugiego, zaczęliby krzyczeć lub w popłochu szukać miejsca do skoku z murów.

– A więc jednak – pokiwał głową Jag. – Co teraz będzie? Kto to jest?

– Nie wiemy. Może kobieta, może dziecko... – westchnął bezsilnie handlarz. Wpatrywał się w pochodnię dopalającą się na ścianie.

Lęk, jaki uderzył w niego od strony czytacza, zdziwił go. Podniósł wzrok i spojrzał staremu człowiekowi w oczy. Tamten nie odpowiedział tak samo. Nie patrzył.

– Chcesz mi coś powiedzieć? – zapytał ostrożnie handlarz. – Nie wszystko się da powiedzieć... – odparł enigmatycznie Jag.

W drgającym ogniu pochodni widać było jego drżące ręce.

– Kobieta – stwierdził nagle Waldo. Sam nie wiedział, że takie słowo wydobyło się z jego ust. Dla niego także zabrzmiało ono obco. – Ta kobieta...

– Tantra – przytaknął skruszony Jag. – Matka dziecka...

Waldo milczał. Czekał, aż cisza wydusi z czytacza prawdę. Nie rozumiał ludzi do końca. Nosili w sobie tajemnice i niespodzianki, które pojawiały się jak szalone myśli. Tego również się bał. Kryła się w tym siła trudna do przewidzenia i opanowania. Szaleństwo... Tylko takie słowo odnalazł w sobie.

– Miałem ją... – czytacz powiedział to tak, jakby się skarżył. – Poszedłem do niej i wziąłem ją... Jest taka piękna...

– Teraz ja nie rozumiem – odezwał się handlarz. Obliznął spierzchnięte wargi. Chciało mu się pić. – Bywacie przecież ze swoimi kobietami...

– Ona nie wie, że... – Jag przerwał i po raz pierwszy od wielu lat zawstydział się.

– Że co? – W tych sprawach Waldo nie miał żadnego rozeznania. Jag jednak nie zwrócił na to uwagi.

– Spała... – szeptał cicho czytacz. Strach znów ścisnął mu wnętrzności. – Dałem jej ziele... Nic na to nie poradzę...

– Chyba łeb ci urwało! – warknął nagle Waldo. – To dlatego ten strach, ta parszywa bojaźń... Błaźnie, twoje nasienie cię zgubi...

– Ona nie wie – próbował zaoponować Jag.

– Taaaak? – Pytanie ciągnęło się prawie w nieskończoność. Czytacz nie miał już poprzedniej pewności.

– No... nie wiem...

W tym momencie na dziedzińcu rozległ się dźwięk trąby. Obaj spojrzeli w kierunku okna.

– Ta trąba... – niepewnie zaczął czytacz. – Ta trąba pilnuje studni. Tam jest stare wejście do zamku. Wiedzą o nim tylko nieliczni czytacze... Może jeszcze o czymś nie wiemy, handlarzu?

– Szczury? – Waldo zawiesił głos.

Wstali gwałtownie z krzeseł. Przez żywicowe szyby niewiele było widać. Waldo otworzył okno i spojrzął w dół. Tańce urwały się, a krzyki radości zamilkły. Strażnik przy studni odsunął trąbę od ust. W jego kierunku biegł już Lalola z pięcioma żołnierzami. Rozgarniali tłum rękami i wydawali krótkie rozkazy. Ludzie w milczeniu odsunęli się od studni.

– Ta noc chyba się nigdy nie skończy – westchnął Jag i wyszedł, podpierając się laską, z książęcej biblioteki. Waldo wyprzedził go na

korytarzu. Czuł, że znów działo się coś niezwykłego. Jego świat przestał słać mu wiadomości i kierować myślami. Strach na chwilę zniknął.

Lalola patrzył w dół studni i przyświecał sobie pochodnią. Po jego prawej stronie stał Maqui. Patrzył podejrzliwie na zbliżającego się Walda. Uspokajał go tylko widok czytacza, podążającego w ich stronę o lasce.

– Hej tam, w dole! – zawołał dowódca księżęcych żołnierzy. – Opowiedz się!

ROZDZIAŁ 18

Tantra obudziła się zrana potem. Ziele przestało działać. Nie wiedziała dlaczego, ale ciągnęło ją w stronę okna. Spojrzała na dziecko. Nie spało. Patrzyło na nią szeroko otwartymi oczami. Uśmiechnęła się. Dotknęła swojego ciała i zaniepokoiła się. Jej ubranie leżało na podłodze, a nie ruszona koszula na podgłówku. Nieufnie dotknęła swoich piersi. Odrzuciła skórę i przypatrywała się swojemu ciału. Z dziedzińca zamku doleciały do niej niewyraźne nawoływania. Podeszła do okna i otworzyła je.

– Rzucam linę! – Rozległ się w dole głos Laloli.

Kilkunastu żołnierzy otaczało studnię pośrodku dziedzińca. Wśród nich stali Waldo i Jag. Tantra nie wiedziała dlaczego, ale widok czytacza wzbudził w niej odrazę. Miała przeczucie, że połączyło ją z tym człowiekiem coś nienaturalnego. Przypomniała sobie jego spojrzenie z nad kieliszka wina i sposób, w jaki do niej mówił. Wydawało jej się również, że rozpoznaje kogoś znajomego w owłosionym, potężnym mężczyźnie, ciągnącym właśnie z kilkoma żołnierzami grubą linę. Tak, jakby dalekie echo przywiało ku niej dawno zapomniane obrazy. Spojrzała w niebo i przez jej głowę przeleciała błyskawica. Niewidzialna i silna. Przestraszyła się i ponownie spróbowała patrzeć w dół. Działo się z nią coś dziwnego, czuła to. Zauważyła, że nagły błysk zostawił po sobie informację, którą powinna odczytać. Odruchowo, przestraszona gwałtownością przeżycia, starała się uciec myślami w kierunku studni. Informacja była jednak

wyraźna i domagała się odczytania. W końcu zdenerwowana zamknęła oczy i skoncentrowała się na sobie.

W czerni, jaka ją otoczyła, odnalazła obce słowa: „Twój czas należy teraz do nas. Potem będziesz mogła odejść. Dziecko wybierze, kiedy dorośnie. Nie bój się. Jesteśmy blisko.” Wbrew temu, o co prosił tajemniczy przekaz, Tantra przestraszyła się. „Kim jesteś?”, gorączkowo zapytała w myślach. „Przyjacielem. Przybywam spoza twojego miejsca w tym samym czasie.” „Czego chcesz?”, pomyślała, przytrzymując się nerwowo framugi okna. Odpowiedzi jednak nie odnalazła, ponieważ w jej głowie pojawiły się kolejne uczucia: krzyk, gniew i bunt. Złapała się za skronie i kucnęła. Wydawało jej się, że stała się miejscem walki dwóch nieznanymi sił. Wdarli się w nią obcy i toczyli bój o coś, czego nie rozumiała.

– Human! – Na dziedzińcu rozległ się okrzyk Jaga. – Księżę Human! Wasz nowy pan przybył!

Tantra poczuła gwałtowną ulgę i znów stała się sobą. Otworzyła oczy i wstała. Obserwowała teraz wiotkie ciało olbrzyma układanego pieczołowicie na ziemi tuż przy studni. Obok niego stał Lalola i w milczeniu spoglądał na podnieconego czytacza. Widać było, że żądał wyjaśnień. Po chwili ze studni wyciągnięto kolejne martwe ciało. Tego człowieka Tantra nie rozpoznawała. Dopiero widok wynurzającego się z otworu Idalga wydobył z jej piersi ciche westchnienie. Tym razem naprawdę się ucieszyła. Od początku lubiła łapacza, ale dopiero w tej chwili zdała sobie sprawę, że jest jej naprawdę bliski. I miała wrażenie, że zna go od bardzo, bardzo dawna. Potem ukazała się głowa młodej dziewczyny, która sprawnie zeskoczyła na ziemię i oparła się, ciężko oddychając, o krąg studni.

Ostatni wyłonił się niewielki człowieczek o karłowatych, nieproporcjonalnych kształtach. Pokazał żołnierzom, że powinni jeszcze coś wyciągnąć. Po chwili w ręce karła wpadł wielki skórzany rulon obwiązany starannie sznurem. Sterczały z niego rękojeści mieczy, kusza i gruby kostur. Tantra rozpoznała pellegrisa i o mało nie krzyknęła z wrażenia. Pamiętała opowieści o ich napadach i dobrze wiedziała, jak potrafili być okrutni i bezlitośni. Ten jednak pochylił się nad Humanem i z wprawą wyszarpnął mu z rany strzałę. W tym momencie Tantra zauważyła wzrok Idalga. Nie musiała zgadywać, o co ją prosił. Podbiegła do dziecka, chwyciła je w ramiona i w pośpiechu zbiegła na dziedziniec. Mały nawet nie zapłakał.

– Czy oni nie żyją? – upewniła się z drzeniem w głosie. Wiedziała, że pytanie brzmiało głupio, ale musiała się jakoś uspokoić.

– To śmierć, pani – odparł spokojnie Idalgo. – Jego już druga... – pokazał oczami na olbrzyma.

– Ostatnia... – szepnęła Tantra i położyła dziecko pomiędzy dwoma ciałami.

Żołnierze, mimo że wiele razy widzieli powracające życie, wciąż nie mogli się otrząsnąć z lęku, jaki ich w takiej chwili dopadał. W milczeniu przyglądali się zabijaniu śmierci. Tak właśnie między sobą o tym mówili. Śmierć była „zabijana”, a życie triumfowało. Tym razem trwało to dłużej niż zwykle. Olbrzym otworzył oczy pierwszy. Jego pierś głęboko odetchnęła, a wzrok powędrował ku górze. Potem przesunął się łagodnie na leżące obok dziecko. Kobieta po raz kolejny rozczarowała się i zaniepokoiła. Oczekiwała od Humana czegoś więcej niż tylko zimnego spojrzenia posłanego dziecku. Oczy ludzkie potrafiły wyrażać wdzięczność, wzruszenie, radość, tęsknotę, szacunek... Przynajmniej w takiej chwili. Ocalały olbrzym patrzył chłodno i obco. Nie był to objaw życia, jakiego

oczekiwała. Ten drobny szczegół zauważyła jednak tylko ona, pozostali w napięciu obserwowali ciało ślepcy.

– Może za daleko uszła? – odezwał się cicho Waldo.

– Okaże się... – burknął pod nosem pellegris. Handlarz posłał mu krzywe spojrzenie. Tamten udał, że niczego nie zauważył.

Dziecko straciło rumieńce i zrobiło się blade. Kobieta pochyliła się nad nim i wzięła jego rączkę w swoje dłonie. Delikatnie zaczęła ją rozcierać. W stalowym świetle księżycy widziała sine usta chłopca i pot na jego czole. Chciała to przerwać, ale nie miała odwagi. Jej syn toczył walkę z najgroźniejszym przeciwnikiem, o jakim kiedykolwiek świat słyszał. Była zbyt młoda, aby to zrozumieć. Musiała cierpliwie czekać.

Skóra Glassa powoli zaczęła zmieniać barwę. Szarość tonęła pod lekkimi odcieniami żółci. Palce ślepcy drgnęły. Na dziedzińcu panowała całkowita cisza. Nikt nie wiedział, dlaczego powrót do życia nieznanego starca tak bardzo ich poruszył. Wszyscy rozpoznawali w tym jednak coś bliskiego i ważnego. Kiedy Glass otworzył oczy i zamrugał, wokoło rozległ się pomruk ulgi. Lalola uśmiechnął się, chociaż prawie nigdy tego nie robił. Tantra pochyliła się i podniosła dziecko do piersi. Zapłakało krótko i cicho. Po chwili odnalazło pierś matki i zaczęło ssać. Kobieta odwróciła się i ruszyła do swojej komnaty. Czuła na plecach spojrzenie Jaga. Chciała o nim zapomnieć, ale to się jej nie udawało. Idąc po schodach, próbowała znaleźć przyczynę swojej niechęci. Nie potrafiła.

Glass podniósł się z ziemi i wydawało się, że patrzy po twarzach otaczających go ludzi. Rozpoznał Idalga, Humana i Bathy. Jego wzrok zatrzymał się na Laloli. Porozumieli się oczami. Dowódca skinął ręką i jeden z żołnierzy podał ślepcowi kostur.

– Nie udało się... – powiedział wolno Glass. – Wybrałeś służbę. Przecież nie jest łatwiejsza...

– Tak, panie – potwierdził wzruszony Lalola. – Nie dla mnie była droga miecza... Chciałem, ale za każdym razem ciągnęło mnie do ludzi. Nie dla mnie samotność i dumanie...

– Może tak miało być? – Glass tylko pokiwał głową. – Moi przyjaciele taszczyli mnie tutaj wiele mil... Chcieli, żebym żył. A życie ma smak miodu zmieszanego z piołunem, Lalola. To dobrze, że odłożyłeś miecz. W moim sercu nie ma miejsca na nic więcej...

Ślepiec zamilkł. Na dziedzińcu zgromadzili się prawie wszyscy mieszkańcy zamku. W powietrzu unosiło się napięcie i nerwowe oczekiwanie. Ludzie czekali na słowa, które pozwolą im zrozumieć. Patrzyli i wiedzieli, że tym razem nie chodziło o dziecko. Gdzieś pośród myśli skrzyżowanych przy studni czaiła się przyszłość. Normalna i jasna. Chcieli ją poznać, ponieważ dotyczyła ich rodzin, ich przyjaciół i wrogów. Żołnierze na murach obserwowali dziwnych przybyszów i nie odzywali się. Jag wykorzystał tę ciszę i głośno zawołał:

– Stoi przed wami wasz nowy pan, książę Human! Syn księcia Syriusa!

– Książę nie miał dzieci! – ktoś odważny zawołał z tłumu. Rozległy się szepty i pochrząkiwania. Human wyprostował się i potoczył wzrokiem po wrogich twarzach. Nie ufali mu i nie ufali Jagowi.

– Testament! – zawołał inny głos. – Testament! Gdzie jest testament starego księcia?

– Testament... – skrzywił się z wyższością czytacz. – Kto z was go odczyta, co? Nie wierzycie mi? Służyłem księciu przez wiele lat...

– Gdzie jest matka tego olbrzyma? – zapytał cienki kobiecy głosik. – A może to bękart?

Human odnalazł wzrokiem młodą kobietę z rysami targowej przekupki. Speszyla się i cofnęła do tyłu. Olbrzym nie zdradził nawet drgnieniem

szczęk, że był w jakikolwiek sposób zdenerwowany. Podniósł rękę i krzyknął:

– Jestem bękartem! Słyszycie mnie wszyscy? Jestem bękartem, a w moich żyłach płynie krew księcia! Wychowywał mnie Blanko... Znaliście go? – W tłumie rozległy się potwierdzające mruknięcia. – To dobrze... Moją matką była kobieta, w której żyłach schował się koci gen...

– Tfu! – ryknął nagle potężny kupiec w ozdobionej złotem tunice. – Bękart i mutant! Chcesz nam tu, panie czytacz, zarazę jakąś przywlec?

Jag sięgnął za pazuchę i powoli wyciągnął złożony na kilka części żółty papier. Jeden z żołnierzy przysunął się do niego z pochodnią. Czytacz rozłożył wielką płachtę pokrytą literami i zaczął czytać:

„Ja, ksiązę Syrius, syn...etc., etc., wyjawiam moim poddanym, że mam syna, Humana, którego spłodziłem przed laty z miłości. Mój najlepszy przyjaciel, mistrz miecza, Blanko, zaopiekował się chłopcem i wychował na odważnego człowieka. Matka Humana nosiła w sobie koci gen sprzed lat. Dlatego chłopiec nie mógł zostać w zamku. Po mojej śmierci życzę sobie, aby zasiadł na tronie księstwa i czuwał nad żyjącymi tam ludźmi. Każdy, kto ośmieli się buntować, ma zostać rozerwany końmi. Księstwo potrzebuje wodza. Humanie, mój synu, rządz i bądź mądry! Oto mój testament. Ksiązę Syrius.”

Idalgo ocenił twarze ludzi i spuścił wzrok. Większość z nich patrzyła oziębło i podejrzliwie. Łapacz wcale im się nie dziwił. Pellegris, który nie opuszczał go nawet na krok, nabrał powietrza i ze świstem je wypuścił. Denerwował się tak, jakby to chodziło o niego.

– I co, będzie nam tu płodził mutanty?! – doleciało z tłumy wyzywające pytanie. – Każdy wie, że te ścierwa morem mogą zarazić albo i co gorszego przywlec... Mało ich za murami, mało w Kreporze?!

Ludzie zamruczeli potakująco. Żołnierze, nawet jeżeli im się to podobało, milczeli. Stary Syrius nauczył ich karności i dyscypliny. Zawsze stali przy swoim panu. Nie na darmo zwano ich najwierniejszymi z wiernych. Gruby i masywny kowal rozochocił się i ciągnął dalej:

– A co? Koty mają nam tutaj rządzić?! Tfu! Nie może to być!

Lalola skinął lekko głową i trzech żołnierze błyskawicznie podbiegli do kowala. Schwytali go pod rękę i przyciągnęli blisko dowódcy. Kowal poczerwieniał na twarzy, ale nie przestraszył się. Hardo patrzył w oczy Humanowi.

– Za bunt możesz być rozerwany końmi, kowalu – powiedział spokojnie dowódca. – Taki był rozkaz księcia.

– Sam się rozerwij! – krzyknęło z tyłu kilka głosów. – Prawo gada, że mutanty mają dać gardło i nie psuć dobrej krwi! Prawa nie znasz?!

Lalola zacisnął zęby i spojrzał na Humana. Olbrzym był obojętny i chłodny. Zachowywał się jak człowiek pozbawiony całkowicie uczuć.

– Wybrałeś, kowalu – powiedział mocnym głosem. – Wola mojego ojca cię zgubi. Rozerwać go.

Przez dziedziniec przeszedł dreszcz przerażenia. Nikt nie pomyślał, że nowy władca tak szybko wyda pierwszy rozkaz. Nawet Lalola odruchowo spojrzał w gwiazdy. Idalgo był zaskoczony. Napotkał spojrzenie Bathy. W oczach dziewczyny nie było już młodości, jaką pamiętał z ich pierwszego spotkania w Grwaldzie. Patrzyła na niego młoda kobieta, która cierpiała i nie umiała tego wyrazić. Łapacz domyślił się, że potrzebowała pocieszenia. Zrobił coś, czego nigdy wcześniej nie robił. Podszedł do niej i objął ją ramieniem. Przytuliła się do niego i zamknęła oczy. Idalgo wiedział, że myślała teraz o swoim zamordowanym ojcu. Kątem oka spostrzegł szeroko otwarte oczy Writa. Pellegris sprawiał wrażenie kogoś, kto również

chciałby się przytulić. Do niego jednak łowca nie potrafił się nawet uśmiechnąć.

Ludzie naciskani przez żołnierzy cofnęli się. Robiono miejsce na cztery potężne konie. Do siodła przywiązywano właśnie grube plecione liny. W chłodnym powietrzu słychać było przyspieszone oddechy. Glass odwrócił się i powoli skierował do drzwi wieży. Nie odzywał się, a jego twarz pozostała nieodgadniona. Idalgo zostawił Bathy z Wriem i podszedł do Humana. Widział, że wszystkie oczy skierowały się w ich stronę.

– Śmierć to zły początek... – odezwał się cicho łowca. Mimo to jego głos odbił się pomiędzy murami i dotarł nawet do żołnierzy na murach. – Jesteś tu obcy, nie znają cię i mogą się bać... Czy nowe życie utopisz we krwi?

– Znam śmierć lepiej od ciebie, łapaczu – odparł zimno olbrzym. – Kiedy siepnie, robi się człowiekowi lepiej... A nowy żywot? – Human zawiesił głos. – Też obierzyna... Bez czucia i zaraz zgnije. Gadasz o krwi... Była i będzie. Nie jego jednego i ostatniego...

– Daruj mu – poprosił głośniejszym głosem Idalgo. – Strach mu we łbie miesza.

– Mordercę ojca lepiej dobij! Handlarza rozerwij! – Niektórzy w tłumie nie rezygnowali.

Human popatrzył na Walda. Tamten uśmiechnął się krzywo i podrapał w głowę. Olbrzym skądś znał ten gest. Jednak nie okazał zdziwienia.

– Pomnij na wspólne bitwy, to może ci się rozjaśni – odezwał się ironicznie Waldo. – Nam jedna droga pisana, bracie...

– Do księcia gadasz, psie – ostrzegł go Lalola.

– A stary trakt pamiętasz? – kontynuował cierpliwie handlarz. Udawał przy tym, że nie patrzy na więzy zakładane na rękach i nogach kowala. – Mnie śmiercią nie strasz, bo wielu tutaj próbowało...

– Dart – szepnęła zaskoczona Bathy. – Znowu ty...

– Teraz cię poznaję – kiwnął głową olbrzym. – Czyś go ubił? – pokazał palcem na korpus handlarza.

– Cielsko tylko zostało – potwierdził z jadowitym uśmiechem Waldo. – Wielkie i silne ścierwo... – poklepał się po ramionach.

Ludzie na dziedzińcu niczego nie rozumieli. Dopiero teraz zaczęli się bać naprawdę. Oblężenie, wojna i śmierć stawały się niczym w porównaniu z łamaniem reguł życia. Uwierzyli, że nowy książę jest szaleńcem, który nie pomści swojego ojca i wybaczy owłosionemu handlarzowi niewolników.

– Przywlokłem ci tutaj Abotta i Yca – dodał od niechcienia Waldo. – Tych możesz przypalić i dać ludziom żer... Niech się zemszczą, niech wypalą trzewia...

– Gotowe, panie – odezwał się z boku Lalola. Pomiedzy końmi leżał przywiązany za kończyny kowal. Miał zamknięte oczy i drżał ze strachu. Światło pochodni i księżycy zlały się na jego obrzmiałej twarzy. Widać było, że czekał na straszną śmierć.

– Daj mi go – odezwał się nagle Idalgo. – Daj mi tego kowala.

– Wolnego ci dać nie mogę – odparł Human.

– Daj mi jego życie – naciskał łapacz.

Human zeszywniał, jakby szukał słów. Nawet kowal otworzył oczy i patrzył z nadzieją na jego usta.

– Każesz mi złamać rozkaz księcia, łapaczu. – Olbrzym powiedział to niemalże do siebie. Na Idalga w ogóle nie patrzył. – Świt niedaleko... Dobrze. – Zdecydował szybko. – Bierz go i wyjedź z zamku. Życie za życie. Mój dług spłacony, tak?

– Nie było długu, Human – Idalgo odetchnął. – Była przyjaźń...

– Bierz go i za dnia wyjeżdżaj – przerwał zimno olbrzym, odwrócił się i skierował do zamkowych komnat. – Prowadź – rozkazał czytaczowi, który

nerwowo drobił z nogi na nogę. Na kowala, który wcześniej zemdlał, nie zwracał już uwagi. W ogóle o nim nie myślał.

Zerwał się wiatr i zaczął padać deszcz. Zapowiadał się chłodny dzień.

ROZDZIAŁ 19

Czas przed świtem pogrążył ludzi w głębokim śnie. Na murach zamku wędrowali tylko tam i z powrotem ziewający strażnicy. Od momentu, gdy handlarz przyprowadził ze sobą króla barbarzyńców, Abotta, i cesarza mutantów, Yca, żołnierze odetchnęli. Żadna armia świata nie była w stanie zaatakować bez swojego dowódcy. To wiedział nawet najmłodszy strażnik. Dlatego ziewali i stęsknionym wzrokiem patrzyli w stronę morza i w zachmurzone niebo, gdzie niedługo powinno pojawić się słońce.

Waldo zatrzymał się przed komnatą Tantry i powoli nacisnął klamkę. Drzwi były otwarte. Wszedł do środka i cicho je zamknął za sobą. Przez dłuższą chwilę stał w bezruchu i przyzwyczajał oczy do ciemności. Kiedy zobaczył kontury mebli i śpiące obok matki dziecko, zrobił pierwszy krok. Zdecydowany był wszystko zakończyć. Jego misja trwała już zbyt długo. Był zmęczony i głodny. To ostatnie uczucie denerwowało go szczególnie. Marzył o powrocie do swojego czasu. Usiadł na łóżku i położył dłoń na głowie dziecka. Zapłakało głośno i przenikliwie. Jego matka natychmiast się obudziła i dostrzegła intruza. Nie krzyknęła jednak. W ciemnościach widział jej duże i błyszczące oczy.

– Nie dotykaj dziecka – powiedziała prawie żołnierskim tonem. Jej kobiecość nagle zniknęła. Teraz była matką gotową walczyć aż do śmierci o swoje dziecko. Handlarz nie cofnął jednak ręki.

– Przychodzę spoza czasu... – zaczął cicho. – Jestem... Jestem twoim ojcem...

– Czy... Czy jesteś... szalony? – Usta Tantry ledwie się poruszyły.

– Wysłuchaj mnie – ciągnął spokojnie Waldo. – Kiedyś mój świat szukał zabawy, nowej zabawy, bo tak wygląda nasze... życie. To wasze słowo... U nas się po prostu żyje. Nie ma śmierci... Nie było, ale o tym potem... Nasz świat znalazł wyjście do was. Przypadek... Tak samo mogłem wleźć gdzie indziej. My nie mamy ciał, nie jemy, nie robimy tego wszystkiego, co wy... co ludzie. Chciałem być pierwszy, i byłem. Przekleństwo... To też wasze słowo... Wlazłem w jakiegoś pierwszego lepszego włóczęgę i poczułem to... No wiesz... Co tu dużo gadać, wychędożyłem na drodze jedną zdrową dziewczkę i musiałem wracać. Za słabi wtedy byliśmy, nie mogli mnie tu utrzymać... Zostawiłem jego ścierwo w jakimś lesie i wróciłem. Słuchasz mnie?

– Jesteś naprawdę pome rdany... – Szept kobiety zachrzącił w komnacie niczym piasek. Była jednak spokojna i nie czuła strachu. Nie wiedziała nawet, dlaczego.

– Potem pojawiałem się tylko na chwilę... – Handlarz położył się na poduszce i odetchnął. – Widziałem, jak się rodziście, jak...

– Powiedziałaś... – przerwała mu Tantra. – Powiedziałaś... rodziście...

– Ty i twój brat – potwierdził Waldo.

– Gdzie on jest? – Jej spokój prysł.

– Nie wiem – odparł Waldo. – Po urodzeniu straciłem z wami kontakt... Nie mogliśmy się przebić. Czas nie puszczał nas... Dopiero niedawno... To dziecko nam pomogło. Mój... wnuk. Co za język... Wnuk.

– Po co przyszedłeś? – Pytanie kobiety było napięte jak struna.

– Po was, po niego – odrzekł spokojnie Waldo.

– Jak to? – przestraszyła się Tantra. – Chcesz nas zabić?

– Nie was – zaśmiał się krótko handlarz. – Ciała tu zostaną. Po prostu odejdziecie...

– Jak? Udusisz nas czy zarżniesz nożem? – Jej ręce odtrąciły jego dłoń z głowy dziecka. – Nie dotykaj go! Idź stąd i nie wracaj...

– Nie mogę – wyszeptał Waldo. – Do mojego świata przywlokłem... śmierć. Zaraziliście nas śmiercią. Niektórzy z nas zaczęli znikać. Nigdy wcześniej tego nie znaleźliśmy... Przyjaciele, bliscy... Tak chyba o tym mówicie... Oni odchodzili i nikt nie mógł ich odnaleźć. Przywlokłem z waszego czasu śmierć. Dlatego tu jestem... Mój wnuk, to dziecko, ma coś, czego nam potrzeba... Nie bój się. Wystarczy, że zechcesz, i odejdziemy stąd. Bez bólu i... duszenia. Jesteś moją córką, więc nosisz w sobie także nasz świat. Musisz go tylko chcieć odnaleźć...

– Nie chcę tego – ucięła Tantra. – Jeśli to wszystko prawda, to odejdz i zostaw nas...

– Nie mogę. – Waldo zaczynał rozumieć, że nie pójdzie mu łatwo. – Oni tam na nas czekają... Ty... Ty możesz zostać. Dziecko musi nas uratować. Musi odnaleźć tych, którzy zaginęli, i wypędzić z naszego czasu śmierć. Nie chcemy jej tam... Niech zostanie tutaj... Wy ją rozumiecie...

– Idź precz! – krzyknęła kobieta i gwałtownym ruchem przygarnęła do siebie dziecko.

Handlarz pochylił się w jej stronę i jeszcze szybciej chwycił ich oboje w swoje potężne ramiona. Nawet nie próbowała się szarpać. Czowała, że słabnie, że zaczyna ją wciągać nieznaną, potężną wir. Nie potrafiła krzyczeć, nie umiała walczyć, poddawała się lekkości, o jakiej wcześniej nie miała pojęcia. Widziała swojego syna, który tak jak ona, wypełnił sobą przestrzeń komnaty. Byli bez wyglądu i bez zapachu. Pojawiło się uczucie spokoju i łagodności. Wiedziała, że przegrała, że ciała na łóżku umierają. Zanim jednak zrozumiała, że nie żałuje, pojawił się ktoś inny. Wyraźnie wyczuła zdziwienie i strach Walda. Głos obcego przeszył wszystko, co czuła: „Twój czas, przybyszu, kończy się. Nie możesz zabrać tego dziecka, bo jest

również nasze. Przypadek sprawił, że matka tego dziecka urodziła mojego syna...” „Kim jesteś?” – od strony Walda popłynęło pytanie. „Ze zderzenia czasów... Błąd? Doświadczenie? Przypadek? Chyba to ostatnie... Trafiłem tu, poczułem to, co ty, i... U nas jest coś podobnego. Mówimy o tym «bliskość». Odejdź, jeśli nie chcesz katastrofy. Nie można penetrować czasu. Wiemy to już od dawna... Wy zaburzyliście równowagę, daliście im coś, czego nie powinni mieć. Nas... Mnie wyrzuciło poza układ i spłodziłem tutaj dziecko. Nie powinno go być. Nie wiemy, co z tego wyniknie...” „Dlaczego go nie zabiliście?” – zapytał handlarz. „Nie można. Jeśli czas stwarza wymiar, nie można tego niszczyć. Odejdź i nie wracaj...” „Mój świat umiera. Miałem przywrócić mu życie...” „Wiem – zgodził się przybysz. – Czy naprawdę chcesz to zmienić? Gotowy jesteś zapłacić cenę? Nie musisz odpowiadać... Ty jednak znikniesz, umrzesz...” „I zatrzymacie śmierć?” – Handlarz już podjął decyzję. Dostrzegł kogoś potężniejszego i nadzieję. „Spróbujemy ściągnąć śmierć z waszego świata. Nie jest wiele, ale może zarażać... Dziwnie się rozmawia w tym trzecim języku... Powiedz tylko, że chcesz, i zamkniemy wasz czas.” „Nie ma odwrotu... Widocznie popełniliśmy błąd. Żegnaj zatem mój wnuku i moja córko. Już się nie zobaczymy...” „Nie mów tak – przerwał mu głos. – Tego nikt nie wie. Poza czasem jest jeszcze wiele pytań i odpowiedzi. Nic się nie kończy...” „Dobrze. Zamknij mój czas i zabij śmierć. Żegnaj, przybyszu...” – Zgoda Walda zabrzmiała jak spazm. Tantra wychwyciła to instynktownie. To właśnie było w handlarzu ludzkie i bliskie.

Potem nie działo się już nic. Kiedy otworzyła oczy, za oknem było widno. Dziecko spało obok niej, a wiatr uderzał o szyby i od czasu do czasu rosł je gęstym deszczem. Na łóżku obok niej leżało ciało martwego Walda. Musnęła je obojętnie wzrokiem. Nie znaczyło dla niej nic. Wstała i podeszła do okna. Na dziedzińcu Idalgo siodłał konie. Obok niego stał

Glass i Writ. Wszyscy trzej ubrani byli w długie skórzane płaszcze bez kapturów. Tantra widziała ich mokre, błyszczące od deszczu głowy i determinację w ruchach. W cieniu pod zadaszeniem stajni stała Bathy. Dziewczyna była smutna, a jej oczy zdradzały, że w nocy płakała.

Rozległo się pukanie do drzwi komnaty.

– Wejść – zawołała, nie odwracając się od okna.

Usłyszała za plecami kroki służącej, która przyniosła jedzenie. Kiedy stąpanie nagle ucichło i zapanowała cisza, Tantra rzuciła obojętnie:

– Nie żyje. Każ go zabrać.

– Tak, pani – odpowiedział jej niepewny i wystraszony głos służącej.

Tantra patrzyła na łapacza i wydawał jej się znajomy. Miała wrażenie, że dotyka jego myśli. Nie broniła się przed tym, mimo że tego nie rozumiała. Kiedy podniósł głowę i zobaczył ją w oknie, przestraszyła się. On także był zdziwiony. Odnalazł jej bliskość i po raz pierwszy w życiu wzruszył się. Bez żadnego uzasadnienia. Nie wiedział, skąd to uczucie przyszło. Przypominało dawno opuszczone miejsce. Nie było to jednak ani pożądanie, ani miłość. Łapacz doświadczał tęsknoty i nie potrafił sobie z tym poradzić. Schylił szybko głowę nad popręgiem i dociągnął go zdecydowanym ruchem. Tylko tak umiał nad sobą panować.

Do komnaty weszli dwaj żołnierze i bez słowa zabrali ciało handlarza. Żaden z nich nawet nie spojrzał w stronę kobiety. Była matką dziecka i nikt nie śmiał o niej inaczej myśleć. Cicho zamknęli za sobą drzwi. Tantra odwróciła się i wciągnęła nosem powietrze. Napój w dzbanie był gorący i pachniał palonym ziarnem. Obok na srebrnej tacy leżały ser, ryż, miód i chleb. W trakcie oblężenia zabrakło tylko mięsa. Przez ściekające po szybie krople zauważyła, że cała czwórka dosiadła koni i ruszyła w stronę bramy. Przyłgnęła twarzą do okna i dopiero teraz zauważyła wiszące do góry nogami na wielkich drewnianych krzyżach sylwetki Abotta i Yca. Krzyże

zostały wetknięte w najwyższy punkt muru. Uwagę Tantry ściągnął ruch koło bramy. Otwierały się właśnie potężne skrzydła, a łomot opuszczanego w tym samym czasie mostu dolatywał aż do jej komnaty. Dostrzegła wynurzającego się z bocznego wyjścia Humana. Młody książę zatrzymał się przy dziewczynie i dotknął pyska jej wierzchowca. Tantra żałowała, że nie może usłyszeć ich rozmowy. Odwróciła się i postanowiła zjeść śniadanie. Usiadła przy stoliku i sięgnęła po dzbanek z gorącym, aromatycznym napojem.

W tej samej chwili Bathy starała się zachować zimną krew i wysłuchać Humana. Jej towarzysze odwrócili się tylko i gestem ręki pożegnali olbrzyma. Pellegris jechał pierwszy, za nim Glass, a na końcu Idalgo. Dziewczyna wiedziała, że zaczekają na nią poza bramą.

– Chcę, żebyś została – powiedział zasadniczym tonem Human. Nie było w tym nic z tego, co zapamiętała z Grwaldu. – Za żonę cię wezmę i spłodzimy tutaj gromadę dzieciaków. Razem możemy odbudować księstwo...

– Czy ty mnie kochasz? – zapytała wprost, starając się opanować rumieńce.

– Czy wszystkie dziewczki muszą zaczynać od tych bzdur? – skrzywił się olbrzym. – Co to da, że nagadam ci do ucha? Czy to coś zmieni? Czy wówczas naprawdę będę cię miłował? Sprawa jest ważna, księstwo i dziedzictwo... Wtedy chyba ci dogodziłem...

– Jesteś obcy – odparła cicho Bathy. – Zostawiłeś gdzieś dawnego Humana... Nie poznaję cię...

– To tylko puchy, jak ten deszcz i wiatr – przerwał jej chłodno. – Na takie gadanie czasu szkoda. Wybieraj...

– Jadę – odpowiedziała zdecydowanym głosem i ruszyła przed siebie. Zagryzła wargi i nie odwracała się. Wiedziała, że bezpowrotnie go straciła,

że w środku stał się zimny i martwy. Tak jakby śmierć zamieszkała w nim na zawsze. Klusem pognęła za posuwającymi się wolno przyjaciółmi. Płakała i wcale nie miała zamiaru tego ukrywać. Zresztą deszcz i tak zmoczył jej twarz i opadające na ramiona włosy. Dotknęła ukrytych na piersi pasów z monetami i wydało jej się, że ojciec znów stoi przy niej i uśmiecha się, jakby chciał pogłaskać ją po głowie.

– To nie jest on – przywitał ją Idalgo. – Śmierć zabrała go na zawsze. Szkoda... Dobry był z niego kompan.

– Znam odczyniacza, panie – wtrącił Writ. – Tani i może pomoc...

– Dziecko daje życie, ale śmierć zostaje. – Glass wyszeptał to bardzo wolno. – Zasiewa się smutek, siermięga i pustka... Czuję to i chcę zdusić. Życie płaci myto...

– Dopadła go śmierć, panie. – Pellegris sprawiał wrażenie mało rozgarniętego albo roztargnionego.

– Druga śmierć... – powtórzyła Bathy. – Wyżera go teraz jak zaraza. Ta suka go zaobrączkowała i zniszczy.

– Kochasz go... – stwierdził łapacz i obejrzał się za siebie. Na murach widać było krzyże, a na krzyżach dwa wiszące ciała.

– Nie wiem, kogo kocham. Może nikogo? – Bathy uderzyła konia piętami i z miejsca ruszyła galopem.

Dokładnie w tej samej chwili Human otrzymał informację, że dziecko i matka zniknęli. Lalola przeszukiwał zamek, ale bez efektu. Jedzenie na stoliku było nie ruszone. Tantra zdążyła wypić tylko swój ulubiony napój z palonych ziaren.

– Nie ujdzie, panie – zapewnił dowódca. – Jej życie tutaj pisane i tutaj zejdzie. Znajdziemy ją... Szczury się wycofują, panie, a czasu nam nie zbraknie. Ludzi już rozesłałem...

W drzwiach komnaty księcia pojawił się nagle czytacz z Migopu. Wtulił strachliwie głowę w ramiona i drobnym krokiem podszedł do Humana. Sprawiał wrażenie kogoś śmiertelnie przestraszonego. Lalola obrzucił go zdziwionym spojrzeniem. Odruchowo szukał w jego rękach skrytobójczego noża. Czytacz jednak był nieuzbrojony.

– Panie... – zaczął lękliwie. – On jest przeklęty, on cię zdradził. Kobiętę omamił trucizną i kazał iść... Wiem to, bom wachał napój. Ten pies, ten knuj, ten...

– Kto? – warknął niecierpliwie Human.

– Jag – odparł jednym tchem czytacz. – Zabrał ich i uciekł. Znalazł źródło i chce go tylko dla siebie.

– Gadasz, że stary jest przekupny? – zapytał z błyskiem w oczach olbrzym.

– Kasta go wyklęła, panie – pospiesznie wyjaśnił czytacz. – On dziewczki marnował, dla chuci żył i księcia omamił. A teraz sprzeda się temu, kto da więcej...

Lalola i Human wymienili spojrzenia. Zrozumieli, że wojna jeszcze się nie skończyła. Ten pierwszy zadrżał w duszy, ten drugi pozostał obojętny. Dla obu prawo śmierci oznaczało coś zupełnie innego. Lalola wierzył w ocalenie, Human nie wierzył w nic. Dowódca pragnął świetności księstwa, olbrzym pragnął urozmaicić sobie życie. Żołnierz był przestraszony, syn Syriusa ciekawy. Prawo śmierci rozpinało nad nimi swoje niewidzialne skrzydła. W rękach szaleńca mogło złamać przeznaczenie. I to właśnie najbardziej się nowemu księciu podobało. Kiedy pomyślał, że takich jak on jest w zamku wielu, przyszłość księstwa nabierała w jego oczach innych barw. Przywróceniu do życia żołnierze już teraz chcieli wyrównać rachunki. Zimni i obojętni na strach wierzyli w nowego księcia. Czas zesłał im

ocalenie. Musieli tylko poczekać. Kiedy pojawi się dziecko, ruszą. Będą mogli zapomnieć i wyzwąć los.

Human otworzył okno i poddał się mokrym uderzeniom wiatru. W oddali widział znikające sylwetki czterech jeźdźców. Coś w głębi duszy mówiło mu, że jeszcze się spotkają, że świat zderzył się z czymś, nad czym nie panował. A w takiej chwili liczył się tylko miecz. Dłoń sama opadła na rękojeść szabli. Zanim zamknął okno, przez jego głowę przemknęły pytania: „Skąd Jag wiedział, że dziecko miało zginąć? Skąd wiedział, że prawo śmierci musiało przestać istnieć? Czy znał godzinę, w której miecz Humana miał zabić?”

Dwie i pół mili dalej pochylony nad końskim karkiem łowca z tatuażem na skroni zadawał sobie tylko jedno pytanie: „Ile monet będą teraz płacić za ściganych?” Dla niego miało zacząć się normalne życie.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ